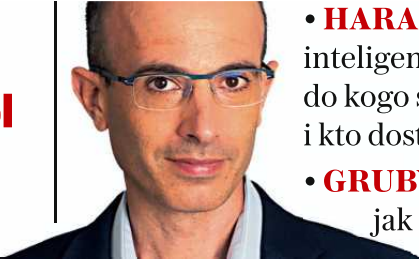


WOLNA
SOBOTA

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- **HARARI:** Sztuczna inteligencja decyduje, do kogo strzelać w Gazie i kto dostanie kredyt ► 24
- **GRUBY I SEKSOWNY** jak gladiator ► 40



**WYSOKIE
OBCASY**
Marta Dzido
Zostałam babcią,
mając 41 lat



GAZETA

wyborcza.pl
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Żona, córka,
Polska. Jestem
wdzięczny,
wszystko mi się
udało ► 8

**ALEKSANDER
KWAŚNIEWSKI**
70. URODZINY PREZYDENTA



Sobota-czwartek, 16-21 listopada 2024 | Redaktor prowadzący Marek Markowski | Cena gazety 9,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 267.10761, 1 | Nakład 85 tys. + 300 tys. prenumerat cyfrowych



JUŻ DZIŚ W ŚRODKU GAZETY

Magazyn Na Narty

Agnieszka
Kublik



Kaczyński czyta ze zrozumieniem

Jarosław Kaczyński maszerował 11 listopada w Warszawie, bo czyta socjologów. Dlatego wbrew własnej wieloletniej tradycji, że w święto niepodległości maszeruje w Krakowie, tym razem przeszedł się ulicami Warszawy. Z narodowcami, nacjonalistami, a nawet faszystami (nikogo nie obrażam, niczego nie insynuuję, sami tak się przedstawili w hasła, które nieśli – „Faszyści brzytwą rządzących”).

A wokół niego powiewały transparenty bliskie jego sercu: „Grupa przestępcza: Bodnar, Hołownia, Sikorski, Struzik”, „Bronimy suwerenności Polski”, „Tusk to zdrajca narodu”, „Chłopak dziewczyna – normalna rodzina”, „Polska dla Polaków”, „Donald matole, Twój rząd obalą kibole”. Rozlegało się miłe jego uchu „Ruda wrona orla nie pokona!”.

Była tak lubiana przez lidera PiS podniosła atmosfera. Gdy marsz, dopingowany okrzykami ONR-owców o wyższości białej rasy, dotarł do Stadionu Narodowego, Rycerze Jana Pawła II odśpiewali „Boże coś Polskę”.

A wszystko wykalkulowane.

Prof. Przemysław Sadura i dr Sławomir Sierakowski w raporcie „Ukryty kryzys władzy” pokazali, jak groźna jest Konfederacja dla Kaczyńskiego. Tak groźna, że może mu odebrać szansę

na prezydenturę dla jego wybrańca. Konfederacyjni już prawie dwukrotnie powiększyli swoje społeczne poparcie z jesieni 2023. Narodowcy przyciągają tych dawnych wyborców PiS, którzy przez osiem lat zdążyli rozczarować się.

Gdybyśmy głosowali dziś, Koalicja 15 Października miałaby 218 mandatów. PiS i Konfederacja 242

Ale Konfederacja jest atrakcyjna i dla elektoratu Trzeciej Drogi, która okazała się ugrupowaniem sezonowym.

Wyborcy Konfederacji są, jak elektorat Kaczyńskiego, rozgoryczeni i sfrustrowani, a to ich mobilizuje do głosowania. I wahają się, czy nie postawić na ugrupowanie czystsze ideowo i z czystszymi rękoma niż zmęczona, zdeprawowana partia (niedawnej) władzy.

PiS ma niezłe notowania, około 30 proc., ale to znaczy, że nie może liczyć samodzielne rządy. A – piszą Sadura i Sierakowski – „nagłośnienie afer i nadużyć PiS z czasów sprawowania rządów powodują, że przepływ może być raczej jednokierunkowy, w stronę Konfederacji”.

W rocznicę wyborów parlamentarnych pracownia Opinia24 sprawdziła, jak wyglądałby Sejm, gdybyśmy teraz wybierali posłów. KO ugrałaby 185 mandatów (o 28 więcej), PiS 188 (o 6 mniej). Straciłaby Trzecia Droga – 23 mandaty (o 42 mniej) i Lewica – 10 (o 16 mniej). A Konfederacja? Miałaby 54 mandaty, aż 36 więcej niż ma. A zatem Koalicja 15 Października miałaby 218 mandatów. PiS i Konfederacja razem – 242.

Czyli przed Kaczyńskim dwa zadania: zablokować odpływ elektoratu z PiS i uruchomić ruch w drugą stronę. Wie, że atrakcyjniejszy jest zawsze silniejszy, więc jako wciąż jeszcze silniejszy musi podpisać się pod atrakcyjnymi hasłami.

I właśnie to uczynił 11 listopada. W Krakowie się od narodowców dystansował, w Warszawie próbuje stanąć na ich czele. ●

Brazylia Przodek wróbla Ćwirka



FOT. STEPHANIE ABRAMOWICZ/HANDOUT VIA REUTERS

A może i Marcelgo Szpaka, by przywołać inną budzącą nostalgię kreskówkę. Navaornis hestiae ma 80 milionów lat, rozmiary szpaka właśnie i jest – oprócz tego, że rówieśnikiem T-Rexa – ogniwem łączącym małe latające dinozaury w rodzaju archaeopteryksa ze współczesnymi ptakami. Naukowcy odkryli go już kilka lat temu, ale dopiero teraz połapali się, że doskonale zachowana czaszka pozwoli odtworzyć mózg navaornisa – i lepiej zrozumieć, jak ewoluowały ptaki.

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco
przez cały weekend ***

82W1ZC3

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

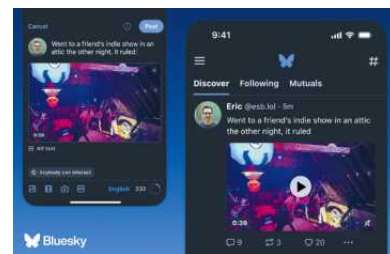
* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 16-17.11.2024 r.

Bluesky, nowy Twitter I co teraz, Elon?

Serwis społecznościowy Bluesky Szdobył 700 tys. użytkowników Twittera vel X po wygranej Trumpa. Bluesky Social założył twórca Twittera, Jack Dorsey, który nie zgadzał się z kierunkiem, w jakim zmierzał jego pierwszy serwis, jeszcze nim Elon Musk przejął go za 44 mld dolarów. Działa tak, jak Twitter na początku: oferuje krótkie wpisy tekstowe z możliwością dodawania zdjęć i gifów. X Muska ma ewoluować w „aplikację do wszystkiego”, jak chiński WeChat.

Bluesky tym różni się od X, że to także protokół internetowy, a więc profil użytkownika, jego wpisy i siatka znajomych nie są „przywiązane” do jednej platformy. Tak jak protokół „http” mogą wykorzystywać różne przeglądarki, AT Protocol mogą wykorzystywać inne strony i aplikacje. Zdaniem Dorsey’a to gwarantuje wolność użytkowników.

Bluesky zdobywa popularność, lecz polski użytkownik niewiele tam znajdzie. Nie ma jeszcze kont polityków i influencerów, a dziennikarzy jest garst-

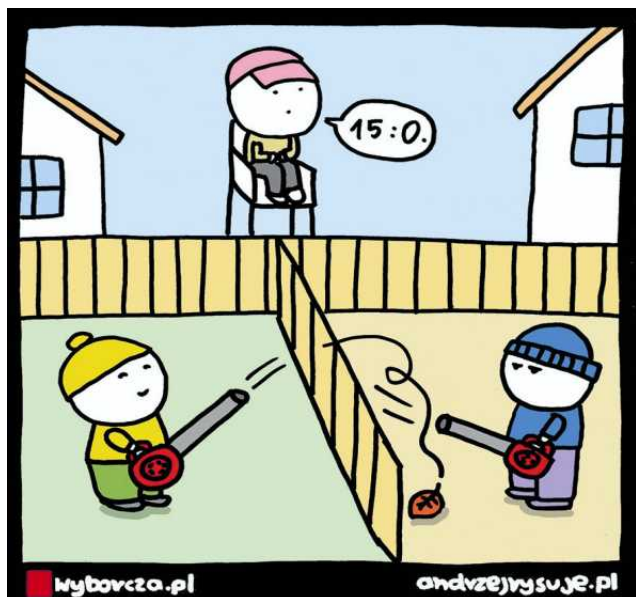


FOT. BLUESKY

ka. Bluesky ma ten problem, co inne alternatywne serwisy: użytkownicy nie korzystają z niego, bo jest tam mało innych użytkowników, a ci czekają, aż będzie ich więcej.

Ale Bluesky niekoniecznie jest go konkurencją dla X. Dziennikarz Dave Troy, który śledzi działania Muska, uważa, że będzie pełnił tę samą rolę. Bo Musk kupił Twittera jako narzędzie wpływu politycznego, ale głównym celem jego oraz partnerów (m.in. współtwórców PayPała Petera Thiela i Davida Sacksa), ma być zniszczenie pozycji dolara jako globalnej waluty i powrót do standardu złota – z tym, że rolę złota ma pełnić bitcoin, kontrolowany przez kilka anonimowych jednostek, lub inne kryptowaluty. ● **Bolesław Brečko**

Andrzej rysuje



Cytat tygodnia

Widziałam coraz młodsze dziewczyny, nastolatki, które przechodziły do kliniki. Ludzie myślą, że jak zrobią botoks, czeka na nich lepszy partner, lepsza praca



KLAUDIA WITCZAK
przedsiębiorczyni walcząca z patologiami medycyny estetycznej.

Więcej w magazynie „Wysokie Obcasy Ekstra”

www.nekrologi.wyborcza.pl/34347043

Z ogromnym żalem żegnamy
wspaniałego, bliskiego nam człowieka,

Renate Hayder

znakomitą ekspertkę podatkową,
współtwórczynię firm Arthur Andersen i EY w Polsce,
osobę o silnym poczuciu sprawiedliwości i wrażliwości.

Reniu, będzie nam Ciebie bardzo brakowało!

Przyjaciele z kancelarii
Domański Zakrzewski Palinka



MAŁOKACKA

DLA CIEBIE. NA LATA.

NOWY KONCEPT
MIESZKANIOWY W GDYNI

INVEST
KOMFORT

malokacka.pl

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

NIEMIEC
WYPRZEDZA
NA CIĄGŁEJ

Gubię się w Czechach, męczę się w Austrii, najfajniej jeździ mi się w Gruzji. Ziemowit Szczerek szuka najlepszych i najgorszych kierowców w Europie

Ziemowit Szczerek

Najlepiej mi się jeździ w Gruzji. Tak, wiem, Gruzini jeżdżą chaotycznie i mają sporo wypadków. Ale w Gruzji jeździ się tak, jakby się chodziło w tłumie. Z zewnątrz wygląda to na totalne szaleństwo: samochody wyprzedzają się na trzeciego, zajeżdżają drogę, można właściwie zrobić wszystko poza totalnym przecięciem typu na czerwonym czy pod prąd na dwupasmówce. Choć bez przesady: i po dwupasmówce pod prąd można przejechać, jeśli jedzie się poboczem i zachowuje odpowiednią ostrożność.

Poza tym ludzie radzą sobie, jak mogą. Nie działają ci reflektory, a jest noc i mgła? Jedziesz z migającymi kierunkowskazami, które oznaczają krawędzie pojazdu. Jedziesz, oczywiście, powoli, w dodatku wystawiasz głowę z szoferki. Jesteś przecież człowiekiem odpowiedzialnym. Nie działają biegi od trzeciego w górę? Jedziesz na dwójce. Spokojnie, niespiesznie. Odpadnie zderzak? A to bez zderzaka jazdy nie ma? Jazdy to nie ma bez kół.

Gdy wczuje się w to wszystko i zacznie jeździć tak jak gruzińscy kierowcy, okazuje się, że w tym szaleństwie jest metoda. Wystarczy się wyluzować i dostosować intuicję do warunków na drodze. Przede wszystkim jechać niespiesznie. Szczególnie miastem. W mieście raczej się nie pędzi. Przecież ktoś w każdej chwili może wjechać ci przed maskę i musisz mieć czas na reakcję. Ale z drugiej strony – pamiętaj: ty też możesz komuś wjechać w każdej chwili przed maskę. To twoje święte prawo jako kierowcy. Pragniesz nagle zmienić kierunek jazdy, a nie chce ci się dojeżdżać do ronda? Proszę bardzo, skręcaj, jeśli tylko ci się uda wspiąć na rozdzielający dwa pasy ruchu klomb. Rób to jednak nienerwowo, cięło, uśmiechając się do wszystkich dookoła. Manewr spotka się z życzliwym zrozumieniem. Człowiek jest tylko człowiekiem, istotą niedoskonałą, popełnia błędy.

Piesi mają w Gruzji gorzej, choć nie tak źle jak na pierwszy rzut oka. Bo na pierwszy rzut oka gruzińskie miasto wydaje się maszynką do mielenia przechodniów. Ulice są rwącymi Sambationami, rzekami kamieni, tylko że pędzą w nich samochody. Ale w praktyce te samochody najczęściej jadą powoli, no i płynnie wymijają pieszych. Tak samo, jak woda w strumyku obmywa kamienie. Wythchnienia szukać trzeba na pasie biegnącym pośrodku drogi. To jest wyspa bezpieczeństwa, stacja pośrednia, spokojne oko cyklonu. No więc tak: oddech – i znów, wpływ przez płynącą samochodową rzekę – i na drugą stronę.

Gorzej jest poza miastem, szczególnie tam, gdzie drogi są wyremontowane, a to w Gruzji coraz częstsze. Tam czasem ktoś się rozpędzi, a biorąc pod uwagę stan gruzińskich samochodów, to mogą się zda-

rzyć atrakcje dodatkowe, na przykład odpadnięcie koła albo i dwóch.

Ciekawostką jest to, że – biorąc pod uwagę, że po mieście się poprawnie jeździć po prostu nie da, bo wiem jeśli wszyscy łamią przepisy ruchu drogowego (których przyjęcie przez Gruzję było raczej obrzędowym holdem złożonym zachodniej idei niż wprowadzeniem faktycznie obowiązującego prawa), to właśnie ten niełamiący stwarzałby niebezpieczeństwo kolizji czy wręcz katastrofy w ruchu drogowym – to egzaminu na prawo jazdy nie zdaje się na mieście. Zdaje się go na placu manewrowym, który jest uformowany w coś w rodzaju „miasta teoretycznego”: ulice, skrzyżowania, ronda, parkingi i tak dalej. I tyle. Do widzenia. „Reszty nauczy się pan prowadząc auto”.

Podobnie jest w Armenii. O ile jednak tutaj, podobnie jak w Gruzji, jazda autem przypomina coś w rodzaju gry komputerowej, o tyle jednak w Gruzji jest ona przyjemna (lekka adrenalinka, lekka czujność i ekscytacja, że znów czeka nas przygoda, w której wszystkie chwytaki są dozwolone), to w Armenii wszystko odbywa się nieco bardziej na poważnie. Reguły łamane są tu równie często, co prawa człowieka w Rosji, ale z jakiegoś powodu przyzwolenie społeczne na to wydaje się mniejsze niż w Gruzji. To znaczy – przyzwolenie na łamanie tych reguł przez innych.

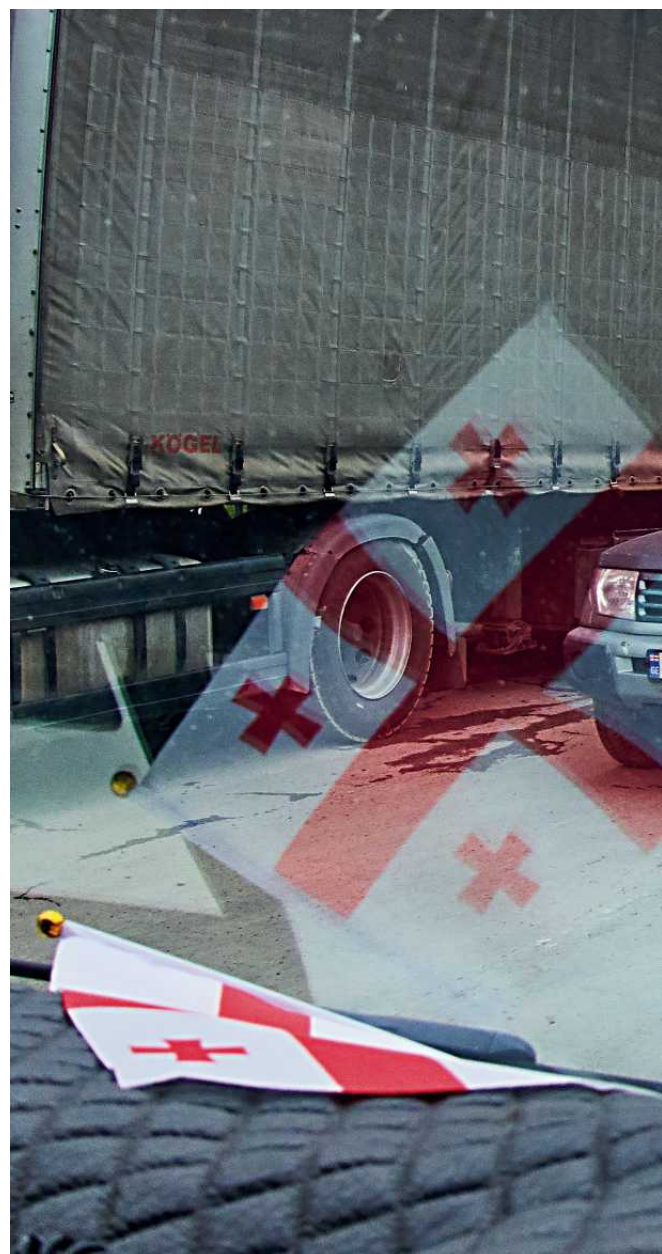
Z perspektywy kierowcy z zagranicy wygląda to bowiem w ten sposób, że jeśli na rondzie ktoś zajeżdża nam drogę, decydując się na zmianę pasa, to jest okej, ale jeśli zrobimy to my, to kończy się trąbieniem, otwieraniem szyb, ruganiem *pa matuszkie* (jesteśmy najczęściej brani za Rosjanina), a czasem nawet wychodzeniem z samochodu, ściąganiem skórzanych kurtek, podwijaniem rękawów błyszczących koszul i innymi tego typu rzeczami.

Najważniejsze wtedy to nie dać się, oczywiście, sprowokować, wczekać, aż krzyczący typ zejdzie nam sprzed maski (kiedyś w końcu musi zejść: ludzie muszą jeść, pić, spać, a wszystkiego przed naszą maską zrobić się nie da) i zechce się skoncentrować na otwieraniu naszych drzwi i waleniu w szybę. Wtedy należy czym prędzej dać (w kontrolowany sposób) po gazie i opuścić miejsce konfliktu.

– Jeździł już pan u nas? – Pytał mnie w wypożyczalni w Erywanu empatyczny pan, patrząc na mnie wielkimi, sarnimi oczami. – Bo wie pan, u nas specyfika.

No tak, jest specyfika. Na przykład taka, że wynajęty kierowca, a przy okazji bardzo fajny kolega, chcąc pokazać, jaki jest fajny, potrafi nas zabrać po drodze do przydrożnej knajpy na obiad i zamówić do obiadu flaszkę wódki. A następnie nie tylko upierać się, że pojedzie dalej, ale i jechać.

Tak, wiadomo, jeśli zwraca się uwagę na sytuację skrajną i robi z tego regułę – nazywa się to stereotypizacją. Orientalizowaniem. Tak, czasem lubię orientalizować. Orientalizacja sama w sobie nie jest zła, zawsze jakoś tam orientalizuje się dalekie i nieznane kraje, budzące wyobraźnię. Jakaś forma orientalizacja jest jednym z warunków fascynacji. Zdecydowanie gorsze jest utrwalanie negatywnych stereotypów, ale tu też należy się zastanowić – gdzie się kończą stereotypy i uproszczenia, a zaczynają realnie występujące tendencje. Nie mówię, że wszyscy w Armenii jeżdżą po pijanemu. Ale zdecydowanie przyzwolenie społeczne jest tam na to spore.



No więc coraz lepsze drogi i coraz lepsze samochody, nie ma więc już tych cudów, które można było zobaczyć jeszcze niedawno, kiedy wszystko, od asfaltu począwszy, a skończywszy na zardzewiałych karo-seriach, tworzyło ten stereotypowy i drażniący ludzi tam mieszkających, a fascynujący odwiedzających obraz drogowego rozpiędołu poradzieckiego państwa.

Dawniej w ogóle było inaczej. Dawniej, nim Azerbejdżan go odzyskał/podbił, można było wjechać do Karabachu. Wypożyczyć auto i wysłuchawszy od wypożyczającego litanii miejsc, do których jechać nie wolno „ze względów bezpieczeństwa” (czyli by nie oglądać tego, co zrobiono Azerom), tam pojechać. By wpadać na posterunki, tłumaczyć, że się zablądziło i tak dalej.

Na górskich drogach jest pięknie. Zielone wznesienia, wijące się szosy i czasem jakiś samochód na irańskich rejestracjach. Albo autobus.

Irańczycy jadący do Armenii zaznają Zachodu. Co pokazuje, jak głęboko ajatollahowie wcisnęli ten nieszczęsny naród – Armenii przecież prawie nigdy nie uznaje się za geograficzną Europę, a jej „zachodność” jest, cóż, bardzo względna. Ale w Erywanu wolno pić alkohol i chodzić po mieście bez chusty na głowie, więc jadąc na południe, przez słynny korytarz zangeurski, o który może wybuchnąć kolejny konflikt między Azerami a Ormianami, mija się co jakiś czas Irańczyków ciągnących na północ. Czyli na Zachód.

Lubię jeździć po Armenii. Wzdłuż tureckiej granicy, za którą widać narodową świętość: górę Ararat, główny motyw całej armeńskiej symboliki narodowej, ale znajduje się w kraju, który z Armenią się nie cierpi. Największą jednak perwersją jest to, że ten symbol Armenii, którego nie wolno dotknąć, widzieć nie tylko ze stolicy, ale z jednej trzeciej zachodniej części kraju.

Można więc jechać, patrzeć na jedną z największych perwersji geopolityki i snuć po pogranicznych wioskach. Mając nadzieję, że nie trafi się na jakiś wyjątkowo upierdliwy pograniczny patrol. Lokalne wsie są niskie, często bez asfaltu. Rury gazowe ciągną się po ziemi, bo – jak w wielu innych krajach poradzieckich – uznano, że po co monterów męczyć wkopywaniem. Gdy przechodzą przez ulicę, wznoszą się i tworzą coś w rodzaju bramy, pod którą przejeżdżamy jak cesarz pod Łukiem Triumfalnym.

A jak nie po wioskach, to gdziekolwiek. Grunt, żeby jeździć. Żeby się ruszać. Może dlatego cały region pozostaje w ruchu jak płyty tektoniczne.



Gruzję i Armenię od „prawdziwej” Europy oddziela Turcja, która hołduje podobnej kulturze jazdy co kraje Kaukazu. Tylko więcej w niej cukierkowej otomańskiej kurtuazji.

Na przykład taki wjazd do Stambułu. O Boże. Pięć albo i więcej pasów w każdą stronę, a wszystko stłoczone, samochody prawie na siebie włączają, ale kultura: wjeżdżającym z boku ustępuje się z uśmiechem miejsca, skręcanie tuż przed naszą maską, czyli, fachowo mówiąc, wpierdalanie nam się pod zderzak, odbywa się, co prawda, bez kierunkowskazu, za to bardzo powolutku, żebyśmy zdążyli zahamować, wykręcić i nie wpieprzyć się zajeżdżającemu w kufer.

Miło jedzie się po Stambule kilka do kilkunastu kilometrów na godzinę i godzinami szuka miejsca do parkowania. Nie, Stambuł to nie jest dobre miejsce dla samochodów. W ogóle miasta przestają być dobrymi miejscami dla samochodów również w krajach, które kodeks drogowy uznają za fanaberię tych francuskich piesków z Niemiec, Holandii i innych Szwecji. Ostatnio często nie wjeżdżam nawet już do miast Kaukazu, Azji Mniejszej, Bałkanów. Parkuję gdzieś przy pętli tramwajowej czy autobusowej i jadę zbiorkomem.

Nie ma co się szarpać. Ale trochę szkoda, bo lubię jazdę miastem. Szczególnie na Bałkanach. Weźmy taką Czarnogórę. Nie aż taki młyn jak Gruzja ani Armenia, ba, to nawet nie Turcja, ale pod pewnymi względami potrafi być gorzej. Bo ruch drogowy w Czarnogórze przypomina na pierwszy rzut oka ten w innych europejskich krajach, ale to tylko usypia czynność. Bo zawsze ktoś może wypieprzyć z podporządkowanej.

Tak, Czarnogórcy mają coś z tym nieuznawaniem podporządkowanych ulic. Być może bałkańska godnościówka nie pozwala im na czucie się podporządkowanym komukolwiek. Tak, orientalizuję całą gębą. I będę. Trudno. Kiedyś Czarnogórzec tak konsekwentnie wyjeżdżał mi z podporządkowanej, że kontynuował tę jazdę, nawet gdy próbowałem zahamować i ominąć go z lewej strony, patrząc mi w oczy sarnim wzrokiem: „czy naprawdę chcesz mnie zabić?”.

Nie chciałem. Nie chcę również, by ktoś mnie zabił, więc w Czarnogórze zalecam zasadę ograniczonego zaufania. Do wszystkich uczestników ruchu drogowego, łącznie z policją. O, na tych to trzeba szczególnie uważać. Choć tylko poza sezonem. Bo w sezonie, kiedy przyjeżdżają do Czarnogóry turyści, drogówki nie ma w ogóle. Mają odgórny zakaz łupienia

wczasowiczów. Wiadomo, turystyka to ważna gałąź gospodarki. A przy okazji lokalni oddychają. Nie oddychają tylko Albańczycy: jeśli w wakacje widzę na poboczu samochód zatrzymany przez czarnogórską policję, to zazwyczaj ma albańskie numery.

Ale gdy tylko sezon się skończy – chłopaki wyjeżdżają od razu i na całego. I siedzą, uśmiechnięci, na maskach radiowozów, jeden zeskakuje, macha lizakiem, i z szerokim uśmiechem informuje o wykroczeniu. Po czym odbywa się klasyczna bałkańska farsa. My, że przecież nie zrobiliśmy nic złego, oni – że a i owszem, że przekroczyliśmy (to, czy faktycznie, nie ma specjalnego znaczenia), i że albo płacimy teraz, albo zabierają nam paszporty i prawo jazdy i będzie problem. Big problem.

Możemy się kłócić, ale wiemy, że tej wojny nie wygramy, wdychamy więc i pytamy, czy istnieje jakiś polubowny sposób. Okazuje się, że i owszem, istnieje, a my nie rozważamy, czy przypadkiem nie nakręcimy spirali korupcji i w ten sposób jej w Czarnogórze nie wzmacniamy. Po czym odjeżdżamy, klnąc na czym świat stoi, przeżywając w upokorzeniu bardziej to, że daliśmy się zrobić, niż te 10 do 50 euro i pocieszając, że Czarnogórcy też się dali zrobić: Chińczykom, którzy zbudowali im kilkudziesięciokilometrowy, raptem, kawałek autostrady i skasowali zań tyle, że zaczynamy się zastanawiać, czy czarnogórskie bagiety przypadkiem nie zbierają na narodowy dług u Chińczyków.

Odjeżdżamy więc wściekli, a weseli czarnogórcy policjanci machają nam radośnie. Bo ogólnie to oni są jednak mili. Wymuszają, ale sympatycznie. I wymusiwszy – czasem pokazują nam nawet na mapie miejsca, gdzie będą stali ich koledzy, i radzą po ojcowsku, żeby uważać. A po jakimś czasie nieuchronnie raczej schemat się powtarza.

Podobnie, notabene, jest w Albanii, tylko że tam policjanci nie są już tak radośni. Nad albańskimi skorum-

• **Przechodzące powoli przez jezdnię albo wygrzewające się na asfalcie krowy są częstym zjawiskiem w Gruzji**

FOT.EYESWIDEOPEN/
GETTY IMAGES

powanymi glinami wisi jakaś illiryska ponurość. Poza tym Albańczycy dobre drogi mają od niedawna, więc lokalsi zapieprzają, ile fabryka dała, a Niemiec podrasował, po dziurawych szosach, ale gdy tylko zaczyna się nowy asfalt, czujnie zwalniają, wietrząc katastrofę, bo przecież ten asfaltowy sen zaraz się skończy, a oni, rozpędziwszy się jak frajerzy, wylądują we wraku na prasowych portalach z nagłówkiem: „Nie uwierzysz, ile może zostać z samochodu, zobacz zdjęcia”.

Z kolei albańskie państwo zdaje się nie dowierzać swoim obywatelom, że umieją z tych dróg korzystać, dlatego ograniczenia prędkości nakazują poruszanie się groteskowo czasem wręcz wolno. Co sprawia, że mundurowi mają ułatwioną pracę. Zatrzymano mnie w Albanii kilka razy i ani razu policjant nie zaproponował uczciwego mandatu. Nic, tylko ponury wyrzut w oczach i pytanie łamanym angielskim, ile mam przy sobie gotówki.

Choć ostatnio, trzeba przyznać, nieco się to zmienia. I słynnych albańskich mercedesów jest jakoś mniej, bo kiedyś po Albanii jeździły praktycznie same merole: bite, niebite, nowe, stare, byleby gwiazda na masce była. Było to, oczywiście, zjawisko klasyczne i charakterystyczne dla potrzebujących się dowartościować społeczeństw. A takich jest w Europie wiele, od polskiego „bez gwiazdy nie ma jazdy” poczynając. Kończy się jednak w Albanii pewna epoka, kiedy człowiek tyle znaczył, ile splendor jego samochodu.

Ale nie ma się też co śmiać z potrzeby dowartościowania. Za komunizmu Albania naprawdę była ślepą kiszka świata, w której posiadanie prywatnych aut było zabronione. A potem sytuacja ekonomiczna i pozycja Albańczyków w Europie nie były specjalnie wysokie. Trudno się więc dziwić, że manifestacja była tu ważna. Kompleks jednak powoli się kończy i mercedesy spawane z trzech idą powoli na szroty.

• Ale preferuje się nadal auta niemieckie. Jak na całych Bałkanach. Spróbujcie się rozkraczyć w takiej Serbii japończykiem. W końcu znajdziecie jakiegoś majstra, ale będziecie narażeni na pytania, na które nie ma dobrej odpowiedzi: dlaczego, *jebote*, człowiecze, nie jeździsz niemcem, jak wszyscy? A najlepiej golfem?

Tak, golf. Golf to nowa zastawa. Samochód prawdziwie ludowy. Wagen naprawdę dla volku. Lekki, szybki, zwinny, nie psuje się. Sam się czasem zastanawiam, dlaczego nie jeżdżę golfem. Bo golfy są w byłej Jugosławii wszędzie. Pod domami, na osiedlach, na poboczach. Kiedy w końcu, po długiej służbie, wyzioną ducha i zamienią w przydrożne strupieszale pudło karoserii, jeszcze wycina się z nich to, co pozostało, i wszczepia innym golfom. Niestrudzonym wytrzymałym i wiernym rumakom bałkańskich kierowców, na których można takie rzeczy odpier... o jakich się filozofom nie śniło.

Ale w takim Sandżaku, podzielonym na część serbską i czarnogórską, latem jeździ mnóstwo amerykańskich wielkich i wypasionych furgonetek na blachach z USA. To odwiedzający strony rodzinne imigranci, którzy demonstrują, jak im się powodzi, i wolą mimo kosztów i problemów przeplawić się z samochodem przez Atlantyk, niż po prostu wsiąść do samolotu. Złośliwi twierdzą, że auta są wypożyczone na parę miesięcy i po powrocie oddawane, ale haters zawsze gonna hate.

W zamieszkaney przez muzułmanów miejscowości Plav u podnóża Gór Przeklętych siedziałem w cze-wapczicznarni, jadłem pleskawicę, popijałem ajranem i patrzyłem, jak paradują po głównej ulicy. W jedną i drugą stronę. Jak śmiertelnie znudzone życiem niedźwiedzie na wybiegu w zoo. Ich kierowcy, często młodzi mężczyźni zrobieni na bóstwa południowych krain, zatrzymywali się, wychodzili z szoferek i blokując połowę głównej drogi, wesoło i zamasyżście rozmawiali z dawnymi sąsiadami, emanując siłą witalną, chęcią życia i sukcesem finansowym.

W Serbii kultura jazdy się zmienia, a bałkański chaos wydaje się powoli odchodzić do przeszłości, ale jeszcze bardziej po przekroczeniu dawnej granicy otomańsko-habsburskiej. Na północ od Belgradu ludzie jeżdżą tak jak mniej więcej wszędzie w Europie. Mogę orientalizować, ale kto twierdzi, że tak samo jeździ się po muzułmańskim Nowym Pazarze w serbskiej części Sandżaku i w Suboticy na granicy węgierskiej, ten nie wie, co mówi.

• Już dawno temu, gdy Polacy jeździli jak każdy inny strauatyzowany trudną historią naród, który co chwila musi sobie coś udowadniać, Węgier potrafił zatrzymać się na drodze, na której ma pierwszeństwo, i przepuścić kogoś, kto chce się włączyć z podporządkowanej. Nawet jeśli, jak ja, ma obce blachy.

Jak zrozumieć fakt, że w dziesiątce krajów UE o najwyższym wskaźniku śmiertelności wypadków drogowych, za Polską, Węgrami czy Włochami, jest Luksemburg?

Teraz tak jest i w Polsce, ale gimby mogą nie pamiętać, że to nie był odwieczny zwyczaj. Sam pamiętam przecież, jak nawet pieszy na pasach nie był specjalnym powodem do przesadnego zwalniania. Teraz jest inaczej. Owszem, podwójna cięgła to nadal nie jest drut kolczasty, jak to się mówi w Otchłani Środkowopolskiej, ale kultura jazdy w Polsce zmieniła się zdecydowanie.

Zawsze miałem teorię, że Polska to Bałkany północy. Spróbujcie przejechać w jeden dzień z Białej przez dawną Habsburgię – czyli chorwacką Sławonię, Słowenię, Austrię i Czechy albo Węgry i Słowację, do Polski. Zrozumiecie, o co chodzi. Dawne Austro-Węgry to jednak jazda w miarę spokojna, opanowana, raczej dostosowująca prędkość do warunków na drodze, przestrzeni i krajobraz kulturowy jakiś bardziej uspokojony, a w Polsce od razu harmider, hałas, chaos. Ludzie jeżdżą szybciej i bardziej nerwowo, domy budują weselej, radośnie się oszylidzają.

Ktoś powie: z „dzikiego Południa” wjechaliśmy w „dziki Wschód”. Bzdura. Polska nigdy nie była specjalnym Wschodem. Chrześcijaństwo z Zachodu, do czasów Sarmacji w zasadzie tylko tym różniliśmy się od innych europejskich królestw, że bardziej u nas wiało i śnieg częściej padał. A za Sarmacją to my się, owszem, zorientolizowaliśmy, ale nie na moskiewski, tylko na turecki, bałkański właśnie sposób. Byliśmy chrześcijańską quasiottomanią, Bałkanami północy.

I cóż: takie dziedzictwo, choć ciężkie, trudne i tak dalekie, ma jednak w sobie coś fascynującego. I sprawia, że jeżdżenie po tej naszej części Europy jest o wiele bardziej fascynujące niż jeżdżenie bohaterów Kerouaca po o wiele mniej zdywersyfikowanej Ameryce. Bo u nas podróżuje się nie tylko przez kraje i granice, ale przez światy, od skandynawskoidalnej Estonii po granicę z Iranem z całą tą przydrożną infrastrukturą i jej klimatem, z tymi tureckimi knajpami dla tureckich kierowców, żeby pocziwy Turek, jak dawniej w karawanserajach, mógł zjeść jak w domu, z tymi stacjami benzynowymi i ich gastronomią, o której mogą opowiadać godzinami.

O tych hot dogach z sosem hawajskim na stacjach polskich, leberkase na austriackich, burkiem na bałkańskich, o croissantach na rumuńskim Rompetrolu, i w zasadzie niczym poza benzyną na albańskich (ale za to o pięknych nazwach, jak na przykład Kastrati). Ach, jak ja to wszystko uwielbiam.

No, może z wyjątkiem Czech. Nie lubię jeździć po Czechach. Nie zrozumcie mnie źle, lubię Czechy. Jak każdy Polak, czyli członek narodu wiejskiego, mam słabość do Czechów, czyli narodu miejskiego. Każdy wieśniak przecież chce posiedzieć sobie w przytulnej, grzejącej miejskim ciepłem gospodzie, chce poczuć ciepłko mieszczańskiej dulszczyzny. W gościach wszystko przecież lepiej smakuje.

Więc Czechy są w porządku, ale jeździć po nich nie lubię. Ich drogi wyglądają bowiem tak, jakby ostatnie większe ogarnianie infrastruktury robili jeszcze za Czechosłowacji: nieintuicyjne zjazdy, dziwaczna sygnalizacja (światło główne zapalające się dla jazdy, a strzałka do jazdy prosto, jakby nawet przestrzeń publiczna była tematem do czeskiej komedii), nawierzchnia, po której skacze się żabką, zamiast jechać (słynna autostrada z betonowych płyt między Brnem a Pragą), nie wspominając o literach na drogowskazach tak małych jak miejscowości, na które prowadzą.

Nie przepadam też za jeżdżeniem po Austrii. Wieczne zakorkowana i ciągnąca się jak deliryczny sen obwodnica Wiednia, wychowawczo wąskie pasy na autostradach rozdzielone zaraz przy krańcu szosy betonowymi zaporami tak, że człowiek ma wrażenie, że zacznie za chwilę krzesać burtą iskry, i wisząca nad tym wszystkim dogmatyka typu „gdy się człowiek spieszy, to się diabeł cieszy” – sto razy bardziej wolę nie-



FOT. MATERIAŁY PRYWATNE

Dzięki zdrowemu rozsądkowi człowiek widzący idiotycznie niskie ograniczenie prędkości na pustej dwupasmowej szosie przez pola po horyzont nie robi z siebie idioty

miecką autostradową politykę z jej wysokimi limitami prędkości, niemieckie szerokie pobocza i w miarę uważną jazdę kierowców.

Choć bywa różnie. Śmiesz mnie, gdy polscy kierowcy przekraczają niemiecką granicę od razu zaczynają albo jeździć nieco grzeczniej niż u siebie, albo demonstracyjnie szarżować, żeby pokazać, gdzie mają niemiecki porządek i tysiąc lat niełatwego sąsiedztwa. Tak działa założenie, że Niemcy są bardziej sztywni. Dlatego Polacy w Niemczech albo zwalniają i zmieniają w zdyscyplinowane roboty, zakładając, że tacy właśnie są Niemcy – a nie są, wyprzedzają na ciągłej takich zrobotyzowanych Polaków, mrugają światłami na obwodnicy Berlina, gdy wlecz się taki prowincjusz do do kilometra zgodnie z limitem, i potrafią skrócić w lewo na rondzie, co prawda pustym, bez objeżdżania wysepki.

Albo przypinają Polacy husarskie skrzydła i robią z siebie idiotów, demonstrując, że Polak umie na drodze wyprawiać takie rzeczy, które się Niemcom nie śniły. Nawet jeśli w niemieckim wozie.

Lub właśnie dlatego, że w niemieckim wozie. Bo to też nie nowego. Rdzenni Amerykanie, do niedawna zwani Indianami, ogarnęli jazdę konną tak, że biali, którzy te konie do Ameryki sprowadzili, patrzyli z otwartymi ustami.

Polacy bowiem są kierowcami kreatywnymi. Na tle europejskich narodów, wbrew naszej tendencji do samobiczowania, nie jeżdżą źle. Nie mają tendencji do chaotyczności, jak sąsiedzi z południa, ani takiej bezczelności, jak kierowcy z krajów poradzieckich, gdzie ludzie jeżdżą bardziej siłowo i zdecydowanie częściej lubią sobie zaparkować w miejscach dość nieoczywistych, jak wysepka pośrodku jezdni, albo regularnie ściągają się tirami na autostradach, blokując oba pasy (nie, żebyśmy my w tej konkurencji również nie byli silni).

A jednocześnie Polacy nie są kierowcami kostycznymi i umieją improwizować. Mnie też, szczerze mówiąc, drażni niemiecka tendencja, żeby gdy na dwupasmówce jest ograniczenie do setki, to przodownicy społecznej kontroli sto na godzinę jadą lewym pasem, blokując go, bo „szybciej przecież i tak nie można”. W Polsce natomiast, jak wiemy, „wszystko można, a nie można, byle z wolna i ostrożna”, i to w sumie działa. A działałoby jeszcze lepiej, gdybyśmy potraktowali serio, jak Gruzini, pierwszy warunek „z wolna”.

No cóż. W Polsce, według danych choćby Parlamentu Europejskiego, liczba ofiar wypadków jest wyższa niż w Niemczech czy Austrii, więc widać, czyje podejście do kwestii ruchu drogowego jest skuteczniejsze. Pytanie jednak, czy akurat nasza umiejętność drogowej improwizacji jest wszystkim winna. Przy czym przez „umiejęt-

ność improwizacji” nie rozumiem brawury: wszyscy znamy filmik, na którym polski kierowca, ładując się centralnie na rondo, wystrzeliwuje jak z Cape Canaveral, mijając wysoko na słupie kamerę monitoringu. Wszyscy znamy też tragiczne, a niestety, modelowe, historie pijackiego wyścigu na Wiślostradzie i nowobogackiego wyścigu na A1, gdzie „cisnący lewym” kierowcy zostali mordercami.

Ale brawura to jednak co innego niż zwykły zdrowy rozsądek, pojęcie ostatnio mocno krytykowane (częściowo słusznie, bo „zdrowy rozsądek” dla człowieka socjalizowanego w systemie feudalnym czy niewolniczym jest czymś innym niż dla człowieka, dla którego naturalna jest wolność jednostki), którego jednak wyzbyć się do końca nie można. Bo dzięki niemu człowiek widzący idiotycznie niskie ograniczenie prędkości na pustej dwupasmowej szosie przez pola po horyzont nie pozwala z siebie zrobić idioty.

I tak, mnie też, przynajmniej, zdarza się przejść na czerwonym. Ale do improwizowania, by na czerwonym przejechać, już nie jestem taki skory, choć wokoło głucha noc i miejscówka taka, że kolejnego auta można spodziewać się za godzinę. Głównie dlatego, przynajmniej, że boję się mandatu z tych słynnych już dronów drogowki.

Lecz na przykład Francuzi przed taką improwizacją się nie wzdragają, zwłaszcza poza miastem, mimo słynnych fotoradarów terminatorów, rejestrujących naraz kilka typów wykroczeń.

Swoją drogą, unijne statystyki są na pierwszy rzut oka zaskakujące. Weźmy na przykład fakt, że w Bułgarii liczba ofiar wypadków jest mniejsza niż w Rumunii. Rumunia przecież od pewnego czasu buduje porządne drogi (a od jakości szos wiele zależy – warto porównać, jak radykalnie zmniejszyła się liczba wypadków w Polsce od początku XXI wieku do teraz) i jeździ się tam mniej chaotycznie niż w Bułgarii.

Ale tylko na pierwszy rzut oka. Bułgarii może i na drodze bywają chaotyczni, ale to ten chaos „południowy” – taki, w którym istnieje wewnętrzna logika. I zgoda, ta logika czasem nieodwracalnie zawodzi, w Bułgarii, w Grecji i w krajach bałkańskich śmiertelność w wypadkach należy do najwyższych w Europie. Ale w Rumunii ta słabsza „południowość” łączy się ze „wschodniością”, czyli jazdą siłową.

Zresztą kto jeździł po Rumunii, ten wie, że lewy pas, przeznaczony dla szybszych kierowców, bywa zapchany do tego stopnia, że szybciej i płynniej jedzie się pasem prawym, na którym mało kto chce siedzieć, żeby nie wyjść na pozbawionego ikry emeryta. No, chyba że akurat prawy pas jest zablokowany przez parkującą dacie logan. Albo przez tabun dzikich psów. Albo dwóch facetów niosących pralkę.

Najlepiej, oczywiście, jeździło się za COVID-u. Drogi były puste, miasta niezatłoczone. Znalazło to odbicie w statystykach wypadków, które spadły tak gwałtownie jak częstotliwość nadawania dzieciom imienia Adolf po II wojnie światowej. Gdy ponownie wyjechaliśmy na szosy, wypadki powróciły.

Najwięcej ofiar śmiertelnych w Unii, według danych Eurostatu z 2022 roku, odnotowuje się w Rumunii (86 zabitych na milion mieszkańców). Następna jest Bułgaria (78 ofiar), a potem Chorwacja (71), która drogi ma całkiem niezłe. Ale jest popularnym celem turystycznym, do którego często jeździ się samochodem. A specjaliści wskazują na zmęczenie kierowców jako ważną przyczynę wypadków. No, ale cóż: mogą się uprzeć, by bronić kreatywności Polaków za kierownicą, prawda jednak jest taka, że na milion mieszkańców ofiar śmiertelnych w Polsce jest 50, a w stereotypowo niekreatywnych Niemczech – 33.

Ale statystyki mogą zaskakiwać. Bo jak zrozumieć to, że w dziesiątkę krajów UE o najwyższym wskaźniku śmiertelności, za Polską, Węgrami czy Włochami, jest Luksemburg? Dlaczego specjaliści mówią o tamtejszej specyfice ignorowania pieszych? Mówią też – co również zdumiewa w kontekście zamożnego, mieszczańskiego, odwiecznie „prawdziwie europejskiego” kraju – o jeździe po pijanemu. Większość wypadków w przewidywalnym, bezpiecznym Luksemburgu wydarza się bowiem późnym wieczorem albo w nocy.

Specjaliści nie wyjaśniają jednak, dlaczego statystyki Luksemburga aż tak bardzo się różnią od statystyk innych krajów Beneluksu. Być może przyczyną wypadków pod wpływem jest jego rozmiar dający poczucie lokalności: wsiadając na bani za kierownicę, można mieć złudzenie, że „to tylko kilka kilometrów, dam radę”.

Ale dlaczego w takim razie stosunkowo niezłe wypada Słowenia? A więc kto wie, może przyczyna leży w dobrobycie – po przekroczeniu pewnej granicy dobrego samopoczucia spowodowanego wyjątkowo dobrą sytuacją materialną traci się zdrowy rozsądek? Jednak w takim przypadku również fatalną, co Luksemburczycy, śmiertelność powinni mieć Szwajcarzy. A nie mają.

I, wzięwszy to wszystko pod uwagę, należy zmierzyć się z kolejną zagadką: dlaczego, jak ustalili specjaliści z Polskiego Biura Ubezpieczeń Komunikacyjnych, kierowcy z Niemiec powodują w Polsce prawie tyle samo wypadków co kierowcy ze wszystkich krajów poradzieckich razem wziętych, na których styl jazdy tak bardzo lubimy narzekać?

Zaryzykuję, że kierowcy z kraju wciąż zamożnego, mimo kulejących wskaźników gospodarczych, w samochodzie wciąż nowym i premium, jak na europejskie warunki, z tyłu głowy snuje się myśl „to dzięki kraj, więc ja też wreszcie mogę pokazać, jaki to ze mnie chojrak”. Nawet niekoniecznie świadoma, dekady stereotypizacji robią swoje. Jeśli wybraliś się kiedyś na wakacje na wschód albo południe waszym niemieckim czy japońskim SUV-em w leasingu, z pełnym pakietem autocasco i assistance, sami wiecie, o co chodzi. Więc pamiętajcie, że nawet jeśli jesteście Niemcami, którzy tylko nie mówią po niemiecku, to niekoniecznie musimy popelniać te same błędy. ●



Parlament Europejski

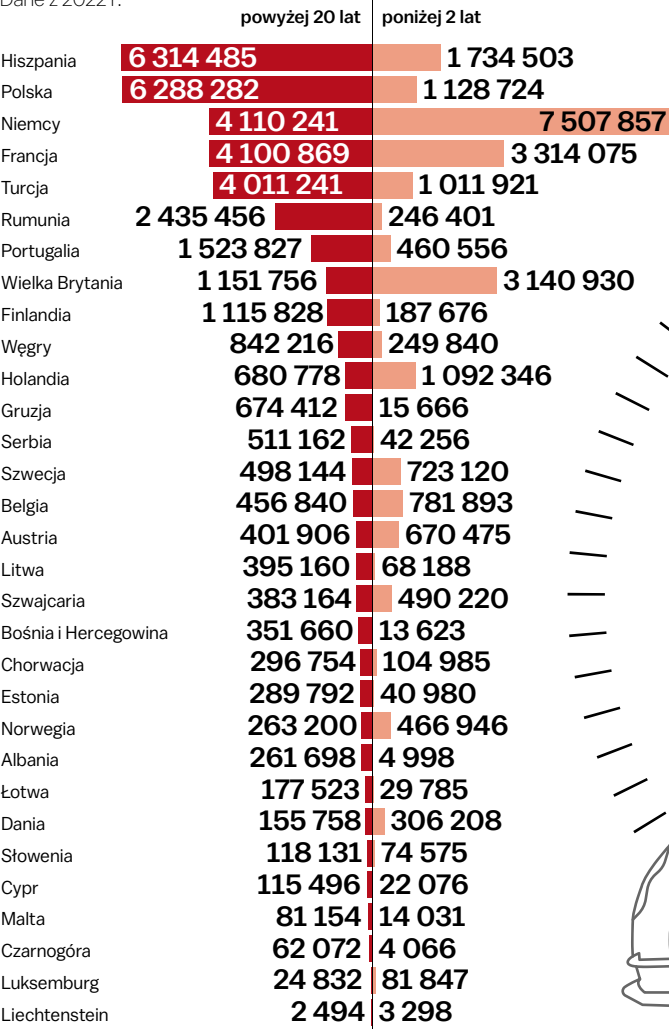
● Projekt WYBIERZMY NASZĄ EUROPE współpracujący jest przez Unię Europejską w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji.

● Wszelkie informacje i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają wyłącznie poglądy ich autorów. Parlament UE nie uczestniczył w przygotowaniu materiałów, nie odpowiada za ich treść i nie może być pociągany do odpowiedzialności za pośrednie lub bezpośrednie szkody mogące wynikać z realizacji projektu.

Jak jeździsz, Europejczyku?!

Wiek samochodów osobowych w Europie

Dane z 2022 r.



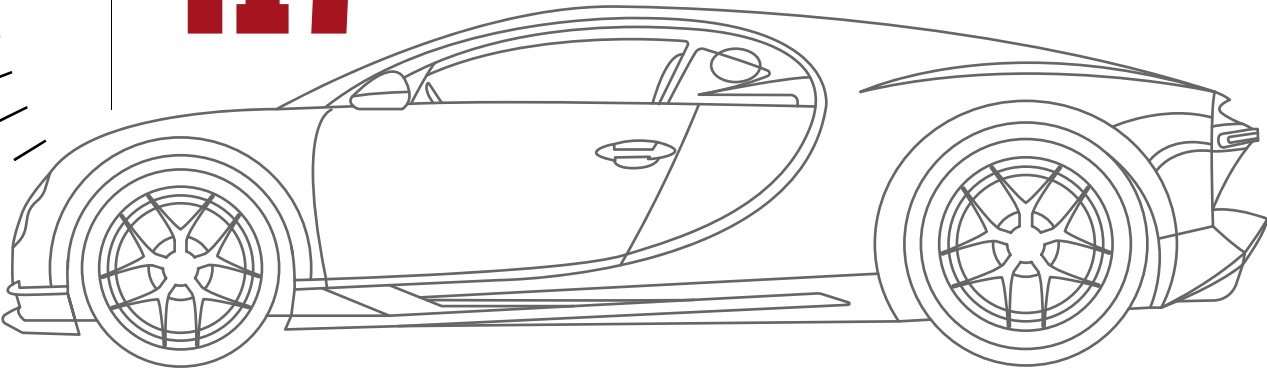
ŹRÓDŁO: EUROSTAT

Europejski rekord prędkości na publicznej drodze

Prawdopodobnie tutaj w 2021 r. kierowca rozpędził auto do rekordowej w Europie prędkości na drodze publicznej. To autostrada A2 w Niemczech

417 km/h

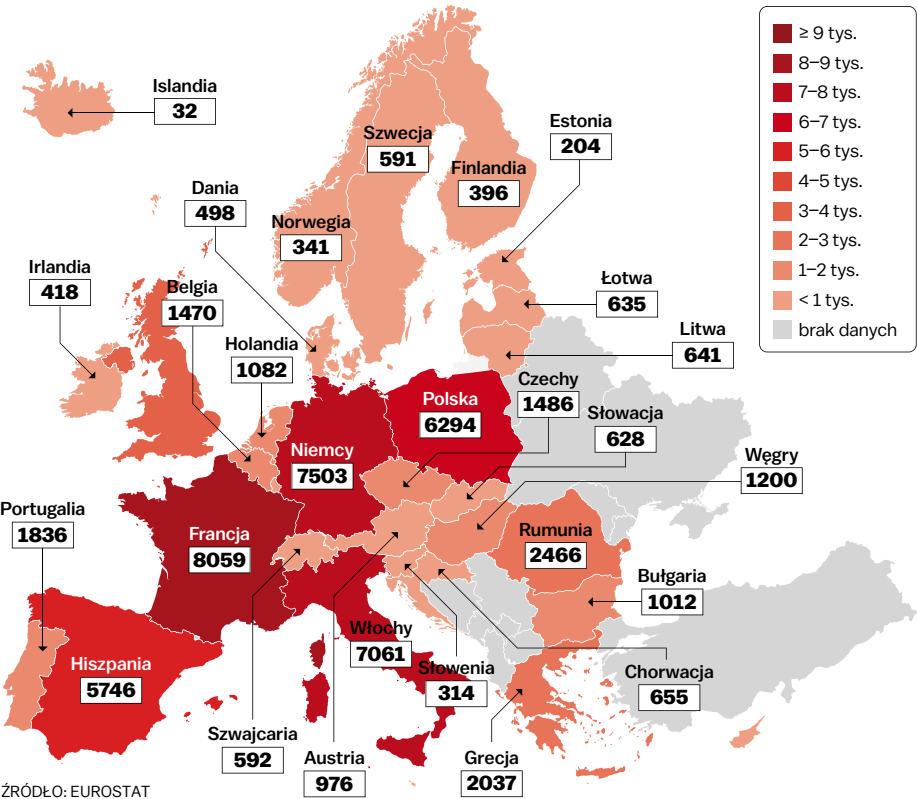
To najwyższa udokumentowana prędkość na drodze publicznej w Europie. Kierowca Bugatti Chirona osiągnął ją na autostradzie w Niemczech



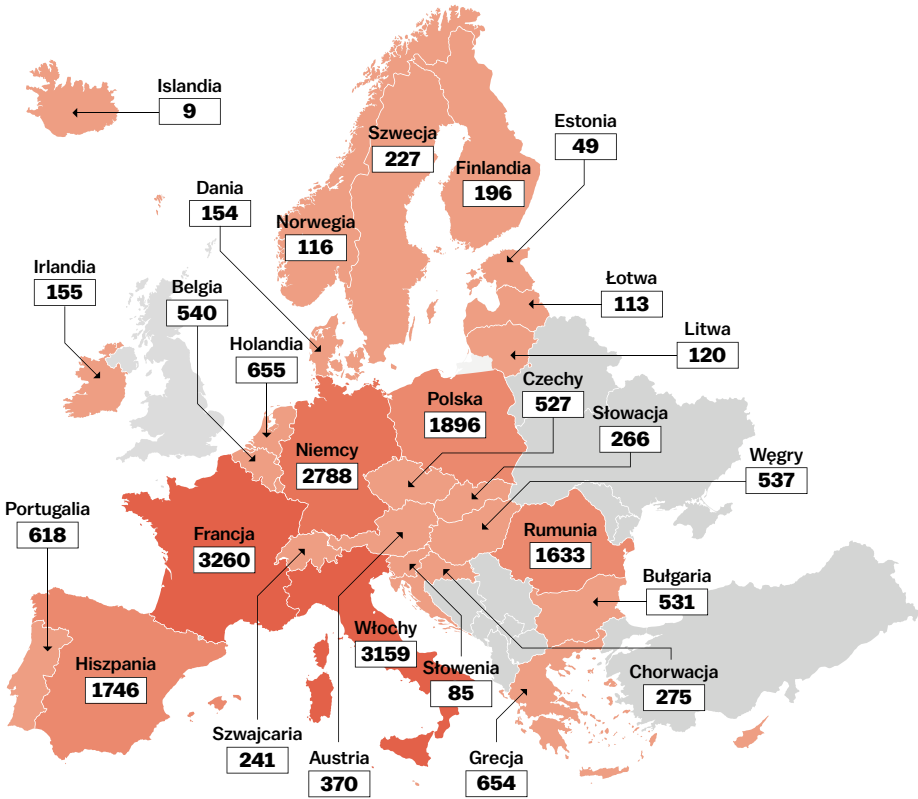
ŹRÓDŁO: YOUTUBE, AUTO ŚWIAT

Liczba śmiertelnych ofiar wypadków drogowych

2000 r. → 2023 r.



ŹRÓDŁO: EUROSTAT



Najwyższa kara w Europie za wykroczenie drogowe

24 mln euro

Tyle zapłacił właściciel Bugatti Veyrony za przekroczenie prędkości w Rotterdamie w 2011 r. Pojazdem kierował rzekomo jego syn



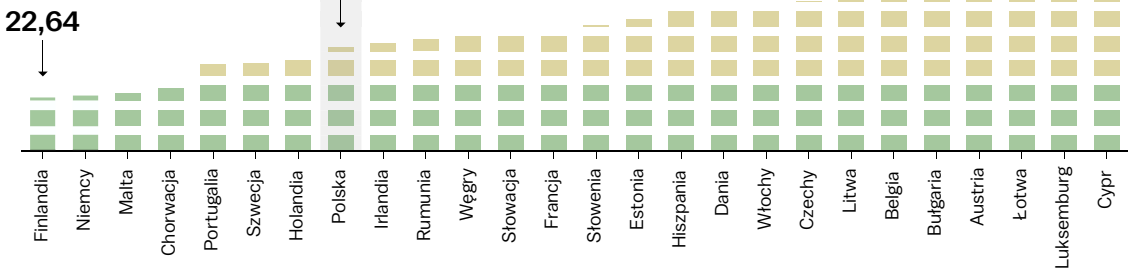
ŹRÓDŁO: AUTO ŚWIAT, TOP SPEED

1 RP INFOGRAFIKA: ŁUKASZ RUDNIKOWSKI / WYBORCZA.PL/BIQDATA

Szkodliwe poziomy długotrwały hałas drogowy

Ludność miejska narażona na szkodliwe poziomy długotrwały hałas drogowy

Dane w proc. z 2017 r.



Odsetek osób, które są narażone na szkodliwe poziomy hałas środowiskowego z dróg na obszarach miejskich o liczbie mieszkańców przekraczającej 100 000

ŹRÓDŁO: EUROSTAT

70. urodziny
prezydentaZ ALEKSANDREM
KWAŚNIEWSKIM
ROZMAWIAJĄ
AGNIESZKA KUBLIK,
ADAM MICHNIKJestem pełen
wdzięczności

AGNIESZKA KUBLIK: BBC nadaje u pana w gabinecie non stop?

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI: Za głośno? Ściszej, ale nie wyłączę. Czekam na wiadomość, którą na pewno oni podadzą jako pierwsi. Że nie ma Putina.

Naczeka się pan. A na razie podali inną wiadomość, gorszą: że Trump wygrał. Ale to dla pana żadna niespodzianka. Przewidział pan wynik na tydzień przed amerykańskimi wyborami. Jakim cudem, skoro sondaże i eksperci byli zgodni – różnice będą minimalne, on i Kamala Harris idą łeb w łeb?

– Znam Amerykę. Ona jest dużo bardziej, delikatnie mówiąc, konserwatywna, niż sądzimy. Ostatnie lata – COVID, szczepionki, ofensywa fake newsów – to pogłębiły.

Trump i jego charakter nie był dla tych wyborców przeszkodą. Oni go poznali, a mimo to chętnie uwierzyli, że na wszystko ma proste recepty. To jego talent – mówić absolutne kłamstwa z wielkim przekonaniem, jak o tych psach i kotach zjadanych

przez emigrantów. Ale on konfabulował w poważniejszych sprawach i z tym jest i będzie kłopot.

To pierwszy prezydent Ameryki z wyrokiem skazującym na koncie. Czego świat może oczekiwać od przestępcy, szemranego biznesmena, mizogina...

– ...oraz macho. W tym pojęciu mieści się cały Trump. Macho, który chciał mieć dużo pieniędzy, najlepsze dziewczyny w mieście i wysokie stanowiska. I teraz mamy przed sobą gościa, który ma dużo pieniędzy, miał piękne żony oraz po raz drugi został prezydentem Stanów Zjednoczonych. Jego maczyzm okazuje się skuteczny. To wielu imponuje.

Prokuratorka przegrała z przestępcą oraz prowadzącym atak motłochu na Kapitol po przegranych w 2020 r. wyborach prezydenckich. Co to mówi o kondycji połowy Ameryki?

– Prawdę. Źródło sukcesu Trumpa jest wiele, część nie jest nam obca, bo PiS czerpie z podobnych. Nacjonalizm – „Make America Great Again” – migracja jako zagrożenie dla bezpieczeństwa, znużenie elita-

mi, konserwatyzm, ale taki fundamentalny, oparty na strachu i chęci zniszczenia innych poglądów – lewica, gender, LGBT...

A kryzys gospodarczy wcześniej, pandemia potem oraz inflacja stworzyły nie tylko potężne grupy przegranych życiowo wyborców, lecz również wytworzyły taką atmosferę – niepewności, zagrożenia, przekonania, że sprawy idą w złym kierunku – wśród tych, którym nieźle się powodzi. Trump konsekwentnie do nich się zwracał, obarczając całą winą Demokratów i idealizując swoją prezydenturę. W ostatniej fazie kampanii postawił na inflację i pogorszenie sytuacji rodzin – bo nie Ameryki jako takiej, której idzie dobrze – oraz na migrację. Harris podkreślała prawa kobiet i walkę o demokrację, ale jak widać, obie te idee nie zbudowały większości. Ważna nauka przed naszymi wyborami.

Trumpa wspomógł Musk. Falszowymi wpisami. Tylko w pierwszych trzech tygodniach października miliarder opublikował co najmniej 28 fałszywych wiadomości na swoim koncie X, które obejrzano prawie 540 mln razy. A upraw-

Urodziłem się w dobrym momencie, mogłem takie fajne rzeczy przeżyć, spotkałem świetnych ludzi, od żony i córki poczynając.



FOJFOT: SAWOMIR KAMINSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

nionych do głosowania było około 240 mln wyborców.
– To jest ta nowość, która może zniszczyć demokrację. Możliwość manipulacji, trudność odróżnienia prawdy od kłamstwa, powszechność dotarcia z tym do wyborców jest śmiertelnym zagrożeniem. I do tego najbogatszy człowiek świata dysponujący takim instrumentem jak platforma X, stojący po jednej stronie politycznej sceny – to wywraca wszystkie zasady.

Ameryką, więc i światem, będą rządzić dwaj biali narcystyczni faceci: Trump i Musk. Gdyby Harris była białym mężczyzną, toby wygrała?
– Ze smutkiem powiem – miałyby większe szanse. To nie przypadek, że Trump wygrał zdecydowanie z dwoma kobietami – Hillary Clinton i Kamalą Harris, a przegrał o włos z niemal równolatkiem Joem Bidenem.

Republikanie mają teraz nie tylko prezydenta, ale również Senat i Izbę Reprezentantów, czyli Trumpa nikt nie zatrzyma, będzie mógł dotrzymać obietnic. Czego pan boi się najbardziej?

• **1995. Aleksander Kwaśniewski został najmłodszym prezydentem w historii Polski. Miał 41 lat, znał angielski, a jego hasło „Wybermy przyszłość” współgrało z aspiracjami polskiego społeczeństwa**

– Tego, że Trump pokroi Ukrainę. Tak po prostu. Ale nie dlatego, że chodzi na pasku rosyjskich służb, jak twierdzą niektórzy. Jemu bardziej niż o pokój chodzi o ego. Jego obsesją jest Barack Obama. On go nienawidzi, a jednocześnie chce jak Obama dostać pokojowego Nobla. Którego, na marginesie, Obama dostał na wyrost, nim jeszcze realnie się wykazał, a dziś wiemy, że niezasłużenie. Gdy Trump mówi, że doprowadzi do pokoju w Ukrainie, myśli: pokonam Obamę.

Rzecz jasna pokój zrobiony na chybcika to będzie po prostu kapitulacja Zachodu i sprzedaż Ukrainy, bo u Putina nic się nie zmieniło, wciąż chce mieć całą Ukrainę w swoich rękach, odczeka i pójdzie dalej. Jeśli nie siłą – bo trumpiści obiecują Żelenskiemu deal „pokój i ustępstwa za dostawy broni, żebyście mogli się obronić”, to wygrywając rozczarowanie i rozgoryczenie Ukraińców, podnoszących w takiej sytuacji głowę dawnych sympatyków Rosji w biznesie, w strukturach władzy, naciskając na wiele innych sposobów.

Zawierając taki niby-pokój, Trump zagra w grę Putina. Co oznacza, przy okazji, kolejną falę uchodźców.

A zakładając optymistycznie, że Trump w porę się połapie albo ktoś – bo w swoim otoczeniu ma nie tylko Muska – go otrzeźwi, to jak długo jeszcze Zachód i Ameryka mogą wspomagać Ukrainę?
– Bardzo długo. Spójrzmy na Izrael, zostawiając na boku ocenę tego, co dziś się dzieje na Bliskim Wschodzie. Stany Zjednoczone popierają go i realnie wspierają niemal od chwili powstania, czyli od siedmiu dekad. Niemal równie długo pomoc, taką twardą, w postaci nowoczesnego uzbrojenia czy popierania ich interesów, dostawały niektóre kraje arabskie, użyteczne z punktu widzenia Waszyngtonu, i nadal dostają. Innymi słowy, ograniczeń czasowych nie ma.

Mimo antyukraińskich nastrojów społecznych w Europie?
– Od tego są liderzy polityczni, żeby tłumaczyć tę sytuację. Poza tym to nie są politycznie istotne nastroje – dopóki Europejczycy nie będą konfrontowani z ryzykiem utraty życia, będą pomagać. Cóż to są pieniądze? W razie czego wydrukujemy ich więcej.
Na front nie trzeba iść, bomby nie latają nad naszymi domami.
Naprawdę niebezpieczne są nie nastroje antyukraińskie, tylko rosnąca obojętność. To, że Europejczycy się przyzwyczajają: ci Ukraińcy już tak długo giną, zbrodniarz wojenny już tak długo atakuje miasta, elektrownie, uprowadza dzieci, że to się stało częścią krajobrazu, więc godzimy się na to.

Naprawdę się godzimy?
– Fala obojętności rośnie. Pani nigdy nie spotkała się w rozmowach z pytaniem „ile to jeszcze może trwać?” i z argumentem „lepszy szybki pokój niż długa wojna”? To jest ta najbardziej niebezpieczna retoryka: „przecież my nie jesteśmy prorosyjscy, tylko chcemy pokoju, również dla dobra Ukraińców”.
W Polsce to jest mniej widoczne, bo mimo podskórnej antyukraińskości podsycanej plotką, ileż to oni nas kosztują, z przyczyn historycznych mamy świadomość, że Putin w Doniecku może być Putinem na linii Bugu. Ale w innych krajach europejskich na zachód od nas tej świadomości nie mają. Tam o cenę pokoju nie pytają.

ADAM MICHNIK: Wygląda na to, że długo nie doczekasz się tej upragnionej wiadomości w BBC. Tej o Putinie.
– Zobaczymy. Przez te lata doczekałem wielu wiadomości, o których myśleliśmy, że to już nie za mojego życia.

Bo moje życie ze stałe włączoną poważną stacją informacyjną zaczęło się 11 września 2001 roku. W Pałacu Prezydenckim szykowałem się na mowę z okazji Nagrody Drowicza, którą odbierał Norman Davies. Ściszyłem telewizor i nagle widzę, że coś wpada na wieże World Trade Center. Pomyślałem, że to reklama nowego thrillera political fiction, ale widzę napis „live”, więc zrobiłem głośniejsze. Zadzwońłem do premiera Jerzego Buzka, że musimy natychmiast zrobić sztab kryzysowy, skrzyknąć ludzi ze służb, zorientować się, o co tu chodzi, bo to będzie miało i dla nas konsekwencje, pachnie III wojną światową.
Od tego czasu mam stałe włączone BBC. Mimo że już nie ponoszę odpowiedzialności, staram się być na bieżąco.

11 września 2001 i 24 lutego 2022 to momenty zwrotne dla chyba każdego bez wyjątku. A jakie momenty zwrotne w twoim życiu politycznym uważasz za najistotniejsze?

– W życiu zabiegałem tylko o dwa stanowiska: w 1981 roku szefa studenckiego tygodnika „Itd” i szefa Komisji Konstytucyjnej w 1993 roku.

No i szefa partii. Już nie komunistycznej, tylko socjalistycznej, ale dla wielu Polaków tuż po Okrągłym Stole i pierwszych wolnych wyborach to nadal było jedno i to samo.
– W 1990 rozwiązaliśmy Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą, w lutym powstała Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Polskiej. Tu już miałem więcej wątpliwości.
Ale przypominała mi się bardzo ciekawa historia. Opowiedzieć?

Jasne.
– Pokazuje, jak można wszystko widzieć z różnych perspektyw. Jest rok 1994, rok przed naszymi wyborami prezydenckimi. Jestem zaproszony do Stanów, moi amerykańscy koledzy organizują mi spotkanie z Ronaldem Reaganem w Simi Valley w Kalifornii, gdzie mieści się jego prezydencka biblioteka.

Wchodzi dużo starszy, elegancki, opalony pan, ale widzę, że z rozmowy nici, bo raczej już nie kontaktuje – i rzeczywiście, nieco później ogłoszono, że Reagan się z nikim nie będzie spotykać – więc się rozglądam. Owalny pokój, jakby kopia Gabinetu Owального z Białego Domu, w nim ściana najważniejszych wydarzeń prezydentury Reagana. Szukam polskich wątków. Nie ma „Solidarności”. Nie ma Okrągłego Stołu. Nie ma czerwcowych wyborów. Jest rozwiązanie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w lutym 1990 roku. Jedyne polski wątek. Dla Polaka zaskoczenie, to przecież już tylko pokwitowanie klęski starego reżimu, przypis do najważniejszych wydarzeń. Z perspektywy Reagana – upadek PZPR to ostatni cios i triumf w wieloletniej walce ze smokiem komunizmu. Koniec PZPR to był jedyny polski wątek.

A z moich momentów przełomowych to jeszcze wejście do rządu Rakowskiego.

AGNIESZKA KUBLIK: Był pan u niego ministrem bez teki, szefem Komitetu Społeczno-Politycznego Rady Ministrów, do sierpnia 1989 roku. Ale w rządzie był pan już wcześniej. W 1985 roku został pan ministrem do spraw młodzieży.
– Wejść do rządu w wieku 30 lat to jest życiowy przełom. Również mentalny, bo trzeba przyjąć zupełnie inną perspektywę.
No i jeszcze Okrągły Stół. Jedno z najbardziej fascynujących przeżyć, jakie można sobie wyobrazić. Z niezwykłą dynamiką, dwa miesiące, 24 godziny na okrągło.
Prezydenturę, i to podwójną, też chyba mogę uznać za osobisty moment przełomowy.

Nie wymienia pan wejścia NATO i do Unii.
– Adam zapytał o przełomowe momenty w moim życiu. NATO, Unia to są dwa przełomowe momenty mojej prezydentury. Owszem, byłem liderem tych procesów, ale tymi sukcesami wypada się podzielić z innymi. Największe osiągnięcie, które uważam bardziej za własne, to konstytucja z 1997 roku, która się broni, dzięki Bogu, mimo kolejnych zamachów.

Broni się?
– Broni się, broni.
Pierwszy spór dotyczący konstytucji za czasów PiS dotyczył tego, że premier Beata Szydło nie drukowała wyroków Trybunału Konstytucyjnego, ale w konstytucji jest napisane, że prezes Rady Ministrów do druku wyroki kieruje „niezwłocznie”, więc premier mogła się tym zaslaniać.

Oczywiście dla normalnego człowieka zrozumiałe – bez zbędnej zwłoki. A jeszcze zaszły zmiany w technice: kiedyś wydrukować niezwłocznie to był dzień, dwa, a dzisiaj to jedno kliknięcie. Może dzisiaj trzeba by było napisać w konstytucji, że Prezes Rady Ministrów wyrok publikuje „niezwłocznie natychmiastowym kliknięciem”?

Ale to są, przepraszam, pierdoły. Każda konstytucja jest tworzona w konkretnym momencie historycznym z ludźmi, którzy przychodzą ze swoim doświadczeniem. A nasze doświadczenia były – można powiedzieć: szczęśliwie – takie, że wpisałyśmy w konstytucję dużo więcej zabezpieczeń, żeby komunizm i jego zbrodnie nie zdarzyły się ponownie, niż wpisałyśmy w innych okolicznościach dziejowych.

A z drugiej strony nie byliśmy w stanie, bo na jakiej podstawie, przewidzieć destrukcyjnie twórczej wyobraźni i złej woli Jarosława Kaczyńskiego.

I prezydenta Dudy. Ileż razy on konstytucję łamał! I nadal łamie. Na przykład w połowie października Naczelny Sąd Administracyjny dał mu miesiąc



FOT. SŁAWOMIR SIERZPUTOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

na decyzję w sprawie Michała Bilewicza, który od stycznia 2019 roku czeka na tytuł profesora.

– To raczej kwestia psychologii niż polityki. Prezydentowi, który ma ambicje, a nie wykazuje właściwej urzędowi dojrzałości, trudno przyznać, że w kilku kwestiach głowa państwa jest notariuszem, bo przecież w kwestii nadawania tytułów naukowych nie jest decydem. Profesor otrzymuje nominację w Pałacu Prezydenckim z rąk głowy państwa, ale nie ona nadaje tytuł. Prezydent musiałby więc rano przed lustrem przyznać, że jest notariuszem.

A jeśli idzie o wymiar polityczny, to nawet genialna konstytucja w rękach ludzi złej woli będzie wykorzystywana źle, nie najlepsza konstytucja w rękach ludzi dobrej woli będzie zaś służyć właściwie. Nasza koniec końców się broni – w Unii Europejskiej jesteśmy, NATO jest nawet ważniejsze niż 25 lat temu, gdy do niego wstępowaliśmy. Gdy chodzi o mój dorobek, jestem spokojny.

Opowiem o spotkaniu z Lechem Kaczyńskim w grudniu 2005 roku. Myśmmy przekazywali sobie władzę w niezwykle kulturalny, cywilizowany sposób. Spotkaliśmy się z Jolantą na kolacji z państwem Kaczyńskimi. Było miło, a przypominę, że Lech był adiunktem na Wydziale Prawa Uniwersytetu Gdańskiego, pracował z grupą studencką, w której była moja żona, ówczesna narzeczona, Lech wykładał prawo pracy. Przed deserami weszliśmy na górę, przejechałem mu różne kwestie tajne. Na koniec Lech mówi: – Słuchaj, byłeś bardzo szczęśliwym prezydentem, miałeś trzy wielkie rzeczy do przeprowadzenia – konstytucja, NATO, Unia Europejska. Co byś mi radził: co ja powinienem zrobić?

– To dobre pytanie – odpowiadam mu – i trudne, bo rzeczywiście tak wielkie rzeczy jak te trzy to jest trudno zrobić. Słuchaj, gdybym miał ci dać najprostszą radę, to taką, że tego nie wolno śpieprzyć.

I wyszedłem z tej rozmowy z przekonaniem, że tego się chyba nie da zepsuć. Okazuje się, że wszystko da się zepsuć.

ADAM MICHNIK: Ale to nie on zepsuł.
– Tylko jego brat.

AGNIESZKA KUBLIK: A jakie było pożegnanie z Lechem Wałęsą w 1995 roku?

– Żadne. W ogóle go nie było. Wałęsa zabronił swoim ministrom przekazywania obowiązków moim ministrom. Ze mną się oczywiście nie spotkał, nie przyszedł na inaugurację.

Gorzej było. Wchodzimy z pierwszą damą do Pałacu zaraz po inauguracji. Pusto. Jakby bomba neutronowa wybuchła, żywego ducha. Wita nas troje ludzi: pan Jacek, kucharz, pan Adaś, kelner, i pani Teresa, pomoc kuchenna. Nie muszę doda-

wać, że pracowali do końca naszej kadencji. A później z Wałęsą myśmmy odbudowywali te relacje z trudem. Tak naprawdę to one się zmieniły na lepsze wraz ze śmiercią Jana Pawła II.

Słyszałam, że ci, którzy pracowali ze wszystkimi prezydentami, pana wspominają najlepiej.

– Ogromny komplement. I chyba nie wypada mi tego komentować. Powiem tylko, że kierowałem się zasadą, że przełożony nie ma prawa wyzywać się na podwładnych. Mówiłem moim ministrom: – Jeżeli macie jakieś pretensje czy słabszy dzień, to przyjdźcie do mnie i mnie zróbcie awanturę, to będzie dowód na wasz charakter, bo jeśli wy swoje sekretarki, swoich współpracowników poniżacie, to jest dla mnie nie do przyjęcia.

ADAM MICHNIK: A co uważasz za największą porażkę w swojej karierze politycznej?

– Porażkę... Hm...

Zawiesiłem się nie przez próżność, po prostu szukam w pamięci rzeczy wielkich, bo o różnego rodzaju wypadkach wizerunkowych to nie ma co gadać, lepiej, żeby ich nie było, ale były, i jak nie takie, to inne mogą się zdarzyć każdemu.

Lewica – to moja ogromna porażka. Nie udało mi się zostawić lewicy na tyle skonolidowanej i ważnej, żeby w polskiej polityce miała znaczenie. Z dzisiejszej perspektywy to jest nawet poważniejszy błąd, niż sądziłem wtedy, kiedy kończyłem kadencję. Na długie lata weszliśmy w duopol, który nie jest dobry. Taka trzecia siła, niesolidarnościowa, mogłaby odegrać znaczącą stabilizującą, tonizującą rolę.

AGNIESZKA KUBLIK: W wyborach w 2001 roku SLD dostało 41,04 proc. głosów, w 2005 – 11,31 proc.

– Mogliśmy się postarać, żeby pewne procesy reformatorskie – bo przecież również ich doraźne skutki zaszkodziły lewicy, nie tylko afery – poszły lepiej.

Druza porażka – nie doceniłem tego, że dwie partie wywodzące się z „Solidarności” mogą doprowadzić do takiej polaryzacji społecznej. Może za słabo znalazłem wewnętrzny ruch...

W 2005 roku był – czy już prawie był, wszyscy oczekiwali, że będzie – PO-PiS. Nie osobno PO i osobno PiS jak przeciwstawne obozy zastępujące wcześniejsze obozy upraszczająco rozumiane jako „postkomunistyczny” i „solidarnościowy”, tylko jako zmiana u steru – centrolewicy na centroprawicę, tak jak na Wyspach zmieniają się laburzyści i torysi.
– Rzeczywiście, było myślenie o PO-PiS-ie. Gdyby to się udało, byłibyśmy innym kra-

Wejść do rządu w wieku 30 lat to jest życiowy przełom. Również mentalny, bo trzeba przyjąć zupełnie inną perspektywę

• **1990.** Trwa ostatni zjazd PZPR. Aleksander Kwaśniewski wychyla się w stronę Mieczysława Rakowskiego (pierwszy od prawej), ostatniego I sekretarza tej partii. W tej samej sali powstanie Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Polskiej, na czele której stanie Kwaśniewski

• **1992.** Manifestacja pierwszomajowa OPZZ i lewicy. Kwaśniewski, machając czerwoną gerberą pod pomnikiem Nike, nawoływał: „Miała być demokracja, a jest karczemna rozróbka na gorsze. Jeśli będzie nas więcej, to nie będziemy zdani na »solidarnościowe« rządy po wsze czasy”. Półtora roku później SLD znów było u władzy



FOT. MICHAŁ MUTOR / AGENCJA WYBORCZA.PL

jem, toby ostudziło różne już wtedy obecne koncepcje antykonstytucyjne.

Trzecia porażka – Ukraina. Choć to bardzo było trudne, to można było bardziej zaryzykować i wykonać więcej działań zewnętrznych w jej sprawie pod koniec lat 90. Wykorzystując czas imperialnego, ale koncyliacyjnego Jelcyna, otwartość ukraińskiego prezydenta Leonida Kuczmy, już wtedy mocno wpisać Ukrainę do struktur europejskich. Na co jakiś wpływ miałem.

Ale polityka to jest zarządzanie ryzykiem. Nigdy nie wiesz, co będzie. Czasami najlepsze intencje przeobrażają się we własną karykaturę. Czasami rzeczy, o których w ogóle nie sądziłeś, że coś z tego wyniknie, wychodzą wspaniale. Taki prosty przykład. Gdyby przed Okrągłym Stołem obie strony miały uczciwie jak przed Panem Bogiem napisać, jakie są ich oczekiwania na finał Okrągłego Stołu, toby się nie zbliżyli do tego, co się udało.

A jakie były wasze oczekiwania?

– Partyjne? Po pierwsze, zacząć dialog, włączyć opozycję na tyle, na ile możliwe, do współrządzenia. I mieć szansę przeprowadzenia, już bez manipulacji, uczciwych wyborów, które musiały się odbyć w 1989 roku.

Oraz je wygrać.

– Może raczej zremisować.

Tak czy owak, utrzymać władzę.

– Władzę rozszerzyć o „Solidarność”. Mówi się czasem, że chcieliśmy „Solidarność” umoczyć w prozie rządzenia, aby straciła w oczach Polaków, gdy i ją obciążą jako władzę kryzys, inflacja, bieda. Może któraś frakcja tak kombinowała, ale w kręgach decyzyjnych to naprawdę wynikało z przekonania, że strona solidarnościowa musi się przyzwyczaić do współrządzenia, zdobyć trochę doświadczenia.

A „Solidarność” chyba po prostu chciała przywrócić „Solidarność”.

Adam, a ty jakie miałeś oczekiwania na początku Okrągłego Stołu?

ADAM MICHNIK: Tak jak powiedział Olek, przywrócić „Solidarność”, bo jej legalizacja otwierała nową przestrzeń. A tego, co się stało, nie przewidywaliśmy, tak jak i wy.

– A ja, Adaś, ci powiem, że może i dobrze. Bo wyobraź sobie, nagle objawia nam się jakiś prorok, przychodzi i mówi: „Słuchajcie, jak wy dalej będziecie to tak ciągnąć, to PZPR zniknie”. Po waszej stronie wybuchłaby radość, po naszej raczej nie, ale powiedzielibyśmy: no, taki moment musiał przyjść, kontynuujemy rozmowy. Prorok przychodzi do nas ponownie i mówi: „Słuchajcie, jak wy będziecie to tak dalej ciągnąć, to upadnie Związek Radziecki”. Przerwa na namysł byłaby dłuższa, ale miłość do Związku Radzieckiego była dość ograniczona również po naszej stronie, więc – kontynuujemy rozmowy. Prorok przychodzi trzeci raz i mówi: „Jak będziecie to dalej ciągnąć, to Niemcy będą zjednoczone”. I nie wiem, czy wtedy też udało by się wrócić do rozmów, bo strach przed zjednoczonymi Niemcami byłby ogromny po obu stronach.

Czasami brak wyobraźni jest pomocny.

AGNIESZKA KUBLIK: A kto pana w życiu ściągał na ziemię?

– Ważne pytanie, bo psychologia w polityce gra równie ogromną rolę jak w życiu. Zaryzykuję, że typ psychologiczny jest ważniejszy niż poglądy ideologiczne. To, czy ktoś jest lewicowy, czy prawicowy, jest istotne, ale nie tak jak to, czy ktoś ma charakter umiarkowany, czy jest ekstremistą.



FOT. MACIEJ ZIENKIEWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

• **1997. Bill Clinton przyjechał do Warszawy, by uczcić zaproszenie Polski do NATO. Na pl. Zamkowym rzucił się Aleksanderowi Kwaśniewskiemu w ramiona, orkiestra zagrała sto lat, w niebo poszybowały tysiące białych, czerwonych i niebieskich balonów. Amerykański prezydent przemówienie zakończył okrzykiem: „Bezpieczeństwo na sto lat, wolność na sto lat. Boże błogosław Ameryce, Boże błogosław Polsce”**

• **1997. Aleksander Kwaśniewski wita się z mieszkańcem wsi Łąka Górna. Trwała powódź, ale dwa dni wcześniej prezydent podpisał nową konstytucję. „Konstytucja nie ma czarodziejskiej mocy, kłopotów nie zamieni w przyjemności. Ale otwiera perspektywę. Tworzy państwo nowoczesne” – mówił podczas uroczystości**

– Ale spadła. To się dokonało na początku tego stulecia. Do końca XX wieku procedurami demokratycznymi zarządzali politycy. Od nowego wieku zarządzają PR-owcy. Oczywiście dawni politycy rozumieli znaczenie wizerunku i marketingu, wtedy nazywanego propagandą, niekiedy byli cynicznymi manipulatorami, ale to oni kreowali politykę. Dziś polityk jest produktem, towarem, słucha PR-owców, a często bywa przez nich manipulowany.

Pan sam korzystał z pomocy Francuza, specja od politycznego PR-u Jacques’a Segeula.

– Z rad, które mi przekazał, najważniejsze były dwie. Pierwsza, żeby nosić niebieskie koszule, ponieważ mam niebieskie oczy, one będą to podkreślały...

Amerykanie już dawno to odkryli.

– Tak, ale myśmy wtedy o takich techniczno-psychologicznych trikach nie wiedzieli. On mnie ich nauczył. A druga rada była taka, żeby w czasie debaty z Wałęsą położyć na jego stoliku moje zeznania podatkowe. Zresztą Segeul się zgodził pracować ze mną właśnie ze względu na Wałęsę, bo wytłumaczono mu, że mam szansę wygrać z Wałęsą. W jego CV to byłoby duże wydarzenie, że doradzał nieznanemu w sumie facetowi, a na pewno nieznanemu z zachodniego punktu widzenia, który wygrał ze sławnym na cały świat Wałęsą.

Ale zmierzam do tego, że on w najmniejszym stopniu nie mógł nic doradzić w sprawach politycznych. Raz, że dla niego Polska była terra incognita. Dwa, że nikomu wtedy w Polsce nie przyszłoby do głowy budować programu, propozycji ustrojowych na podstawie porad kogoś spoza świata polityki, kto nie był ekspertem w jakiejś dziedzinie.

Pan dostał 9 704 439 głosów, Wałęsą – 9 058 176. Niewątpliwie wkurzenie go w telewizyjnym studiu panu się opłaciło.

– Pewnie tak. Ale debata, proszę sobie obejrzeć, była bardzo dobra. Dziś to jest ogromny problem – prymat socjotechniki, PR-u, tych wszystkich politycznych technologów, prymat reklamy nad treścią, nad sensem tego wszystkiego.

Druga przyczyna spadku jakości demokracji jest taka, że osłabły partie polityczne i sposób wyłaniania ludzi przez sito partyjne. Mamy czasy liderów oraz baronów, wpływowych polityków partii, którzy wskazują swoich totumfackich czy zaufanych. Dla młodego człowieka, który chciałby robić karierę polityczną, drogą bardziej praktycz-

ną od samodzielnego budowania pozycji od młodzieżówki i pokazywania, co potrafi, jest załapać się na asystenta u jakiegoś posła czy działacza bliskiego uchu przywódcy. Pół biedy, gdy ten poseł jest dobry, asystent może się przynajmniej czegoś nauczyć. Ale jeśli poseł jest idiotą albo cynikiem?

Degradacja świata politycznego wynika z tego, że oferty politycznej pracy, jakie otrzymuje młody człowiek po studiach, są słabe. Bo polityka to jest ryzyko, niepewność, nieduże pieniądze, niski prestiż społeczny.

Jesteśmy skazani na polityków coraz niższej jakości?

– I tak, i nie. Jeżeli ten proces będzie trwał, to demokracja tradycyjna, liberalna, którą znamy i do której dążyliśmy, będzie w dużym kryzysie i pójdzie w stronę systemów bardziej autorytarnych. A politycy w kierunku populizmu w jego negatywnym rozumieniu.

Populizmy autorytarne.

– Tak, populizmy korzystające z niezwykłych i nieznanych wcześniej instrumentów jak social media, deep fake, kiedy nie wiadomo, co jest prawdą, a co nie. Liczę na to, że zdarzy się szok – oby nie była nim wielka wojna – i otrzeźwienie przyjdzie wcześniej, powodując renesans demokracji. Oczywiście w innej, jeszcze nieznannej formie, bo nic starego już nie wróci.

Myślę, że modelem, który warto zacząć analizować jako sposób na tę reformę, jest to, co obserwuję w Szwajcarii z bliska, bo często tam bywam. Myśmy przez długie lata trochę podśmiewali się z ich polityki, ale to kraj, gdzie są cztery oficjalne języki, gdzie nikt z nikim nie walczy, nie licząc jakichś indywidualnych, personalnych, ludzkich ansów, bo nie ma opozycji, gdyż każda partia wchodząca do parlamentu ma przedstawiciela w rządzie. Prezydenta wyłaniają z grona rządu, rotacyjnego raz na rok, więc nikt nie zna nawet nazwiska prezydenta, ale go szanuje.

A jednocześnie jest niezwykle rozbudowana koncepcja referendów na wszystkich poziomach – gminnych, kantonalnych, federalnych. Pytamy ludzi o zdanie w różnych kwestiach – może to jest jakaś przyszłość demokracji w ogóle?

Że jeszcze się panu chce myśleć, wysilać, angażować, zamiast tylko cieszyć się życiem? Kończy pan 70 lat, piękny wiek.

– Wydaje mi się, że w przeszłości miałem piękniejsze.

Bardzo cenię umiarkowanie i ponoć jestem uważany za człowieka umiarkowanego, otwartego, dialogowego. W związku z tym trzymanie się ziemi, realiów, słuchanie ludzi jest dla mnie bardzo ważne. Zawsze się boję polityków, którzy w ogóle nie mają takich kontaktów.

Dzisiaj takim modelowym politykiem oderwanym całkowicie od rzeczywistości jest Putin. Nie dość, że stworzył system, w którym parlament jest nieważny, nie istnieją niezależne media, nie ma żadnych organów doradczych, z którymi on by się liczył, to nawet nie ma wokół siebie nikogo, kto by odważył się powiedzieć mu coś tak po ludzku. Putin nie ma rodziny, jest rozwiedziony, córki żyją za granicą. To samotny człowiek skazany tylko na swoją wizję wspieraną przez usługowych ludzi i służby, niekonfrontowaną z realiami.

Ja twarzo stąpałem po ziemi, zawsze przy mnie były żona, córka, która mogła powiedzieć, co myślą studenci, jej przyjaciele czy koleżanki, koledzy. Był teść, ojciec Joli. A w Pałacu zbudowałem wokół siebie zespół ludzi, którzy nie byli oderwani od rzeczywistości. To niezwykle ważne, bo pozwala racjonalnie i sensownie oceniać sytuację, także w wymiarze miękkim, ludzkich oczekiwań.

Kto panu mówił w oczy: źle robisz?

– W kwestiach „źle robisz” zawsze żona była najważniejsza. My jesteśmy małżeństwem partnerskim, gdzie się mówi o wszystkim i bez żadnej obawy. I mało tego, jesteśmy jeszcze na tyle energiczni czy energetyczni, że u nas nie ma cichych dni. Czasami odreagowanie jest choleryczne, ale to porządkuje sytuację.

Otaczali mnie świetni ludzie. SdRP w 1991 roku miało 60 posłów, byliśmy w Sejmie drugim ugrupowaniem, Unia Demokratyczna...

To nie przypadek, że Trump wygrał zdecydowanie z dwoma kobietami – Hillary Clinton i Kamalą Harris, a przegrał o włos z niemal równolatkami Joe Bidenem

...która, wyjaśnijmy, wówczas miała pozycję taką jak dziś Koalicja Obywatelska...

–...była zaledwie o dwóch posłów większa. Miałem: Józefa Oleksego, Leszka Millera, Marka Borowskiego, Krzysztofa Janika i Jerzego Szmajdzińskiego. Jeszcze były niesamowite kobiety, one to dopiero umiały powiedzieć prawdę w oczy! Iza Sierakowska, Danka Waniek, Anka Bańkowska, Krysia Łybacka. Z tej sześćdziesiątki ja bym spokojnie ze dwa, trzy rządy mógł zrobić.

Zawsze uważałem, że lepiej politykę robić metodą przekonywania, aniżeli nakazywania: „jestem tu szefem i ma być tak, jak chcę”. Zawsze miałem wielką satysfakcję, jak po dłuższych rozmowach, czasami nawet zbyt długich, na końcu przyjmowano stanowisko, na którym mi zależało, i nawet część uważała, że to było od początku ich stanowisko. Nie klóciłem się o prawa autorskie, bo najważniejszy jest cel. Jestem politykiem demokracji dyskursywnej, a nie dyktatorskiej.

Spadła jakość politycznych dyskusji?

– Spadła.

Typowe zrządzenie, że za mojej młodości było lepiej – ktoś nam odpowie.

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Przyjaciółka kiedyś powiedziała mi: ciesz się dzisiaj swoimi urodzinami, bo za rok będziesz miała więcej lat.

– To prawda. Wyznajemy z żoną zasadę, że trzeba się cieszyć każdym dniem, nawet drobiazgi powinny nas radować. Świat jest tak urządzone, że dyktatorów albo kandydatów na dyktatorów jest sporo, ale tyran, który nigdy nie upadnie, jest jeden i tym tyranem jest czas. Z nim nikt nie wygra. Trzeba to przyjąć.

Co by pan powiedział Aleksandrowi Kwaśniewskiemu, który ma te dwadzieścia parę lat i wchodzi do polityki?

– Że warto będzie. Pewnie zaraz zapytacie, co bym w życiu zrobił inaczej. Z odpowiedzią na takie pytania jestem niezwykle ostrożny. Mimo że jestem ateistą, uważam, że jeżeli ktoś tam na górze jest, to gdybym narzekał na to, jak moje życie się potoczyło, kogo spotkałem – przecież taką wspaniałą kobietę, z którą 45 lat małżeństwa będziemy świętować – co osiągnąłem, to on musiałby się zdenerwować i grzmotnąć mnie w łeb.

I codziennie śniadanie do łóżka żona dostaje?

– Codziennie nie da rady, ale w weekendy i spokojniejsze dni tak. Radość dla obojga.

Jeśli więc chodzi o moje życie po 70 latach, jestem absolutnie pełen satysfakcji i wdzięczności. Wdzięczności za to, że urodziłem się chyba w dobrym momencie, mogłem takie fajne rzeczy przeżyć, spotkałem świetnych ludzi, od żony i córki poczynając.

A władzy panu nie żal? Że się skończyło?

– Nie. To jeden z psychologicznych czynników, które często analizuję, obserwując ludzi na różnych stanowiskach – czy ktoś jest uzależniony od władzy, czy nie. Ja – jak sądzę – należę do grupy nieuzależnionych. I takich ludzi cenię bardziej, bo zachowują dużo więcej krytycyzmu, samokrytycyzmu i pokory wobec różnego rodzaju pokus.

Jest grudzień 1995 roku, zostaje pan, „komunista” – bo w społeczeństwie ta pamięć PRL i resentyment do „nomenklatury” są wciąż żywe – prezydentem po Wałęsie, żywej legendzie. Nie uderzyła na początku woda sodowa, że może pan wszystko?

– A nie. Woda sodowa to jest coś, co jest mi z definicji obce. Zachłyśnięcie się wygraną, pokonaniem legendarnego przywódcy „Solidarności”, znanego na całym świecie to jest radość całkowicie zrozumiała. Nie powiem, że jej nie odczuwałem. Ale jeżeli ktoś jest racjonalny, a ja jestem, czyli chodzi po ziemi, to wie, że wygrana jest jak szampan w sylwestra, a teraz zacznie się robota.

Jest bardzo ładna opowieść Tony’ego Blaira, która może będzie lepszą odpowiedzią na pytanie. Oni mają ten wspaniały system urzędniczej służby cywilnej, która nie zmienia się wraz z nowym premierem i jego ekipą. Ona zapewnia bardzo ważną rzecz, w Polsce niedocenianą, wręcz gwałconą, czyli ciągłość, dzięki której istnieje pamięć instytucjonalna i kolejni rządzący mogą sobie przekazywać doświadczenia.

No więc Tony przychodzi na Downing Street 10. Wprowadza go szef służby cywilnej. Niezwykle doświadczony, kulturalny, mówi: – Panie premierze, co miałem powiedzieć, powiedziałem, serdecznie panu gratuluję i chcę powiedzieć, że obserwowałem kampanię, to była bardzo dobra kampania... Tony Blair zachłyśnięty tym wszystkim rozpiera się w fotelu premiera, a szef służby pyta: – Jakie pan ma teraz dyspozycje? Tony opowiadał mi, że oblał się potem, bo zrozumiał, że to nowy etap, to już koniec kampanii, teraz musi decydować i ponosić pełną odpowiedzialność.

U mnie taki moment otrzeźwienia też przyszedł szybko. Czulem satysfakcję, więc może przyszedłby później, ale w sprowadzeniu na ziemię pomogły okoliczności. Jak tu celebrować zwycięstwo, kiedy na starcie prezydentury wybuchła afera Olina, a wkrótce potem przyjechała Elżbieta II? Oczywiście pierwsza i jedyna, historyczna



FOT. KRZYSZTOF RAKI/AGENCIA WYBORCZAJE

• **2003. Aleksander Kwaśniewski w Świątoszowie wśród żołnierzy 10. Batalionu Zmechanizowanego tydzień przed wylotem do Iraku. „W walce z terroryzmem musi być zademonstrowana siła i międzynarodowa solidarność” – mówił o decyzji wysłania polskiego kontyngentu, chociaż 3/4 Polaków była temu przeciwna**

wizyta królowej brytyjskiej to coś innego niż kryzys państwowy, jakim groziło oskarżenie urzędującego premiera o kontakty z rosyjskim szpiegiem – chodzi o to, że musiałem działać intensywnie od początku.

Polityka to jest miłość?

– Mocne słowo. Może pasja, namiętność?

Od dziecka polityką się interesowałem, czytałem o niej, szybko zacząłem ją praktykować. I nadal trochę praktykuję, nie bezpośrednio, ale dzieląc się wiedzą.

Bo były prezydent ma spory kapitał, to jest unikalne doświadczenie, które powinno być bardzo cennie na rynku. Śmieję się, że reprezentuję najmniejszą grupę zawodową w Polsce, byłych prezydentów – jest nas trzech: Wałęsa, Komorowski i ja. Dużo mniej niż premierów, o ministrach nie mówiąc.

To grupa, w której nie ma konkurencji. Pogodził się pan po latach z Wałęsą, z Komorowskim pan rozmawia.

– Z Komorowskim nigdy się nie pokłóciłem...

A Dudę przyjmiecie do swojego klubu byłych?

– Wpierw dokończę.

Po drugiej kadencji zostałem zaproszony do Uniwersytetu Georgetown, jezuickiego, w Waszyngtonie, i dostałem pięcioletni kontrakt. Co roku cztery dwu-, trzytygodniowe sesje, wykłady, spotkania ze studentami. A kto się kształci na Georgetown? Wszyscy, którzy chcą zrobić karierę polityczną związaną z aparatem państwowym. Mniejsza, czy w Departamencie Stanu, czy w Białym Domu – ci młodzi ludzie od początku są bardzo politycznie zorientowani. I okazało się, że z ich punktu widzenia jestem niezwykle ciekawym rozmówcą. To nie było takie grono, że trzeba wyjaśniać, gdzie jest Polska. Zadawali bardzo trudne pytania. Spotykam się z grupą doktorantów zajmujących się Unią Europejską i jeden z nich mnie pyta: – A co pan sądzi o liście prezydenta Turcji do przewodniczącego Komisji Europejskiej? Oczy-

Dopóki Europejczycy nie będą konfrontowani z ryzykiem utraty życia, będą pomagać Ukrainie. Cóż to są pieniądze? Wrazie czego wydrukujemy ich więcej

wście nie miałem zielonego pojęcia, ale trzeba było wybrnąć, więc mówię: – Jak sam pan powiedział, to był list do przewodniczącego Komisji, nie do mnie, więc nic panu w tej sprawie nie powiem.

To pokazuje głębię ich zainteresowań.

Miałem tam zajęcia z przywództwa z wybraną grupą kilkunastu osób. Zaciekawilo mnie, dlaczego tak wielu chce rozmawiać z byłym prezydentem Polski o przywództwie. Przyczyna okazała się dosyć prosta, mianowicie ich ciekawiło, co trzeba zrobić, żeby wygrać wybory prezydenckie tak młodo, w wieku 41 lat.

Co im pan powiedział?

– Że trzeba mieć sensowny cel, że to nie może być obliczone tylko na zdobycie władzy, że trzeba umieć się komunikować z ludźmi o odmiennych poglądach, że muszą być otwarci, że muszą wiedzieć, że nie wszystkie orły są pod ich partyjnym dachem, czyli trzeba się otworzyć na innych.

Jeden wykład był poświęcony temu, jak przywódca powinien się relaksować. Mówiłem o sporcie, o podziale dyscyplin na dwa typy. Jedne sporty to takie, które powodują, że głowa się nie czyści, na przykład biegasz i po iluś metrach, kiedy oddech jest już uregulowany, ciągle myślisz. Jeszcze gorsze jest pływanie, bo między jedną ścianą basenu a drugą trzeba o czymś myśleć, więc głównie myślisz o robocie.

Ale są sporty, gdzie nie możesz myśleć o niczym innym – tenis, gdzie masz przeciwnika, więc musisz się skoncentrować,

wszystkie gry zespołowe wymagające koordynacji działań, intuicji, inteligencji emocjonalnej, współpracy, narciarstwo, w którym bez refleksu i pełnej koncentracji ani rusz.

Tylko że nie zawsze jest okazja uprawiać taki sport. Mam dla was dobrą radę – i tu ich zaskoczyłem – musicie nauczyć się gotować.

Pan gotował?

– Dobrze gotuję, bez fałszywej skromności.

Wytłumaczyłem im ideę tego gotowania: gdy zapraszasz znajomych czy przyjaciół i chcesz im coś przygotować, to musisz wymyślić menu, pomyśleć, co trzeba kupić, jak to oprawić, co w jakiej kolejności i tak dalej. Pochlania cię to, przez dwie, trzy godziny myślisz wyłącznie o tym, żeby niczego nie zepsuć, żeby efekt był dobry. Czyścisz myśli ze wszystkiego innego, a jeśli masz szczęście mieć dobrych przyjaciół, to jeszcze cię pochwalą, czyli dodatkowo masz satysfakcję.

Popisowe dania?

– Kiedyś robiłem pizzę, w czasach, kiedy jeszcze nie była taka modna, miałem swój przepis, swoją technologię, do dzisiaj niektórzy je wspominają. Teraz pizza jest już tak popularna i tak dobra wszędzie, gdzie bywamy, włącznie ze Szwajcarią, że nie chce mi się czasu tracić.

Po latach wróciłem do chińskich przepisów, córka to przyjęła z wielką radością. Robiłem chińszczyznę jeszcze w peerelowskim mieszkaniu, ona to pamięta, ten wok i różne chińskie dania. O właśnie, muszę przypomnieć córce, że nie chcę innego prezentu, tylko palnik do woka, mam taki wybrany, żebym mógł częstować rodzinę i gości chińszczyzną również na Mazurach.

Kiedyś robiłem comber barani z gruzińskim sosem. Też jest wspominany przez przyjaciół. Robię dobre steki. Takie typowo męskie dania. A moja żona jest mistrzynią świata, jeśli chodzi o zupy. Nikt lepszych nie robi. Mój ulubiony chłodnik przygotowuje tak, jak moja babcia, genialny. A wszystkie grzybowe, ogórkowe, krupniki to jest fantazja.

Natomiast moja córka – która, choć jest z nowego pokolenia, które już jadło poza domem, na mieście, świetnie gotuje – ma to, co w kuchni nie jest częste, a jest cenne, czyli skłonność do ryzyka, takich twistów, eksperymentów. I jest fenomenalna, gdy chodzi o kuchnię włoską i wszystkie owoce morza.

Kiedy przyszła pierwsza fala COVID-u, akurat byliśmy w Szwajcarii. Narty się skończyły, wszystko zamknięte, Kuba, mąż córki, nie mógł dolecieć. Co robić? Te dwa miesiące to była jedna wielka niekończąca się uczta. Pracowaliśmy na zmianę, każdy miał swoje zadania tego dnia, dostępność towarów była pełna i żeśmy sobie folgowali, odkrywając nowe kulinarne talenty.

To co z tym Dudą? Za chwilę będzie byłym prezydentem. Dołączy do klubu byłych prezydentów?

– Nie. Dlatego że takiego klubu nie ma.

Z Bronisławem Komorowskim mam normalne kontakty, w sensie swobodne i spontaniczne, bo dzwonimy do siebie, czasem spotykamy się zjeść coś razem, wypić dobre wino i pogadać. Z Wałęsą to jest trudniejsze z przyczyn historycznych i geograficznych, bo mieszka w Gdańsku, ale spotykamy się przy różnych okazjach.

Z Andrzejem Dudą też się spotykałem, bardzo rzadko, ale w Davos, w czasie World Economic Forum, dwa razy mnie zaprosił na kolację. W większym gronie, ale siedzieliśmy, gadaliśmy, więc to nie jest tak, że kontaktów nie ma. Natomiast problem, który mam z prezydentem Dudą, jest taki, że nie zgadzam się z wieloma decyzjami, które podjął, a przede wszystkim ze stylem jego prezydentury za mało niezależnej.

ADAM MICHNIK: Mówimy o klubie trzech żyjących prezydentów, bo prezydentów przed Dudą mieliśmy czterech. Pierwszym w wolnej Polsce był ostatni przywódca Polski Ludowej – generał Jaruzelski. Nigdy nie pomyślałbym, że ja, wróg publiczny tamtego reżimu, zwłaszcza w stanie wojennym dla tamtego reżimu, będę uczestniczył w obchodach ku czci Jaruzelskiego, a ty będziesz ich patronem. Ciekaw jestem waszej relacji – młodego, myślącego po nowemu, pnącego się w górę działacza z umundurowanym szefem państwa, od dekad w wierchuszcze.

– Jaruzelskiego znalazłem jak wszyscy w partii, czyli tak naprawdę nie bardzo.

Nasza znajomość się zaczęła, kiedy byłem świeżo upieczonym redaktorem naczelnym „Ltd”. Początek stanu wojennego. Polacy są zszokowani, strauumatyzowani, głęboko podzieleni, a co dopiero nasi czytelnicy, czyli środowisko studenckie, już wcześniej w znakomitej większości albo antykomunistyczni, albo głęboko nieufni wobec władzy. W redakcji kombinujemy, jak w tych warunkach tworzyć pismo interesujące, które nie będzie ignorowane jako tuba propagandowa „junty”. Bo tak mówiono o „wronie”, Wojskowej Radzie Ocalenia Narodowego.

Wcześniej „Ltd” było rozchwytywane, bo drukowało porady seksualne Lwa-Starowicza, dobre felietony, świetne karykatury, opowieści o popkulturze. Nie było powodu, żeby z nich rezygnować, jako raczej apolityczne cenzury one nie interesowały, więc ci, którzy chcieli pisania świeżego, do ludzi, fajnym językiem, dalej nas czytali. Ale co z doбором rozmówców?

Wkrótce zwołano spotkanie redaktorów naczelnych z samym Jaruzelskim. Siedzimy w Popowie pod Warszawą w centrum konferencyjnym Ministerstwa Sprawiedliwości i generał mówi: – No, towarzysze, jest takie pismo studenckie „Ltd” i ono wydrukowało wywiad z Karwatem i Malanowskim, młodymi uczonymi z Uniwersytetu Warszawskiego, którzy dyskutują z książką Michnika „Kościół – Lewica – Dialog”.

Gdy wymieniał twoje nazwisko, wszyscy zaczęli na mnie patrzeć. W oczach mieli nieme „już po nim”. Przypomnę kontekst i atmosferę – jeszcze kilka miesięcy wcześniej czołgi na ulicach, godzina policyjna, liderzy „Solidarności” internowani, ty jesteś



FOT. SŁAWOMIR KAMINSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

• **2002. Aleksander Kwaśniewski i Jolanta Kwaśniewska. Poznali się na studiach w Gdańsku, oboje należeli do Socjalistycznego Związku Studentów Polskich: on był szefem rady uczelnianej, a ona przewodniczącą rady wydziałowej. 23 listopada będą obchodzić 45. rocznicę ślubu**

symbolem, głównym piórem opozycji antykomunistycznej. A generał ciągnie: – To było bardzo dobrze zrobione, to jest ten język, którym możemy rozmawiać z młodymi ludźmi. Zostałem bohaterem.

AGNIESZKA KUBLIK: Początek kariery politycznej młodego działacza partyjnego dzięki Adamowi Michnikowi.

– W jakimś sensie tak, ale niech Adam nie dopisuje tego do swoich sukcesów. W 1985 r. trafiłem do „Sztandaru Młodych”, podobno z jakimś błogosławieństwem generała. A to już było naprawdę coś, jeden z najważniejszych dzienników w kraju, dla partii bardzo ważny, bo postrzegany przez ludzi jako ten otwarty, niebetonowy, przeciwieństwo oficjalnie propagandowej „Trybuny Ludu”.

Ale takie normalne, ludzkie kontakty z generałem to zacząłem mieć dopiero, gdy przestałem być prezydentem, a on już dawno był emerytem. On ma czas, ja mam więcej czasu. Wreszcie się spotykamy na gruncie towarzyskim, także u niego w domu. Powiem wam, że tak skromnego domu to nie widziałem. Zwykły segment urzędzony przez wojskowego, który o designie miał takie pojęcie jak... jak każdy ówczesny wojskowy.

Wtedy z generałem rzeczywiście była okazja do rozmów o wszystkim, na każdy temat. I pokazał siebie jako człowieka o kolasalnym poczuciu odpowiedzialności, które było, jak sądzę, rezultatem dzieciństwa w dworku, gimnazjum zakonu marianów, doświadczenia Sybiru, wojska. Wychowania najpierw sanacyjnego, potem komunistycznego, ale też z zacięciem patriotycznym i z dużą sympatią do Kościoła.

On wymyślił, żeby na jego grobie napisać tylko „Wojciech Jaruzelski, żołnierz”, data urodzenia, data śmierci. Wiele razy mi o tym wspominał, prosił, żebym przypominał Monice, jego córce, i jego znajomym. No i prawie się tak stało, na płycie jest „generał” i „żołnierz”.

A pamiętacie z Adamem wasze pierwsze spotkanie?

– Pamiętam świetnie, Adam nie ma prawa tego pamiętać. To był jeszcze tak zwany fe-

stiwal „Solidarności”, kiedy po pamiętnych protestach robotniczych w Stoczni Gdańskiej władza dopuściła opozycję do przestrzeni publicznej. Spotkanie z Adasiem w jakimś klubie, tu w Warszawie, wydaje mi się, że w Hybrydach...

ADAM MICHNIK: W Remoncie.

– A tak, w Remoncie. I ja tam byłem.

Wybacz, nie pamiętam, nazwisko „Kwaśniewski” kojarzyłem, bo wysoki działacz państwowego studenckiego związku to nie była błaża funkcja, ale byłeś w tłumie, a nie znałem cię z twarzy. Ale samo spotkanie pamiętam świetnie, bo pierwszy raz od wielu, wielu lat mogłem normalnie wystąpić w publicznym miejscu. A wiesz, Agnieszka, potem Olek mi opowiadał, że zapamiętał jeden moment: kiedy ktoś zadał mi pytanie, czy to z powodu represji się jąkam, a ja odpowiedziałem, że nie.

– Adaś w takim typowym dla siebie stylu odpowiedział mniej więcej: – W tej sprawie małe sprostowanie: ja tak od dzieciństwa. I to bardzo nam się podobało, taka szczerść, bo widzieliśmy człowieka, który w warunkach walki, i to walki z perspektywy historii słusznej, mógłby skorzystać z okazji do oskarżenia reżimu jeszcze i o to. A on mówi prawdę, pokazuje poczucie humoru i autoironię, dystans do samego siebie.

AGNIESZKA KUBLIK: Czyli coś, czego chyba brakuje prezydentowi Dudzie. I tej przyzwoitości też, bo konstytucję, z której jest pan tak dumny, złamał co najmniej kilkanaście razy.

– Dlatego mówię, że mimo naszych nielicznych, ale niezłych spotkań mam z nim problem. I nie łagodzi go to, co dzieje się dziś. Nie rozumiem tej błędnej koncepcji kohabitacji, która polega na sabotowaniu. Mogę przyjąć, że bardzo twarde wystąpienia wobec rządu są po to, aby Andrzej Duda mógł wejść do batalii o przywództwo na prawicy, ale po pierwsze, uważam je za mniej istotny cel niż to, jak zostanie zapamiętana prezydentura. Ona zostaje w podręcznikach i ludzkiej pamięci, a nie epizod partyj-

nego liderowania. Po drugie, raczej mu się to nie uda.

A po trzecie, Duda ryzykuje bardzo wiele z takiego bardziej bieżącego interesu wspólnego, interesu państwa. Bo miłości między nim a premierem już nie będzie, a przecież ułożenie relacji z rządem na zasadzie „możemy się nie lubić, ale dla dobra Polski niezbędne decyzje będą podejmowane” powinno być czymś oczywistym.

Ja przez pięć lat miałem kohabitację. A teraz już na powitanie nowego rządu mieliśmy blokowane nominacje ambasadorów.

No, ta pańska trudna była na początku.

– To prawda. Szczególnie do wyborów prezydenckich w 2000 roku, póki ogromne ambicje prezydenckie miał Marian Krzaklewski, formalnie szef „Solidarności”, w istocie szef dominującej w rządzie Akcji Wyborczej Solidarność.

Relacje między kancelariami premiera i prezydenta były dość napięte.

– Ale myśmy to z premierem Buzkiem uregulowali. A z Bronisławem Geremekiem, szefem MSZ, uregulowaliśmy sprawy ambasadorskie. Jeżeli by pani mnie zapytała o ten spór o ambasadorów...

Oczywiście, że zapytam, bo Duda blokuje nominacje ambasadorskie w USA, Izraelu, Ukrainie, przy NATO...

– ...tobym odpowiedział, że porozumienie powinno od początku polegać na uwzględnieniu interesów drugiej strony. Rząd rozumie, że prezydent ma kilku swoich ludzi, których chce utrzymać, bo to kwestia i jego odpowiedzialności za tych ludzi, i jego prestiżu. A prezydent musi zrozumieć, że w niektórych miejscach rząd musi mieć ludzi, do których ma pełne zaufanie. To jest właśnie NATO, Unia Europejska, Waszyngton, dodatkowo to może być Berlin, Londyn, Paryż. I tu prezydent powinien ustąpić. Powiedzieć: dobrze, to wasze decyzje.

Po tych wszystkich naruszeniach praworządności, konstytucji, wpadkach wizerunkowych Duda ma jakieś szanse na karierę za granicą?

– Może trafi do think tanku czy do jakiejś uczelni. Nie sądzę, żeby zaproponowano mu istotne stanowiska w instytucjach europejskich czy międzynarodowych.

Skoro jego „przyjacieli” Trump wygrał...

– Na pewno to jest jakaś nadzieja, ale radziłbym liczyć na siebie i znaleźć pomysł na życie po prezydenturze. Wdzięczność w polityce to towar o najkrótszym okresie ważności.

Pan miał szansę i ją wykorzystał. Wykłady w USA, mediacja w kryzysie politycznym w Ukrainie, zabieganie o ukraińskie interesy w kręgach unijnych, doradztwo w sprawach międzynarodowych prezydentowi balansującego między Rosją a Zachodem Kazachstanu... To o czym marzy spełniony 70-latek?

– O zdrowiu.

Pierwszym sygnałem, że nie jestem taki młody, był dla mnie COVID, który ciężko przechorowałem. Potem była ponadroczna walka z kolanem, nieskomplikowany zabieg skończył się wszczepieniem mi bakterii, była konieczna operacja, długa rehabilitacja, druga operacja. Ostatecznie wszystko poszło dobrze, mam nowe kolano, lecz to mi uświadomiło, co to znaczy nie mieć zdrowia. I tak mam szczęście, że zdarzyło to się późno, ale do osoby, która zawsze była mobilna, nie miała kłopotów ze zdrowiem, dotarło nagle, że chodzę o dwóch kulach i nie mogę sobie przynieść herbaty, muszę prosić o podanie kawy i nawet podstawowe czynności w toalecie są trudne, nie mówiąc o pokonaniu paru schodków – to był szok.

Zdrowie rodziny i własne – to jest moje marzenie. Resztę sobie załatwię sam, ale tutaj liczę na przychylność najwyższego.

Jeżeli jest. ●

W tych emotach jest metoda

Nie jestem miłośnikiem wyrażania emocji za pomocą emoji, ale rozumiem, że mogła to być próba posłużenia się językiem zrozumiałym dla prezydenta elekta.



Michał Rusinek

Chyba pierwszy raz w historii wyniki wyborów prezydenckich w Stanach Zjednoczonych wywołały tak wielkie poruszenie wśród polityków naszego kraju. Prawa strona polskiego parlamentu skandująca na sali sejmowej imię i nazwisko prezydenta elekta innego kraju – to bezprecedensowy obrazek. Czy gdyby wybory wygrała jednak kandydatka demokratów, to środkowa i lewa strona skandowałaby jej imię i nazwisko? Obawiam się, że wyrażałaby radość na inne sposoby. I to nie tylko dlatego, że Ka-ma-la-Ha-rris jest mniej wdzięczna pod względem prozodycznym niż Do-nald-Trump. Niektórzy posłowie PiS zamieścili w serwisach społecznościowych swoje zdjęcia w czapczkach „Make America Great Again”, a Robert Gontarz nagrał filmik, na którym tańczy w stylu Trumpa do piosenki „YMCA” na tle szczerego pola. Być może była to aluzja do popularnej piosenki braci Golców, w której zapowiadali, że tu na razie jest ściernisko, ale będzie San Francisco – czyli będzie jak w Ameryce Trumpa.

Na skandowaniu, noszeniu czapczek i tańcach się jednak nie skończyło. Prezydent Andrzej Duda napisał na portalu X: „Congratulations, Mr President Donald Trump! You made it happen!” oraz dodał aż sześć emotikoniek (trzy pary łapek bijących brawo, polska i amerykańska flaga, między nimi łapki ściskające się nawzajem). Jego ostatnie wpisy opatrywane były maksymalnie trzema emotikonami, można więc tu chyba mówić o emocjonalnej erupcji. Nie jestem miłośnikiem wyrażania emocji za pomocą emoji, ale rozumiem, że mogła to być próba posłużenia się językiem obrazkowym, zrozumiałym dla prezydenta elekta. „You made it happen!” można przetłumaczyć jako „udało ci się to zrobić!”, albo po prostu „udało ci się!”, co można traktować zarówno jako wyrazy uznania dla prowadzonej przez Trumpa kampanii, jak i jako okrzyk kogoś, kto wprawdzie – jako prezydent innego kraju – nie powinien nikomu w tych wyborach kibicować, ale tak się złożyło, że właśnie Trumpowi kibicował. Fart.

Premier Donald Tusk posłużył się tylko dwiema emotikonkami, w dodatku przewidywalnymi – z flagą polską i amerykańską – i napisał, że gratuluje wygranej i liczy na współpracę dla dobra obu narodów. Słowem – nuda, chłód i profesjonalizm.

Prezes PiS Jarosław Kaczyński był jeszcze bardziej powściągliwy i – trzeba przyznać – całkiem rozsądny. Wyraził zadowolenie ze zwycięstwa Trumpa, przyznał, że „Stany Zjednoczone są oczywiście ciągle najważniejszym państwem świata”, a na pewno „najważniejszym państwem Zachodu”, ale dodał, jakże słusznie, że „jednak nasze sprawy są oddzielne”. Odnosił się także do pomysłów przyszłego wiceprezydenta na politykę USA wobec krajów Europy Środkowo-Wschodniej: „Wiem, że J.D. Vance ma poglądy o tej części Europy, z którymi

nie sposób się zgodzić, ale to Donald Trump będzie prezydentem. Słowa, słowa, słowa. Zobaczymy, jakie będą konsekwencje”.

Zwróćmy uwagę na subtelny cytat z Szekspira, w którym Poloniusz pyta: „Co czytasz, książę?”, a Hamlet odpowiada: „Słowa, słowa, słowa”. Aż się prosi, by zacytować kolejną kwestię Poloniusza: „W tym szaleństwie jest metoda”; do tego sprostować bowiem komentarze wielu dziennikarzy, którzy próbują nas uspokoić w kwestii polityki przyszłego prezydenta.

Bicie dzwonów przenosi nas automatycznie na polską prawicę, która jest zdania, że wygrana kandydata republikanów w wyborach prezydenckich w USA jest właściwie jej wygraną. Mariusz Błaszczak na przykład jest zdania, że „Donald Tusk, po wygranej Donalda Trumpa, powinien podać się do dymisji”. Premier odpowiedział, że nie bardzo rozumie ekscytację i niedojrzałość po stronie niektórych polityków opozycji: „Błaszczak popisał się najbardziej niesuwerenną wypowiedzią, która sugeruje, że wydarzenia w innych krajach decydują o tym, kto rządzi w Polsce. Nie chcę używać zbyt mocnych słów, ale o tym, kto rządzi w Polsce, decydują polscy wyborcy, a w Stanach Zjednoczonych – amerykańscy. My będziemy szanowali bez żadnego problemu, z oczywistych względów, i respektowali demokratyczny werdykt w USA”.

Jeszcze dalej posunął się europoseł PiS Dominik Tarczyński, który przyznał się (portalowi wpolityce.pl), że przekazał sztabowi Donalda Trumpa materiały z negatywnymi wypowiedziami członków polskiego rządu na temat prezydenta elekta. Donos obejmował także rodziny ministrów: „Donald Trump jest świadomy, co pisała na jego temat żona Radosława Sikorskiego” – powiedział Tarczyński, odnosząc się zapewne do artykułu Anne Applebaum, w którym twierdziła, że Trump mówi jak Hitler, Stalin i Mussolini. Obawiam się, że Trump zna ten artykuł, a z pewnością zna go Elon Musk, bo linkował go na (swoim) portalu X, opatrzywszy złośliwym komentarzem. Być może prezydent elekt nie wiedział jednak, że Tusk posądzal go o zależność od rosyjskich służb. Taka informacja aż się prosi o zestaw stosownych emotikoniek. Mam nadzieję, że poseł Tarczyński z niego skorzystał.

Swoją drogą to zabawne, że kiedy za czasów rządów PiS politycy opozycji opowiadali za granicą o sytuacji politycznej w naszym kraju, było to donoszenie na Polskę, plucie na Polskę, szkalowanie Polski, wtrącanie się polskie sprawy, zdrada (ponoć genetyczna) i targowica. Kiedy jednak polski europoseł chwali się złożeniem donosu na polskiego premiera – to już jest coś innego. Chociaż właściwie nie ma się co dziwić, bo – przypomnijmy – w języku „dobrej zmiany” Polska to nie Polska (w której przecież co jakiś czas zmienia się władza i próbuje prowadzić jakąś politykę zagraniczną). W języku „dobrej zmiany” Polska to PiS.

Jak wielu Europejczyków, także i mnie niepokoi wybór, którego dokonali amerykańscy wyborcy (przed pewnym europejskim lokalem gastronomicznym pojawił się napis: „Amerykanie mogą wchodzić wyłącznie w towarzystwie osoby dorosłej”), ale nie jest wykluczone, że Donald Trump zdał sobie sprawę, że emotikonki polskiej flagi w poście Dudy i Tuska to są dwa różne znaki. Mam nadzieję, że w nasze wojenki bawić się nie będzie, bo – że zacytuję eufemizm Jarosława Kaczyńskiego – „nasze sprawy są oddzielne”. ●

Jestem bezwzględny i śpię w mundurze

Przed wyborami trzeba z radykalną lewicowością zrobić to, co PiS zawsze robiło z Macierewiczem.



Marcin Matczak

Trump wrócił. Czy PiS robi to samo? Możliwe – taki mamy klimat, dlatego będzie to felieton meteorologiczno-polityczny.

Ale najpierw pytanie: co wraca, gdy wygrywa trumpista, a więc konserwatysta w gębę, bo nie w czynach? Wraca nadzieja wyborców, dla których ważne są konserwatywne wartości. Ale wraca też hipokryzja polityków, którzy udają, że te wartości wyznają. Jak Trump, rozpustnik głoszący potrzebę silnej rodziny, jak Kaczyński, zaostrzający prawo aborcyjne, a jednocześnie mówiący, że aborcji można dokonać za granicą.

Jak Dominik Tarczyński, który walczy o polskość, donosząc Amerykanom na Polskę, czyli tak, jak Pawlik Morozow walczył o dobro swojej rodziny, donosząc na nią komunistom. Bo przecież jak Trump na trzy lata znienawidził polski rząd, to według Tarczyńskiego dla Rzeczypospolitej będą to lata mlekiem i miodem płynące.

Widzę miejsce dla wartości konserwatywnych w dzisiejszym świecie. Ale politycy udający konserwatystów szkodzą tym wartościom tak, jak hierarchia kościelna przez sojusz z nimi szkodzi religii. Mimo to wybory w USA pokazały, że w chaotycznym świecie udawanie konserwatysty to dobry patent na odzyskanie władzy, bo nawet nibykonserwatystom ludzie ufają bardziej niż postępowcom.

Jak poradzić sobie z politykami, którzy oszukują, że są konserwatywni, by przejąć państwo i je doić? Czy da się zaspokoić popyt na konserwatyzm w sposób, który nie zniszczy prawa i praworządności? Może trzeba przywrócić konserwatywny sznyt liberalom i schować do szafy lewicę?

Tego bowiem wymaga klimat. Trump wygrał, bo potrafi udawać Surowego Ojca. O tej jego technice pisał już w 2016 r. George Lakoff, badający metafory, które rządzą naszym myśleniem. Tak jak lewica proponuje wizję państwa jako Karmiącej Matki, tak prawica widzi państwo jako Surowego Ojca, który za dobre wynagradza, a za złe karze, realizuje stare hierarchie wartości, porządkuje i upraszcza świat. Surowy Ojciec stawia swoich nad nieswoimi, białych nad niebiałymi, hetero- nad homoseksualistami. Uważa, że są tylko dwie płcie i jedna wersja rodziny, a na złożone problemy ma proste rozwiązania, jak Aleksander Maceoński na węzły. Na przykład migrację rozwiązuje postawieniem muru. Nieważne, czy skutecznie, ważne, że prosto. Gdy Aleksander „rozwiązał” węzeł, lina była do wyrzucenia. Ale kto by się tym przejmował.

Surowy Ojciec to symbol patriarchy i macyzmu, który się tym lepiej sprzedaje, im bardziej ludzie się boją. Dlatego prawica ciągle straszy: że nas islam zindoktrynuje, a Trzaskowski wynajmuje lokal na meczet, że nam dzieci zseksualizują, a ministra zamiast religii lekcje seksu proponuje, że świat się zawali, wartości zgina, a my razem z nimi. A jak trwoga, to do Boga, który w re-

ligiach monoteistycznych też jest wyobrażany jako samiec-alfa.

Jak już się ludzi odpowiednio wystraszy, wtedy trumpista proponuje taki oto zestaw wartości Surowego Ojca, który się świetnie sprzedaje:

1. „Jestem poważny i pompatyczny, oni są zdzieciniali”, a więc miny Dudy i miesięcznice Kaczyńskiego kontra haratanie w galę Tuska czy taniec posłanek w sejmie;
2. „Jestem bezwzględny i śpię w mundurze – oni są »miętycy«”: aleksandryzm maceoński kontra zniewieściałość i okazywanie emocji, płacz nad konstytucją czy omdlenie w czasie przeszukania;
3. „Kozacze – uwielbiam wchodzić w konflikt i trwać w nim, a oni są ugodowi”: żądanie po 80 latach reparacji od Niemiec, bez szans na uzyskanie, odgrzewanie tematu rzezi wołyńskiej, nieodpuszczanie komunistom kontra oddanie śledztwa w sprawie Smoleńska Rosjanom i chodzenie na pasku Unii Europejskiej).

4. „Jestem przenikliwy, oni są łatwowierni” – zdolność, by widzieć głębiej (deep state, spisek Sorosa) kontra zaufanie do nieprzetestowanych szczepionek i wsparcie uchodźców, choć to „terroryści”.

Ta powaga to najczęściej bufonada, bezwzględność to zabawa w żołnierzyka, konfliktowość to niezdolność do współpracy, a przenikliwość to szajba. Ale to działa – zwłaszcza kiedy na tle tych wartości prawica przedstawia postępowców jako miękkich i zniewieściałych. To stara narracja patriarchatu – tak jak szowiniści wmawiali kobietom od wieków, że są zbyt emocjonalne, dziecinne i lekkomyślne, tak dzisiaj propaganda prawicowa przedstawia postępowców.

I potem zdziwienie, że „Kamala nie wygrała” – po prostu dzisiaj trudno być kobiecie Surowym Ojcem. Łatwiej jest straszyć słabością i niedojrzałością postępowej władzy – nawet budowę muzeum i promowanie sztuki przedstawiać jak lekkoduchostwo i marnotrawstwo.

Co zrobić, gdy trumpista wysyła społeczeństwu ciągłe informację: „jestem silny, oni są słabi”? Gdy zaraz po zamachu apeluje gestem do podświadomości wyborców „jestem nieśmiertelny?”. Gdy kiedy kradnie i oszukuje, to jakby mówił „jestem zaradny”, a władzę, która go nie potrafi ukarać, wyzywa, jak Ziobro, od fujara?

Może trzeba zastosować manewr czeski? Wprowadzać do polityki więcej ludzi-żołnierzy, jak Petr Pavel, facetów-maczo, którzy jednak mają poglądy liberalne, by w konsekwencji i kobietom było lepiej? Ludzie dzisiaj przeżywają człowieka jako symbol, obraz, życiorys, nie jako gadającą głowę. Może taka myśl stoi za pomysłem, żeby w Polsce kandydatem postępowym był Sikorski, nie Trzaskowski?

Nie wiem, czy to pomysł dobry, bo może zdemobilizować najbardziej postępowy elektorat. Ale ciekawy – Sikorski bardziej przypomina Surowego Ojca niż Trzaskowski (wojna w Afganistanie, surowość w wyglądzie i obyciu). Trudniej też mu zarzucić radykalną lewicowość, a tę trzeba schować do szafy, tak jak PiS zawsze robił przed wyborami z Macierewiczem. Jest politycznie mała, więc musi być krzykliwa i prowokacyjna, żeby ją wyborca zauważył. A tym samym łatwo wystawia się na strzał nibykonserwatystów – jako niepoważna i zwiększająca poczucie, że świat wartości się wali.

Jeśli nie uda się znaleźć politycznego lekarstwa na trumpizm, ludzie udający konserwatystów, choć będący albo rozpustnikami, albo złodziejami, albo niszczycielami państwa, wrócą do władzy także u nas. A to byłoby tragicznie złe dla Polski. ●

We wtorek w „Wyborczej” wyjątkowy kalendarz przyrodniczy

Żubry, wilki, bocian czarny, łabędzie, kormorany
i wiele innych zwierzaków Puszczy Białowieskiej i koryta Wisły
na zdjęciach **Adama Wajraka**



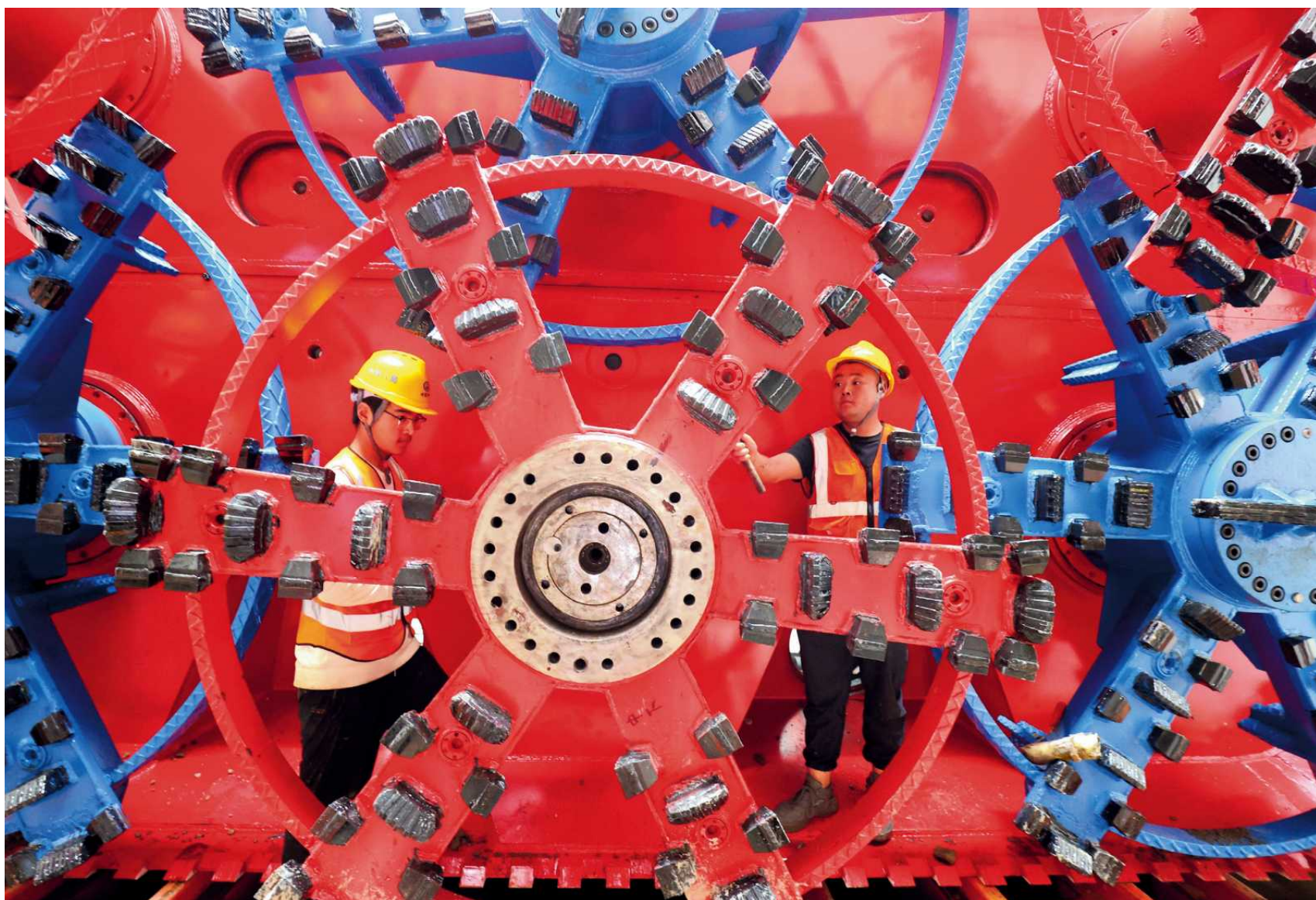
POLECA

Adam Wajrak

GAZETA
wyborcza

SPONSOR

HOYA
FOR THE VISIONARIES



CO KOMBINUJE TWOJA INTELIGENTNA LODÓWKA

Z JANKĄ OERTEL ROZMAWIA MATEUSZ MAZZINI

Chińskie samochody chociaż w czymś Europejczykom pomagają. Ale już społeczna wartość TikToka wynosi dokładnie zero

MATEUSZ MAZZINI: Kim są Chiny dla Europy dziś? Przyjacielem? Rywalem? Partnerem? Zagroženiem dla bezpieczeństwa? Czy wszystkim jednocześnie?

JANKA OERTEL: – Kiedyś wszystkim naraz. Teraz nie są już naszym przyjacielem i na tym polega fundamentalna zmiana ostatnich lat.

Po pierwsze, Chiny stały się strategicznym partnerem Rosji, bez którego Kreml nie dałby rady prowadzić wojny w Ukrainie. Po drugie, nadprodukcja dóbr z chińskiej gospodarki i działania Pekinu zaburzające mechanizmy wolnego rynku grożą przyszłości gospodarczej i przemysłowej Europy.

Czyli dziś są dla nas wyzwaniem, nie tylko z punktu widzenia bezpieczeństwa, ale też naszego dobrobytu. A jeśli zsumujemy te dwie płaszczyzny, rodzi się z tego wyzwanie dla europejskiego stylu życia i wartości. Bo Chiny oferują alternatywny ustrój i światopogląd, który nie dotyczy już tylko ich samych. Dawno wyszedł poza granice jednego państwa, oddziałuje na wiele innych. Chiny zmieniają całe środowisko międzynarodowe, w którym Europa funkcjonuje.

Założenie, że jeśli chińskie firmy będą inwestować w Europie i w związku z tym przejmą europejskie

standardy w prawie pracy, prawach człowieka czy innych obszarach, które u nas są silnie regulowane, jest bardzo naiwne. Świat, który sobie wyobrażaliśmy, w którym sami rozkwitaliśmy, w którym tworzyliśmy dobrobyt i byliśmy gwarancją pokoju, już nie istnieje. Powstał nowy porządek – a w nim wszędzie, gdzie wykonamy jakiś ruch, będziemy zderzać się z Chinami.

To jaką Unia ma w ogóle politykę wobec Chin?

– Wciąż w Brukseli obowiązuje pojęciowa święta trójca z 2019 r.: partner, rywal, przeciwnik. Ta matryca jest wygodna. Nie trzeba podejmować trudnych decyzji, jeśli się używa pustych słów. Nikt wtedy nie musi wstać i powiedzieć, że zaraz, przecież Chiny nie mogą być każdą z tych trzech rzeczy jednocześnie.

A jednocześnie mamy w Europie ogromną jedność. Najlepszym przykładem są sankcje związane z łamaniem praw człowieka w Xinjiang, wymierzone w konkretnych ludzi i podmioty gospodarcze. To pierwsze od 1989 r. europejskie sankcje na Chiny nałożone za naruszenia praw człowieka. Wniosek przeszedł bez problemu przez wszystkie instytucje unijne, w tym przez Parlament Europejski.

Wszyscy też mamy już świadomość, jak zagrożona jest nasza sytuacja ekonomiczna. Czy pojedziesz do Grecji, czy do Danii, Estonii albo Hiszpanii, wszędzie usłyszysz, że jesteśmy trochę zbyt zależni od Chin, na przykład w kwestii kluczowych zasobów naturalnych.

„Niecóż zbyt zależni” to niezły eufemizm.

– Tak, ale grunt, że zdajemy sobie z tego sprawę. W ostatnich latach nie podjęto na szczęblu unijnym

żadnej znaczącej decyzji, jeśli chodzi o nową politykę, bo nie byliśmy w stanie dojść do kompromisu. Teraz zgadzamy się co do kwestii fundamentalnych, więc jest przestrzeń na konsensus.

Unia ma zróżnicowany arsenał środków w zakresie polityki zagranicznej. Regulacje dotyczące wspierania firm przez ich macierzyste rządy, instrumenty określające zasady międzynarodowych zamówień publicznych czy rozporządzenie w sprawie ochrony Unii przed stosowaniem wymuszenia ekonomicznego przez państwa trzecie – Unia wreszcie dała sobie narzędzia do samoobrony. Do tego dochodzi masa instrumentów starego typu, jak cła wyrównawcze.

Tylko czy relacja z Chinami oparta o zasady uczciwego handlu jest w ogóle możliwa? One nie grają zgodnie z zasadami. Ignorują regulacje WTO, kradną własność intelektualną. A my jesteśmy od nich uzależnieni, choćby dlatego, że nie osiągniemy czegoś, co stało się nową europejską wartością i ideą eksportową – czyli celów i obowiązków klimatycznych – bez chińskich materiałów.

– Nie zgadzam się, że transformacja energetyczna nie jest możliwa bez współpracy z Chinami. Tak samo nie zgadzam się, że nie jesteśmy już w stanie gospodarczo odseparować od Chin. Obie te rzeczy są jak najbardziej możliwe, tylko byłyby bardzo kosztowne i przez to nikt ich nie chce.

Ale musimy sobie zadać podstawowe pytania. Czy ufamy chińskim firmom na tyle, żeby stały się szkieletem naszej transformacji energetycznej? Chińskie firmy zawsze dążą do pełnej dominacji. Pekin wyraźnie

sformułował ten cel – Chiny mają kontrolować fotowoltaikę, produkcję samochodów elektrycznych i baterii napędzających całą naszą elektronikę. Następna będzie energetyka wiatrowa. Musimy wreszcie zrozumieć, że jeśli nie zainteresujemy na rynku, to oni przejmą całkowitą kontrolę, bo tego właśnie chcą. Już to widać – w panelach słonecznych, w telekomunikacji, w transporcie kolejowym, w motoryzacji.

Tylko czy nie jest już za późno?

– Możemy sobie wspólnie powiedzieć, że chcemy innej rzeczywistości – i potem ją wprowadzić. Od tego zaczynały się wszystkie wielkie europejskie projekty.

Moglibyśmy na przykład sprawić, żeby Europa starła się najbardziej konkurencyjnym rynkiem samochodów elektrycznych na świecie. Wystarczy połączyć częściowe zamknięcie dla Chin z agresywnym otwarciem na firmy z innych krajów. Tak, żeby Chińczykom było trudniej sprzedawać swoje samochody, a łatwiej – Japończykom, Koreańczykom, Wietnamczykom, Amerykanom czy nawet spółkom z Maroka.

Musimy stworzyć handel międzynarodowy na nowych zasadach – dlatego, że Chiny obecne zasady po prostu ignorują. Mamy wybór: albo piszemy zasady od nowa i zmuszamy Pekin do ich przestrzegania, albo akceptujemy fakt, że oni oszukują, ale dzięki temu mamy tanią zieloną energię.

To nie brzmi tak źle.

– Tylko wtedy szybko się od Chin uzależnimy.

Czasem słyszę, że w czym problem, chińskie firmy będą dalej oferować nam produkty po najniższej możliwej cenie, nawet poniżej kosztów produkcji, żeby przejąć nasz rynek. Ale przecież kiedy go przejmą, zaczną dyktować ceny. Na tym polega biznesu, nie rozumiem, czemu niby chińskie firmy miałyby zachować się inaczej.

Tylko że nie postawimy się Chinom bez jedności, a ona jest fikcją. Starczy popatrzeć na Orbána, który sabotuje wszystkie inicjatywy unijnej polityki zagranicznej względem Ukrainy, a z Chinami też lubi rozmawiać.

– To fantastyczna wymówka, żeby nic nie robić. Potrzebujemy w Europie zdecydowanego głosu przywództwa. Dlatego należy wzmocnić Komisję Europejską i pozostałe unijne instytucje.

Trzeba podejmować trudne decyzje na poziomie politycznym: z czego rezygnujemy, żeby coś innego osiągnąć. Na przykład znaczące zwiększenie inwestycji w rodzimy przemysł fotowoltaiczny niespecjalnie ma sens – bo kosztowałoby niewspółmiernie dużo do możliwych zysków. Ryzyka to nie zmniejszy, a pochłonie zasoby. Natomiast gdybyśmy stracili cały sektor samochodów elektrycznych – konsekwencje byłyby tragiczne, bo tracimy wszystko po drodze: automatyzację, roboty przemysłowe, rozwój sztucznej inteligencji, każdy element łańcucha dostaw.

I nie ma sensu robić najpierw tego, co łatwe, tylko dlatego, że jest łatwe. Trzeba zacząć od trudnych rzeczy, bo inaczej nigdy ich nie załatwimy. Weźmy surowce krytyczne. Tyle teraz rozmawia się o tym, że musimy zapewnić sobie dostęp do zasobów poza Chinami. Tylko co z tego, że je kupimy gdzieś indziej, skoro nie będziemy mieli przemysłu do ich przetwarzania? Jeśli nie ma pan ani jednej firmy produkującej baterie, na co panu cały ten lit?

Dlatego, zanim zaczniemy walkę o surowce, musimy się upewnić, że w ogóle mamy jeszcze w Europie jakieś firmy, które coś z nimi będą w stanie zrobić. Kluczowa jest wstępna analiza i pogodzenie się z tym, że nie możemy już wygrywać na wszystkich frontach.

A co by się właściwie stało, gdybyśmy stali się bardziej stanowczy wobec Chin? Jak zareagowały Pekin? Kiedy latem Unia zaczęła mówić o cłach na samochody elektryczne, Chiny natychmiast zagroziły daninami na europejskie produkty luksusowe. – Tak, ale proszę zauważyć, że to były cła na bardzo konkretne produkty z bardzo konkretnych miejsc. Innymi słowy, to był atak punktowy, obliczony na wywarcie nacisku na słabe – w chińskim wyobrażeniu – ogniwo. Na przykład uderzono w eksport koniaku, czyli we Francję, licząc, że Francuzi odstąpią od wspólnego frontu europejskiego. Tak sieje się wewnętrzny zamęt, rozbija jedność. Dlatego Unia teraz musi wypracować mechanizmy, które sprawią, że atak celny na jedno państwo członkowskie będzie traktowany jak atak na wszystkie.

Takie NATO, tylko gospodarcze.

– A my już częściowo takie mechanizmy mamy – na przykład rozporządzenie przeciwko wymuszeniom ekonomicznym. Jeśli firmy są w stanie wykazać, że nie dostają wielkiego wsparcia publicznego, wtedy

placą niskie cła. Jeśli nie są transparentne, to uznajemy, że władze mocno im pomagają – wtedy cło jest wysokie. Niemcy – tacy niby spolegliwi, usiłujący siedzieć okrakiem – wysłali 80 śledczych do 50 różnych chińskich firm działających w Europie.

Czy to idealna forma reakcji? Nie. Ale ma tę zaletę, że spokojnie i rzeczowo udowadniamy celowość naszych akcji. Nie uderzamy na ślepo w losowo wybrane firmy, bo jesteśmy źli na Pekin, tylko próbujemy rozwiązać konkretny problem. Zapraszamy Chiny do stołu. Mówimy: hej, to nam nie pasuje, więc będziemy reagować. A może chcecie z nami o tym porozmawiać, powiedzieć, jaki jest wasz punkt widzenia.

Tylko jaki on jest? Wielokrotnie słyszałem od ekspertów i polityków, że my w Europie w sumie nie wiemy, co Chińczycy myślą. Tak jakby sami ulegali chińskiej propagandzie o ich nieprzeniknionej odmienności.

– Dlatego przypadek cel na francuskie produkty luksusowe jest tak ciekawy. Proszę zobaczyć, co zrobił Xi Jinping. Z jednej strony pojawia się groźba obciążeń celnych na koniak czy inne wytwory z Francji, z drugiej – nowa narracja na rynek wewnętrzny. Partia mówi, że nie wolno obnosić się z bogactwem, pokazywać zachodnich drogich ciuchów. Trzeba być skromnym, wspierać chińskie marki. Więc kiedy coś takiego się pojawia, jest podwójnie skuteczne. Bo nie dość, że drażni ważnego gracza w Europie i wali w naszą jed-

Dzięki temu, że Chińczycy nas szpiegowali, mogli manipulować naszymi politykami i strategiami wobec nich

ność, to jeszcze przynosi zysk propagandowy w kraju.

Dlatego musimy popatrzeć kompleksowo na ich gospodarkę i zastanowić się, gdzie zareagują i w jaki sposób. Na przykład produkcja wieprzowiny – po epidemii świńskiej grypy ten sektor w Chinach już się zregenerował, więc nie ma sensu grozić ograniczenia- mi, bo ich potrzeby są zaspokojone.

Unia musi wiedzieć, gdzie są słabe i silne punkty Chin, i uderzać tak, żeby ich zabolalo. Nie unikniemy chińskiej odpowiedzi i okej, mają do tego pełne prawo. Tylko na to też musimy być przygotowa- ni. Jeśli Chiny nie chcą naszej wieprzowiny, to musimy umieć zrekompensować straty naszym producentom, na przykład hiszpańskim. To, czego potrzeba nam najbardziej, to zbiorowych akcji i odpowiedzi całej Unii – bo wtedy Pekin, atakując któreś państwo, będzie musiał brać pod uwagę, że atakuje całą Unię. A to ryzykowne, bo jesteśmy potężnym blokiem i całkiem niezłym partnerem handlowym.

Taki kurs może się udać, bo wokół kwestii Chin panuje w nowych władzach Unii pełna zgodność. Ursula von der Leyen w kolejnej kadencji asertywność ma wysoko na liście priorytetów. Kaja Kallas, która jest bałtyckim jastrzębiem, doskonale rozumie z kolei naturę relacji Chin z Rosją. Antonio Costa też jest ciekawym przykładem, bo kiedy był premierem Portugalii, Chiny mocno się zakorzeniły inwestycyjnie w tym kraju. Sporo zarobili w energetyce, był program złotych wiz za inwestycje – ale potem nastąpił całkowity zwrot, Portugalia wyrzuciła Huawei z programu budowy infrastruktury telekomunikacyjnej 5G, gdy Niemcy wciąż nie. I tacy politycy są cenni, bo bardzo wiarygodni jako adwokaci nowej narracji: „Zobaczcie, my kiedyś byliśmy naiwni i ufn i jak się skończyło?”.

A władze w Pekinie mogą serio zaniepokoić się tym europejskim pokazywaniem kłów, bo dostrzegają, że się przeliczyły. Oni nie zdawali sobie sprawy, że Europejczyków tak zniechęci do nich ich wsparcie Rosji w wojnie z Ukrainą.

No właśnie, jak to wszystko wygląda z perspektywy Pekinu? Czym jest dzisiaj Europa dla Chin?

– Żadnym priorytetem. Nie mamy wielkiego znaczenia. Priorytetem są Stany Zjednoczone, ich własna bliska granica, relacje z Rosją, z Iranem, z Koreą Północną, z pozostałymi krajami BRICS [tym akronimem ochrzczono powracające na globalną scenę dawne potęgi około- i pozaeuropejskie oraz kraje zmierzające ku takiej pozycji – Brazil, Russia, India, China, South Africa], i z Globalnym Południem.

Rozwój, bezpieczeństwo, inwestycje – wszystkie chińskie inicjatywy w polityce zagranicznej mają w nazwie przymiotnik „globalny”, ale to „globalne” nie zawiera w sobie Europy. „Cały świat” to dla nich wszystko minus Europa i Stany Zjednoczone.

◀ **Pracownicy China Railway montują maszynę do przecisku hydraulicznego na placu budowy podziemnej stacji kolejowej w Huzhou we wschodnich Chinach**

FOT. CHINA DAILY VIA REUTERS

Europejczycy muszą nauczyć się tej nowej rzeczywistości. Jesteśmy dla Chin bardzo ważnym rynkiem. Mamy sporą zdolność przyjmowania i konsumowania chińskich produktów, również tych wysoko przetworzonych. Jesteśmy ważnym eksporterem technologii i źródłem finansowania ich gospodarki. Ale w żadnym aspekcie nie jesteśmy priorytetem strategicznym. Tak długo, jak kupujemy chińskie produkty i pozostajemy skłóceni, bo każdy gra na siebie – jesteśmy im przydatni. Dopiero kiedy te dwie rzeczy się zmieniają, staniemy się dla nich czymś na pograniczu koszmaru i bólu głowy. I do tego chcemy doprowadzić. Bo jak jesteś czymś bólem głowy, to nie możesz już być popychadłem.

Przeciwnicy takiego stawiania sprawy powtórzą, że Chiny przecież potrzebują europejskich rynków.

– Chiny nie potrzebują europejskich rynków. Chiny już je mają. Nie muszą ich zdobywać, wystarczy, że je kontrolują. Dlatego nie mamy dobrej pozycji negocjacyjnej. Dopiero kiedy ograniczymy dostęp do naszych gospodarek, możemy siadać do rozmów. Z przekazem: nie zależy nam na zniszczeniu chińskiej gospodarki, nie robimy nikomu na złość, ale mamy konkretną wizję naszych relacji – i będziemy ją realizować.

Czyli Chinom niespecjalnie zależy na zniszczeniu Unii nie dlatego, że jest dla nich tak ważna, tylko dlatego, że aż tak ważna dla nich nie jest.

– Dlatego największym problemem dla Chin jesteśmy wtedy, kiedy unikamy wewnętrznych sporów, a jednocześnie jesteśmy zsynchronizowani z Ameryką. A najlepiej, jeśli działamy w jeszcze szerszym formacie dyplomatycznym, jak G7. Wtedy Chińczycy muszą się z nami liczyć, bo możliwe stają się takie rzeczy, jak szerokie sankcje zbiorowe, które mogą mocno ograniczyć chińskie zdolności produkcyjne, zwłaszcza w nowych technologiach. To jest po prostu projekcja siły – ale silni, stajemy się dla Pekinu znacznie bardziej interesujący.

To dlatego próbują ugrać coś tu i tam w Europie na obrzeżach Unii? Pekin inwestuje mnóstwo pieniędzy i zasobów politycznych na Bałkanach – w krajach, które od dekady czekają na akcesję. Czy my czasem nie ryzykujemy, że im się znudzi to czekanie i podepną się na stałe pod Pekin?

– Nie jestem ekspertką od Bałkanów, jestem obserwatorką Chin, więc odpowiem z chińskiego punktu widzenia. Dla nich inwestowanie w kraje, które są blisko Unii, ale stoją w rozkroku, jest jak najbardziej opłacalne. Można je zagarnąć i bez interwencji militarnej czy innych brutalnych, niemiłych środków. To nie jest tak, że ktoś w Pekinie zarywa noce z powodu relacji z krajami bałkańskimi, ale jeśli mogą tam mieszać, to będą to robić. To taki zakład, w którym wiele można zyskać, a prawie nic nie da się stracić. Stawiasz na jakiś kraj i nie wychodzi, trudno, szukasz szczęścia gdzieś indziej.

Właśnie tak było z Czechami. Chińczycy byli tam bardzo aktywni za czasów eurosceptycznego Miloša Zemana, już myśleli, że mają tam przyczółek. Ale potem zdarzyły się wybory, zmieniła się władza, prezydentem jest były generał z doświadczeniem w NATO – i sytuacja zrobiła się mało komfortowa sytuacja. Spisali więc Pragę na straty i poszli na Bałkany Zachodnie. Inna rzecz, że akurat tam do zyskania jest całkiem sporo. Zasoby naturalne, kontrakty na budowę infrastruktury.

Ale to działa w dwie strony, bo kraje bałkańskie, które aplikują o członkostwo w Unii, używają transakcji z Chinami jako strategii negocjacyjnej. Nie można myśleć, że to są jakieś biedne, pozbawione niezależności kraje, które nie mają wyboru. Nie – tam przecież rządzą politycy, liderzy, którzy mają zdolność po-



• Artykuł powstał w ramach projektu The Eastern Frontier Initiative (TEFI). TEFI to porozumienie niezależnych wydawców z Europy Środkowej i Wschodniej,

którego celem jest wspieranie wspólnego myślenia i współpracy w kwestiach bezpieczeństwa w regionie. Projekt ma także promować wymianę wiedzy w prasie europejskiej i przyczyniać się do wzmacniania europejskiej demokracji.

• Członkami konsorcjum są 444 (Węgry), „Gazeta Wyborcza” (Polska), SME (Słowacja), PressOne (Rumunia) i Bellingcat (Holandia).

• Projekt TEFI jest współfinansowany przez Unię Europejską. Wyrażone poglądy i opinie są jedynie opiniami autora lub autorów, i niekoniecznie odzwierciedlają poglądy Unii Europejskiej lub Europejskiej Agencji Wykonawczej ds. Edukacji i Kultury (EACEA). Unia Europejska ani EACEA nie ponoszą za nie odpowiedzialności.



dejmowania decyzji, dokonywania wyborów. I te wybory można nagradzać albo nie. Więc może pora, żeby Bruksela powiedziała: jeśli chcecie iść pod rękę z Chinami, to droga wolna, ale sukcesów nie wróżymy.

Niekoniecznie od razu sugerować, że w takim razie nici z akcesji – bo przecież oni również dlatego z Chinami flirtują, że my trzymamy ich na dystans – ale pokazywać, że te zyski prawie zawsze są krótkoterminowe. Tłumaczyć: jasne, te chińskie inwestycje, pożyczki dają pokazowy efekt, a więc buduje wam kapitał polityczny – ale pamiętajcie, że Chińczycy są bardzo dobrzy w grze „Ofierowanie lokalnym politykom ścieżki do sukcesu za wysoką cenę później”. Wy myślicie, że się nie dacie, rozegracie Pekin, ale w Afryce, w Azji wielu tak przed wami myślało.

A czy my w Europie umiemy się przed Chińczykami bronić tak dosłownie, w – pardon – obszarze bezpieczeństwa? Mieśliśmy w tym roku falę aresztowań osób podejrzanych o szpiegostwo – w biurach AfD, w brytyjskim parlamencie. Czy Chi-ny nas coraz bardziej inwigilują, czy my po prostu skuteczniej ich wyłapujemy?

– I to, i to. Na pewno jesteśmy lepsi w samym rozumieniu, że to się dzieje, w rozpoznawaniu chińskich działań, ale też w upublicznianiu, mówieniu głośno, że nas szpiegują. To się zresztą wpisuje w szerszy trend zmienia- nia naszej relacji z Chinami.

Próby infiltracji europejskich rządów czy sfer politycznych przez Chiny istniały za- wsze, to integralna część polityki międzyna- rodowej. Dzięki temu, że nas szpiegowali, mogli – prócz „twardych” zdobyć w rodza- ju tajemnic wojskowych czy inżynierskich – manipulować naszymi strategiami wobec nich. Grunt, że zdajemy sobie sprawę ze ska- li tego procesu, przede wszystkim w cyber- przestrzeni. Liczba ataków z Chin na unij- ne i brytyjskie podmioty, w tym firmy, jest ogromna, to się dzieje każdego dnia. Dotyczy wszystkiego, od szpiegostwa przemysłowe- go po gromadzenie gigantycznych ilości da- nych. Każdy, kto uważa, że Chiny nie są bez- pośrednim zagrożeniem dla europejskiego bezpieczeństwa, nie patrzy uważnie w cy- berprzestrzeń.

Europa nie do końca łączy te wszystkie kropki. Z jednej strony mówimy, że Chiny to cyberzagrożenie, z drugiej – Parlament Europejski miesiąc przed wyborami reaktywuje konto na TikToku.

– Łączy, łączy. Europejska debata na temat w Chin zmieniła się od 2019 r. Jestem wete- ranką dyskusji na temat infrastruktury 5G i pamiętam, jak trudno było o tym rozma- wiać, bo wiele osób nie było w stanie zrozu- mieć, że coś, co jest tak na wskroś komercyj- ne, może mieć warstwę polityczną i strate- giczną. Do niedawna nikt tu nie uważał tej infrastruktury za krytyczną – tylko za coś związanego ze smartfonami i „inteligentny- mi” łodówkami, co po prostu na komercyj- nych zasadach funkcjonuje tak albo inaczej. Ważne, że nasze smartfony mają lepszy in- ternet dzięki temu.

Rozumiem, że z TikTokiem było podob- nie. Może i uzależnia dzieciaki, ale prostu kolejna głupia platforma z kotkami i śpie- wającymi nastolatkami, nikt na to nie patrzył przez pryzmat bezpieczeństwa.

– Otóż to. Ale Europa już rozumie, co jest in- frastrukturą krytyczną i że bywa nią to, co wygląda jak niewinna, komercyjna usługa czy technologia. Może unijna debata o Tik- Toku wygląda na cichą, ale cały czas się to- czy. I już nie jest tylko o TikToku, zmieni- ła się w poważną dyskusję o różnych, wręcz strategicznych aspektach platform społecz- nościowych – od uzależnień młodych Eu- ropejczyków, przez dostęp do danych o na- szych obywatelach, po możliwe wojny hy- brydowe z użyciem dezinformacji, fake new- sów, manipulowania nastrojami. Już rozu- miemy, że są platformy, które interesuje suk- ces nie tylko komercyjny.

Czy TikTok to jest po prostu firma, któ- ra zarabia pieniądze? Czy raczej aktor wpły- wu? Czy może instrument gromadzenia

danych? A może wszystko naraz? Jeśli ta- ki Amazon, czyli podmiot stricte komercyj- ny, zacznie się źle zachowywać, wtedy mówi się mu, że musi zapłacić spory mandat i naj- częściej da się z nimi dojść do porozumie- nia – bo kierują się logiką rynkową. Albo na- stępnym razem będą próbować cię oszukać w inny sposób, ale nic więcej. Tak czy ina- czej, uderzasz w ich przychody i to jest twoja główna strategia.

Ale w chińskim ekosystemie przychody nie są kluczowe. Tam równie ważny jest do- stęp do właściwych ludzi i kręgów, bliskość polityki, tworzenie zależności. Rynek ryn- kiem, ale ostatecznie twój byt zależy od pań- stwa. Możesz być przecież wynagradzany za inne rzeczy i to ci zrekompensuje straty stricte biznesowe, jeszcze zarobisz. Nie przy- padkiem chińskie firmy technologiczne, sta- jąc do przetargów w świecie, oddają swoją infrastrukturę praktycznie za darmo.

Nie uważam, że TikTok jest produktem chińskiego rządu – nie w takim bezpośred- nim znaczeniu, że partia komunistyczna go wymyśliła, umieściła w internecie i używa zgodnie z niecnym planem. To zjawisko oka- zało się wielką niespodzianką, sukces Tik- Toka zaskoczył nawet jego twórców. Ale do- strzeżono, że to jest rewelacyjne narzędzie i można go użyć w celach strategicznych.

I tak wracamy do hierarchii prioryte- tów, o której rozmawialiśmy. Jest powód, dla którego chcemy tanich samochodów elek- trycznych w Europie. Są tanie, dobrej jako- ści i dość łatwo dostępne, przez co obniżają nam koszty dekarbonizacji w sektorze trans- portowym – co jest przecież bardzo ważnym celem strategicznym dla Europy. Jeśli tak na to popatrzymy, widzimy w tym – rzecz jasna widząc ogromne zagrożenie gospodarcze, a więc na dłuższą metę i społeczne – wartość dla społeczeństwa.

A społeczna wartość TikToka wynosi do- kładnie zero. TikTok nie ma żadnego ele- mentu, który wnosi jakąś wartość dodaną do naszego świata. Jeśli porozmawia z ro- dzicami nastolatków, to powiedzą panu, że jest odwrotnie. Dlaczego niby musimy tole- rować w Europie platformę, która aktywnie próbuje podważyć nasze wartości, nasz eko- system społeczny i polityczny?

Twierdzenie, że wyrzucenie TikToka z Europy zaburzyłoby komunikację w Euro- pie, uważam za absurdalne. W Indiach za- kazano TikToka – i co? I nic, ludzie przerzu- cili się na inne aplikacje. Tak działa rynek. Dlatego nie rozumiem, dlaczego „to” toleru- jemy, jeśli wiemy, że doskonale funkcjonują tam ruchy skrajnie prawicowe oraz wszelcy ekstremiści. Wiemy, że jest tam propaganda różnych nieprzyjaznych państw i grup. Wie- my, jak to uzależnia i jak oddziałuje na psy- chikę i relacje, co, poza krzywdą jednostki, też przekłada się na politykę i bezpieczeń- stwo.

To nie jest dobra przestrzeń w internecie – więc czemu mamy dawać ludziom do niej dostęp? Jeśli w imię jakiegoś abstrakcyjnego celu w rodzaju wolności słowa, to słowo mo- że być wolne na każdej innej platformie spo- łecznościowej. ●



*Dr Janka Oertel

● niemiecka analityczka, kieruje programem badawczym na temat Azji w Europejskiej Radzie ds. Stosunków Międzynarodowych (ECFR). Wcześniej związana z German Mar- shall Fund of the United States, instytucjami ONZ i Niemieckim Instytutem Spraw Między- narodowych i Bezpieczeństwa.

Ridley Scott:

NIE RÓŻNIMY SIĘ

– **Wolę rzymskie sandały niż kręcenie filmów o współczesności**
– **mówi brytyjski reżyser, który po 24 latach nakręcił sequel jednego z najbardziej kasowych filmów Hollywoodu: „Gladiatora”.**

Martin Scholz

welt

B ył czterokrotnie nominowany do Oscara za reżyserię, ale wciąż czeka na to wyróżnienie. Ridley Scott, urodzony w 1937 r. w So- uth Shields w Anglii, studiował projektowanie graficzne i malar- stwo w Londynie, potem jednak ukończył kurs dla reżyserów w BBC. Zadebiutował nagrodzo- nym w Cannes „Pojedynkiem” o rozgrywającej się w czasach wojen napoleońskich wendecie dwóch oficerów (na podstawie opowiadania Josepha Conrada). W 1979 r. zdobył światową sławę dzięki horrorowi „Obcy”. Dzięki filmom takim jak „Blade Runner”, „Thelma & Louise” czy „Gladiator” mocno wpłynął na kształt kina gatunkowego, od science fiction i filmów drogi po filmy historyczne.

Tym ostatnim filmem radykalnie odświe- żył gatunek zwany w Hollywood nieco po- gardliwie „eposem sandałowym”. Potrzebo- wał prawie ćwierć wieku, aby zrealizować sequel, w międzyczasie krążyło wiele pomy- słów na scenariusz drugiej części – w tym jeden autorstwa Nicka Cave’a, według którego postać grana przez Russella Crowe’a miała powrócić z zaświatów. Ostatecznie w „Gla- diatorze 2” (w kinach od 15 listopada) gra kto inny: swoją pierwszą dużą hollywoodzką ro- lę dostał tu irlandzki aktor Paul Mescal.



W nowym „Gladiatorze” jest kilka czarno-białych scen snów, które poka- zują nam wizję życia pozagrobowego. Przypomina to pewien klasyczny film, w którym krzyżowiec gra w szachy ze śmiercią...

– Ja systematycznie wracam do oglądania każdego filmu Ingmara Bergmana, począw- szy od „Wakacji z Moniką” z 1953 r. A „Siód- mą pieczęć” lubię szczególnie. Z tym ze je- śli chodzi o te sceny w „Gladiatorze 2”, naj- pierw zadałem sobie pytanie, jak powinie- nem przedstawić Styks.

Rzeka, która w mitologii stanowi grani- cę między światem żywych i umarłych.

– Właśnie nie byłem pewien, czy w filmie Styks powinienem wyglądać jak rzeka, czy raczej jak jezioro. I wtedy przypomniałem sobie zdjęcia do mojego filmu „Prometeusz” na Islandii. Otóż pewnego ranka stałem tam na czarnej, wulkanicznej plaży, morze i nie- bo miały ten sam kolor ołowiu. Jedynymi ja- śniejszymi punktami były szare kamienie na pierwszym planie. Piękne to było, zarazem spokojne i groźne. I już miałem mój Styks.

Wiele sequeli nie zbliża się do klasy oryginału. A w przypadku takich hitów jak „Gladiator” wejście do tej samej rzeki bywa jeszcze trudniejsze. W finale tamtego filmu charyzmatyczny boha- ter grany przez Russella Crowe’a ginie w Koloseum. Co było motywacją do nakręcenia drugiej części?

– Lubię w mojej pracy to, że czasami po prostu nadarza się okazja, żeby rozwinąć pasję do da- nego tematu. A naprawdę podobało mi się krę- cenie filmu o starożytnym Rzymie. General-

nie wolę zajmować się w kinie tematami histo- rycznymi niż zajmować się współczesnością.

Dlaczego?

– Ponieważ uważam, że robienie filmów o współczesności, z ludźmi ubranymi w gar- nitury i jeżdżącymi samochodami, jest nudne – a przynajmniej mnie to nudzi. Lubię tworzyć w kinie światy, które albo jeszcze nie nastały, albo już nie istnieją. Co do „Gladiatora” – to je- den z tych nielicznych filmów, o których ludzie od lat powtarzali mi, jak bardzo im się podo- bał. Myślę, że to ma coś wspólnego z pewnym metafizycznym aspektem tej opowieści: w koń- cu gladiator Maximus wychodzi naprzeciw śmierci, idzie w zaświaty i tam odnajduje swo- ich zabitych bliskich. Jak świat światem, takie historie przemawiają do wielu ludzi. Od daw- na myślałem o drugiej części. Najpierw zada- łem sobie pytanie, jaka postać może to pocią- gnąć. Najprostsze rozwiązanie: syn Maximusa.

Lucjusz Versus, syn Lucilli, córki cesarza Marka Aureliusza, okazuje się zarazem biologicznym synem Maximusa...

– Taki drobny chwyt z opery mydlanej, ale to mi nie przeszkadza. Ważniejsze były pyta- nia kolejne: co działo się z chłopcem od fina- łu pierwszej części? Co stało się z jego mat- ką? I tak dalej. Zawsze zaczynam film jak pi- sarz rozpoczyna powieść. Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, że pisanie scenariu- sza jest najtrudniejszą częścią tworzenia fil- mu. Kiedy już mam scenariusz, jest z górki.



*Rekiny w Koloseum
– czemu nie? Jeśli uda ci
się już zbudować olbrzymi
basen, to chyba dasz radę
wpuścić tam dla podkręcenia
zabawy kilka drapieżników,
prawda?*

Ale między pierwszą a drugą częścią minęły aż 24 lata. Dlaczego ukończenie sequela trwało tak długo?

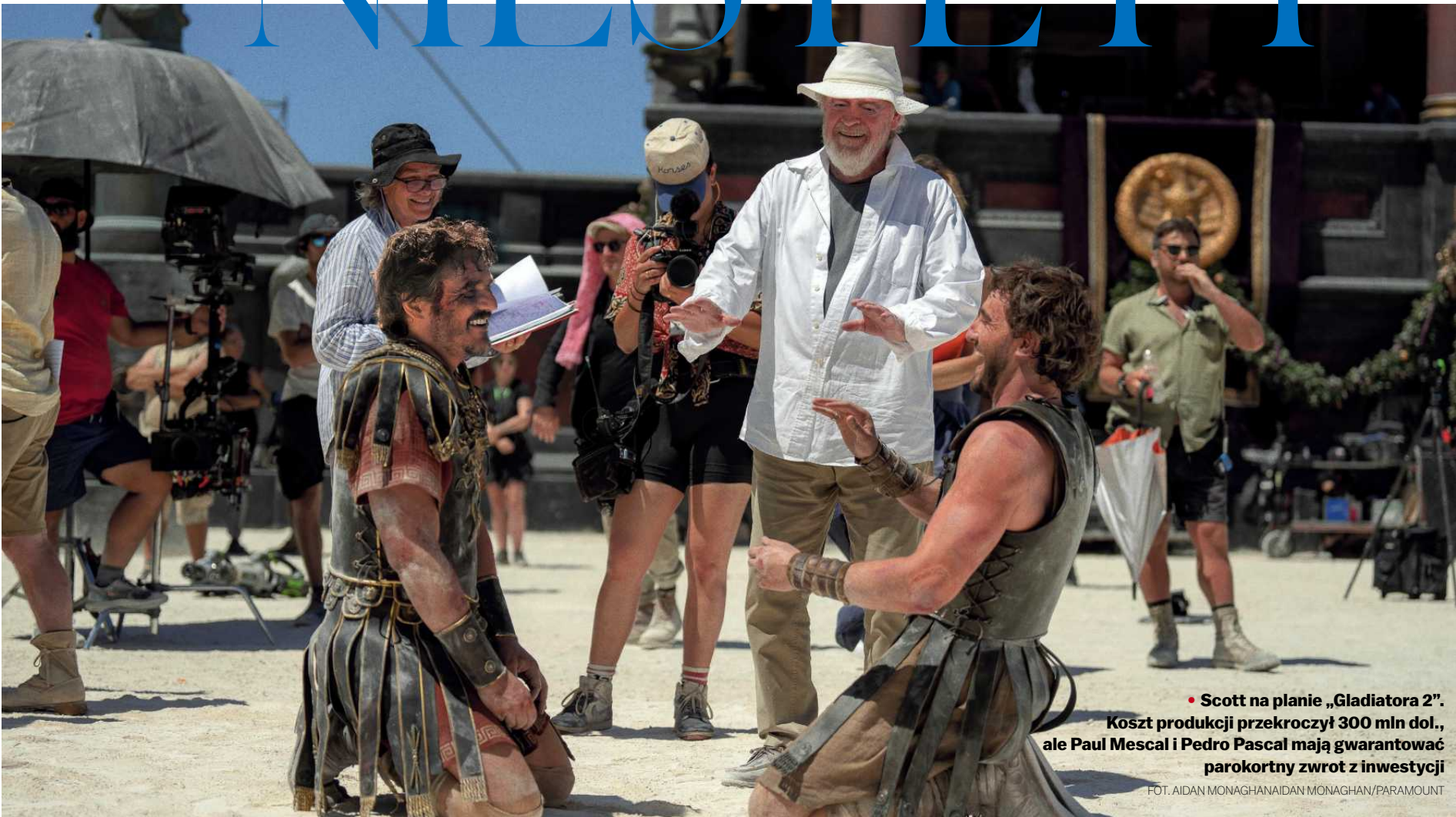
– A pisał pan kiedyś powieść?

Nie.

– Polecam spróbować. Albo chociaż namalo- wać obraz. Każdy może to zrobić, ale więk- szość efektów nadaje się do kosza. Ja kiedyś studiowałem w artystycznym college’u, a do- piero jakieś dziesięć lat temu zacząłem malo- wać „na poważnie”. Wiele z tego, co umiesz- czam w moich filmach, opiera się na tym, co sam kiedyś zobaczyłem, przeczytałem lub choćby usłyszałem. Nawet film o Napo- leonie – oczywiście był oparty na pewnych wydarzeniach historycznych, jednak film wymaga skrótu, syntezy, selekcji. Napole- on stoczył 66 bitew, ale każda próba wytłu- maczenia jego taktycznych talentów byłaby tak żmudna, jak doktorat na wydziale histo- rii. Bardziej interesujące było więc np. poka- zanie, co sprawiło, że Napoleon w ogóle za- częł działać, co nim pod spodem kierowało, a przede wszystkim, dlaczego był tak zauro- czony tą swoją Józefiną.

Russell Crowe jako gladiator został ikoną kina, dostał za to Oscara. Zakłada-

OD STAROŻYTNYCH RZYMIAN, NIESTETY



• Scott na planie „Gladiatora 2”.
Koszt produkcji przekroczył 300 mln dol.,
ale Paul Mescal i Pedro Pascal mają gwarantować
parokrotny zwrot z inwestycji

FOT. AIDAN MONAGHAN/AIDAN MONAGHAN/PARAMOUNT

lem, że czekał pan tak długo, bo nie mógł znaleźć następcy tego kalibru.

– Jestem stary i wystarcza mi góra sześć godzin snu na dobę – czyli przez pół nocy oglądam jakieś bajki na dobranoc. Na przykład najlepiej zasypiam przy moim „Pojedyńku” z 1977 roku, zawsze przedtem zdając sobie sprawę, że jakość obrazu jest dziś lepsza niż w momencie premiery w kinach. Ale czasem nie jestem śpiący, więc szukam po różnych kanałach streamingowych. W ten sposób natknąłem się na serial „Normal People” – opowieść o irlandzkiej klasie robotniczej. Na początku nie byłem szczególnie zainteresowany, ale i tak kliknąłem, ponieważ moją uwagę przykuła twarz aktora... Tak, interesująca twarz Paula Mescala zmusiła mnie do oglądnięcia wszystkich odcinków. Mogłem go sobie wyobrazić w roli dorosłego Lucjusza. I tak się zaczęło.

Walki gladiatorów kończą się, gdy oglądający je władcy podnoszą lub opuszczają kciuki – i w ten sposób decydują o życiu i śmierci. Dokładnie takich samych symboli używamy dziś w komentarzach w mediach społecznościowych...

– Lubimy wierzyć, że wraz z postępem technologicznym stajemy się coraz mądrzejsi, a tymczasem nie różnimy się specjalnie od ludzi sprzed dwóch tysięcy lat. A nawet dokonujemy pewnego regresu. Nie trzeba mnie słuchać, ja mam prawie 90 lat na karku, ale właściwie co jest takiego złego w robieniu notatek długopisem na kartce papieru? Albo gdzie dziś jeszcze można zobaczyć dzieci wspinające się na drzewa? Czasami mam ochotę krzyknąć: „Odlóż ten cholerny smartfon i wejdź na drzewo!”. Mówię to bardzo poważnie. Kiedy byłem mały, łamałem nogi spadając z drzew, wpadałem do morza, zapewne narażałem się na przykrości – ale prze-

cież miałem coś, co nazwałbym normalnym dzieciństwem, z naturalnym ryzykiem, które mnie jakoś formatowało. Dzisiaj jedyne ryzyko czai się w smartfonie. Doprowadza mnie to do szału. Mam trójkę dzieci, najmłodsze ma 42 lata, oni jeszcze należą do pokolenia, które ma swoje życie we własnych rękach. Oczywiście mają też w rękach smartfony, ale używają ich tylko jako narzędzi, nie są one dla nich „sposobem na życie”. Co będzie z ich dziećmi i wnukami – wolę o tym nie myśleć.

Pozostaniemy przy aluzjach do współczesności w pańskim filmie o starożytnych. Właściciel gladiatorów, właściwie handlarz żywym towarem, grany przez Denzela Washingtona, mówi: „Przemoc jest uniwersalnym językiem”.

– Fakt, że to zdanie odbiera pan jako aktualne, pokazuje, że absolutnie niczego nie uczymy się z historii. Mamy do czynienia z rosnącą liczbą różnych despotów na całym świecie. Zapewne powinni oni zostać obaleni. Ale obalanie despotów oznacza wojnę. A wojny jednak należy unikać. Ponieważ w wojnie przegrywają wszyscy. Nawet zwycięzcy.

Lucjusz zostaje zniewolony, a ostatecznie buntuje się przeciwko despotom. To pana rada dla współczesnych: demokracji trzeba nieustannie bronić i o nią walczyć?

– Demokracja i republikanizm były kiedyś jednym i tym samym. Republika podkreślała siłę wspólnoty, ponieważ składała ludzi do zaangażowania w proces podejmowania decyzji przez wspólnotę polityczną. W takiej wspólnocie politycznej każdy powinien móc wyrazić swoją opinię – bez przemocy. Zwycięzcami są ci, którzy mają za sobą większość, którą przekonują do swoich racji. A gdy przegry-

wasz wybory, nadal szanujesz drugą stronę, taka jest zasada demokracji. Tak właśnie wygląda idealna polityka, prawda? Dziś jednak mamy do czynienia z jej fasadą, pod którą gotują się pierwotne instynkty. Stany Zjednoczone wydawały się być jednym z ostatnich miejsc, w których wciąż istniał zdrowy rozsądek, a system polityczny był zrównoważony i generalnie sprawiedliwy. Obecnie trzeba się będzie mocno wysilić, żeby to nadal była prawda.

Ale pan robi przecież kino akcji, a nie polityczne moralitety. Walki gladiatorów w drugiej części są jeszcze bardziej spektakularne niż w pierwszej. Łącznie z bitwami morskimi w zalanym wodą Koloseum...

– Owszem, istnieją historyczne dowody na to, że areny były faktycznie wypełniane wodą na potrzeby tzw. naumachii. Kiedy ludzie będą oglądali te sceny w moim filmie, nie powinni zapominać, że wszystkie te groteskowe bitwy – nie inscenizacje, ale krwawe jatki – w amfiteatrach Rzymu wydarzyły się naprawdę. Zalewano je, by organizować potworne bitwy, umieszczano w nich także ryby i mureny.

Kasjusz Dion, senator i historyk z przełomu II i III wieku, pisał, że w zalane areny wpuszczano drapieżne ryby i inne morskie stworzenia. W pańskim filmie są tam nawet rekiny.

– No, jeśli uda ci się już zbudować olbrzymi basen, to chyba dasz radę wpuścić tam dla podkręcenia zabawy kilka muren czy rekinów, prawda? Nawiasem mówiąc, my odtworzyliśmy taką arenę w jej oryginalnym rozmiarze na Malcie, ale później oparliśmy się jednak o efekty cyfrowe, tak było taniej i efektywniej. A bitwę morską u wybrzeży Afryki Północnej nakręciliśmy na pustyni w Maroku – zamiast

w wodzie, na piasku. Zleciliśmy odtworzenie trzech okrętów wojennych w ich oryginalnych rozmiarach – każdy ważył około dziesięciu ton – i umieściliśmy je na przemysłowych maszynach budowlanych. Następnie sklonowaliśmy te prawdziwe statki cyfrowo, uzyskując flotę 50 statków. I dopiero wtedy umieściliśmy je w cyfrowo zaprojektowanej wodzie.

Ale to wszystko już historia. Zaczynam kręcić kolejny film. O zespole Bee Gees, casting został już zakończony.

Dlaczego akurat Bee Gees? To nie jest dziś specjalnie popularna muzyka.

– Mniejsza o muzykę, ich biografia jest ciekawa. Na początku trzej bracia grali na gitarach i naśladowali Beatlesów. Barry Gibb miał zaledwie jedenaście lat, a jego bracia bliźniacy, Robin i Maurice, osiem. A już wtedy byli dość profesjonalni, mobilizowani przez ojca, który grywał w trzeciegozespole tanecznym. Miesiąc temu spotkałem się z Barrym Gibbem. Wszystko, co pamiętałem o nim do tego momentu, to jego długie włosy. Ale teraz ma już 75 lat, prawie tyle co ja... Jak już skończę z Bee Gees, mam jeszcze w planie western.

Dlaczego Ridley Scott chciałby nakręcić western, kolejny z wielu?

– Ponieważ uważam, że westerny, jakie znamy, mają się nijak do rzeczywistości Ameryki w XIX wieku. I myślę, że wiem, co zrobić, żeby to naprawić. Zrobienie westernu to moje ostatnie marzenie, tylko muszę się z tym pośpieszyć, zostało mało czasu. ●

O rzymskich gladiatorach czytaj na s. 40



LENA
LEADING — EUROPEAN
NEWSPAPER — ALLIANCE

Covid, najlepszy spin doktor

Portugalia, Japonia, Hiszpania, Finlandia, Szwecja, Wielka Brytania
– wszędzie widać ten sam trend, co w USA

Tekst: **Mateusz Mazzini**, infografika: **Tomasz Lebioda**

Ozy Kamala Harris miała w ogóle szansę z Trumpem wygrać? To pytanie cicho wybrzmiewało już po tym, kiedy w lipcu Biden wreszcie zrezygnował, zostawiając zmiennicze raptem 107 dni na zbudowanie własnej kandydatury. Ale w gruncie rzeczy nie chodzi o to, czy była dobrą, czy złą kandydatką. Biorąc pod uwagę trudne warunki, jej kampania była niezła. Zrobiła, co mogła. Lecz wpisując amerykańskie wybory w szerszy, globalny trend widać jak na dłoni, że w bieżącym klimacie politycznym reelekcja graniczy z cudem. To jedna z niewielu tendencji politycznych, która w tej chwili ma zastosowanie dosłownie wszędzie. Ktokolwiek sprawował władzę w schyłkowej fazie pandemii koronawirusa i tuż po niej, został zaraz potem zmieciony z planszy przez wyborców. Dotyczy to prezydentów i premierów, rządów koalicyjnych i jednopartyjnych, prawicy i lewicy. Na to, co przyszło po latach przymusowej izolacji, nikt nie był przygotowany.

Upadły – i to szybko – lewicowe bastiony popularności, które w czasie zarazy były u szczytu popularności. • Ani **Finka** Sanna Marin, ani szefowa rządu **Nowej Zelandii** **Jacinda Ardern** nie utrzymały swoich ugrupowań u władzy, choć w 2020 r. święciły triumfy dzięki skutecznemu zarządzaniu kryzysowemu. Świat patrzył z zachwytem na obie polityczki, stawiając tezę, że „kobiety z wirusem radzą sobie lepiej”. Nie poradziły sobie jednak z gospodarczymi i społecznymi następstwami. W Finlandii progresywny rząd zastąpiła koalicja centroprawicy z populistycznymi nacjonalistami z Partii Finów, znana z zawieszenia prawa do azylu dla migrantów. Ardern uciekła spod topora, sama rezygnując ze stanowiska w styczniu 2023 r. Wojnę jej wydały zwłaszcza związki zawodowe, a kolegę z partii, Chrisa Hipkinsa wrzuciła na minę – dziewięć miesięcy później prowadzona przez niego nowozelandzka Partia Pracy przegrała z kretelem, oddając władzę konserwatystom.

• W **Wielkiej Brytanii** **Partia Konserwatywna**, rządząca przez 14 lat, w pierwszej pełnej elekcji po pandemii zaliczyła najbardziej upokarzającą porażkę w historii. • **We Włoszech** katastrofą dla partii koalicji rządzącej okazały się wybory z 2022 r. Wywinęły one do władzy post-faszystów spod znaku Braci Włochów, a najliczniej reprezentowany we wcześniejszym rządzie **Ruch Pięciu Gwiazd**, ledwo przeżył kampanię i stracił prawie jedną piątą głosów. • Po latach bycia „ostatnią fortecą europejskiej lewicy”, **Portugalia** przeszła pod kontrolę konserwatystów. • Podobnie **Szwecja**, gdzie rząd trzyma się na głosach faszyzujących Szwedzkich Demokratów, jednej z najbardziej ksenofobicznych partii w Europie.

• **We Francji** **Macron** ledwo przetrwał własne wybory prezydenckie w 2022 r., rywalizując ze skrajnie prawicową Marine Le Pen i skrajną lewicą Jean-Luca Mélenchona. A już dwa lata później prezydencka ekipa centrystów została zdemolowana w wyborach do europarlamentu i słabo poradziła sobie w przyspieszonym głosowaniu parlamentarnym, które wygrała lewica.

• Pierwsze lata po pandemii wywindowały do władzy radykałów także w **Holan-**



• **Boże Ciało 2017, procesja na nowojorskim Greenpoincie** FOT. WOJCIECH KUBIK/EAST NEWS

dii, ale nigdzie chyba ich wyborcze paliwo nie było tak wyraźne, jak w **Austrii**. Wrzesniowe głosowanie do parlamentu wygrała skrajnie prawicowa Partia Wolności, której lider, Herbert Kickl, mówi o sobie per *volkskanzler*, kanclerz ludowy, tak jak mówił o sobie Adolf Hitler. Jego partia kilka lat temu szorowała po dnie w sondażach, ale wróciła do głównego nurtu, głównie dzięki silnemu przeciwnikowi wobec reżimu sanitarnego. Kickl zyskał rozpoznawalność, organizując w Wiedniu protesty przeciwko kwarantannie, a ówczesny rząd centroprawicowej Partii Ludowej nazywał „korona-dyktaturą”.

• **Poza Europą** trend widać miejscami jeszcze mocniej. **Justin Trudeau**, swego czasu rekordowo popularny premier **Kanady**, wraz z Partią Liberalną stoi nad przepaścią i prawie na pewno w przyszłorocznych wyborach straci władzę. Wyborcy w **Brazylii**, jednej z największych demokracji świata, pozbyli się prawicowego populisty **Jaira Bolsonaro**, który w koronawirusa nie wierzył, doprowadzając do setek tysięcy zgonów.

Rządzący przegrywają teraz nawet w miejscach, w których wydawało się, że przegrać nie mają prawa. Jak w **Japonii**, gdzie konserwatywna światopoglądowo **Partia Liberalno-Demokratyczna** utraciła większość i najpewniej nie będzie rządzić – choć była u steru niemal nieprzerwanie od powstania w 1955 r.

No i wreszcie USA, gdzie rządzący przez ostatnie cztery lata Joe Biden był tak niepopularny, że będąca jego wiceprezydentką Harris od początku musiała wioskować pod prąd opinii publicznej. Trump dostał silny mandat demokratyczny od społeczeństwa – ale to raczej Demokraci przegrali, niż triumfował. Przecież prezydent elekt – który ma ogromny elektorat negatywny – wygrał przewagę niecałych 3 pkt. proc. w całkowitej liczbie głosów. Biden cztery lata wcześniej miał aż 4,5 pkt. proc. więcej od niego. Nikt Trumpowi nie odbiera charyzmy ani skuteczności, w końcu przebił swoje własne sufit. Ale one były nisko zawieszone.

Dlatego niespecjalnie ryzykowna wydaje się teza, że z Harris wygrałby każdy kandydat Republikanów. Ktoś mniej radykalny od Trumpa, na przykład jego rywalka w prawyborach, Nikki Haley, miałaby pewnie nad wiceprezydentką jeszcze większą przewagę.

•

Katastrofalną sytuację polityków, którzy rządzą w okresie post-pandemicznym, tuż po wyborach opisał Ian Bremmer, felietonista magazynu „Time” i założyciel firmy doradczej Eurasia Group. Od miesięcy ten trend analizuje Rory Stewart, były polityk torysów, współgospodarz najpopularniejszego na Wyspach podcastu „The Rest is Politics”. Na niemożność wygrania tych wyborów przez

Demokratów wskazał na łamach „New York Timesa” Ben Rhodes, ekspert zajmujący się autorytaryzmem, dawniej speechwriter i bardzo bliski doradca Obamy. Wszyscy dochodzą do podobnych wniosków, z którymi trudno polemizować: pandemia bardzo mocno zmieniła społeczne pojmowanie rzeczywistości i polityczny układ sił. Dopiero teraz doświadczamy pełni jej skutków – i to w sposób, którego nie dało się przewidzieć.

Wyborcy z izolacji wyszli z pustymi portfelami. Wielu straciło pracę, a wydatki im wzrosły. Na słabe, miejscami nieistniejące odbicie gospodarcze nałożyła się inwazja Rosji na Ukrainę i wzrost cen energii. Przez Amerykę i Europę przetoczyła się fala inflacji, mocno wzrosły koszty życia. Nawet trendy tożsamościowe, jak rosnąca niechęć do migrantów, mają podłoże głównie ekonomiczne – ludzie postrzegają biedniejszych przybyszów jako konkurencję na rynku pracy i nierobów, którzy konsumują państwowe (czytaj: z kieszeni wyborców) zasoby. Głosują na Kickla, Szwedzkich Demokratów czy Trumpa, bo ci, którzy byli przed nimi, mieli pecha rządzić w czasach głębokiego, choć czasem słabo widocznego kryzysu.

A pandemia spustoszyła społeczeństwa nie tylko pod względem gospodarczym. W wielu krajach, zwłaszcza tych o długich i restrykcyjnych kwarantannach, zmieniła też percepcję politycznej rzeczywistości. W Polsce ciężko to zrozumieć, bo nasz lockdown był krótki i pobłażliwy. Nie sprawdzano u nas paszportów szczepionkowych, ich weryfikacja była żartem. Nie ma w ogóle porównania z Wielką Brytanią, gdzie ludzie nie byli w stanie wyjść do restauracji przez rok, półtora. Podobnie w USA, gdzie wiele restrykcji pandemicznych obowiązywało dłużej i rzeczywiście władze pilnowały ich przestrzegania. O Australii już nie mówiąc.

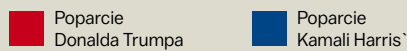
Te dwa lata były realną przerwą w normalnym życiu – kosztowną, bolesną, przepełnioną lękiem. Nic dziwnego, że miliony ludzi tęsknią do czasów sprzed pandemii – nawet jeśli były dalekie od ideału.

To też jedno ze źródeł wygranej Trumpa. Jamelle Bouie z „New York Timesa” napisał w noc wyborczą, że triumf Republikanów jest zwycięstwem nostalgii. Na temat hasła Make America Great Again napisano już tomy, ale można je opisać jednym słowem: niejednoznaczność. Trump nigdy nie sprecyzował, kiedy Ameryka była wielka i do jakich czasów chce wrócić. Celowo – bo dla każdego wyborcy oznacza to przecież co innego. Inny był okres, w którym mu się powodziło, inną przeszłość dobrze wspomina. Tak było osiem lat temu w kampanii i potem przez cztery lata u władzy.

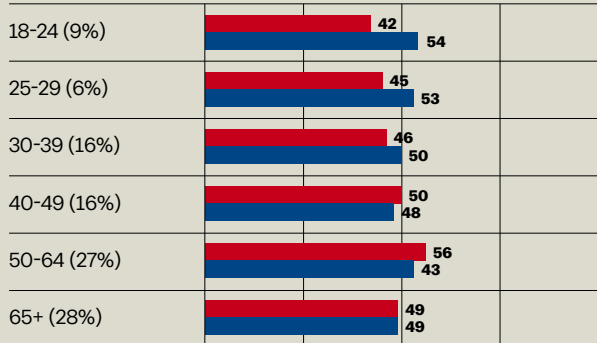
Teraz jednak przekaz Trumpa był konkretny: odwołał się do nostalgii czasów niedawnych, sprzed pandemii. To było celowe działanie, strategię powrotu do tamtego okresu podsunął mu republikański senator Lindsey Graham. „Kiedy ja rządziłem, nie było inflacji. Kiedy ja rządziłem, nie było tu migrantów. Kiedy ja rządziłem, tankowaliście do pełna bez stresu” – mówił Trump na wiecach. Nie tłumaczył, że to, co wymienia, a co zmieniło się na gorsze, jest bezpośrednią pochodną pandemii. Nie musiał – namalował wyborcom nie tak odległy w czasie raj, w którym żyło się spokojnie. A że to nie do końca prawda? Nikt nigdy nie powiedział, że wybory w demokracji wygrywa się faktami. •

Kim są wyborcy Donalda Trumpa i Kamali Harris?

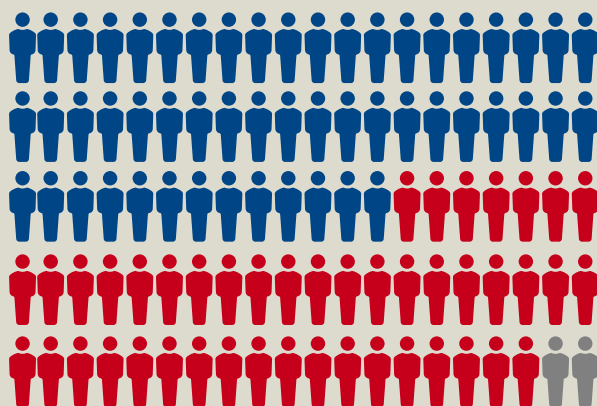
Dane w proc.



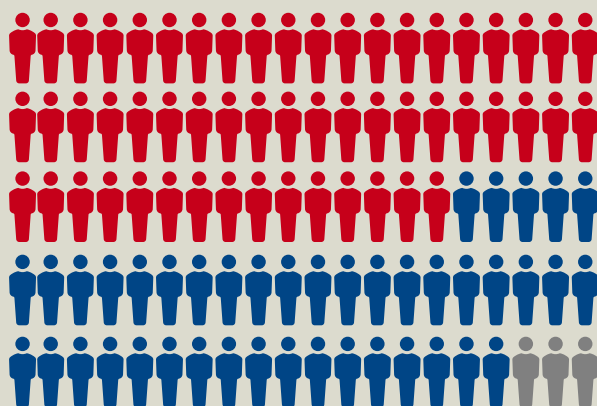
WIEK



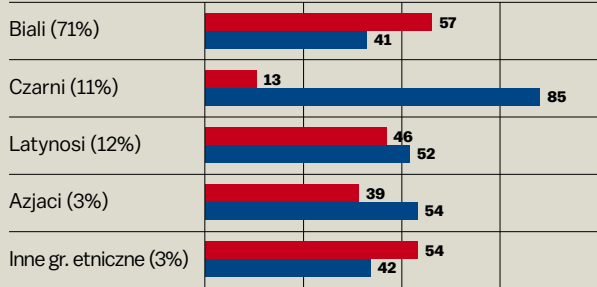
PŁEĆ – KOBIETY (53%)



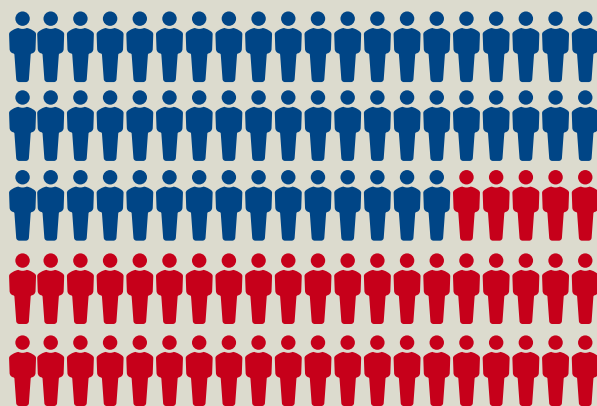
PŁEĆ – MĘŻCZYŹNI (47%)



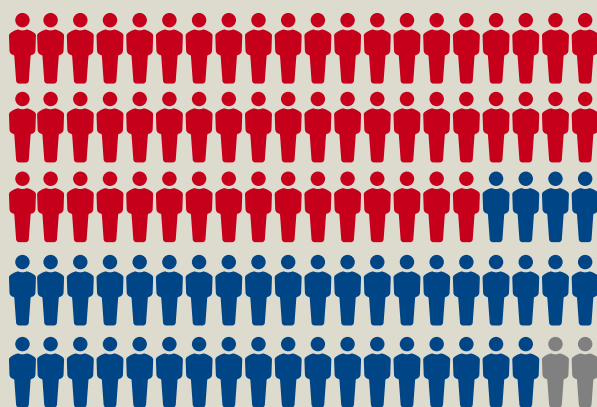
RASA



Z WYŻSZYM WYKSZTAŁCENIEM (43%)

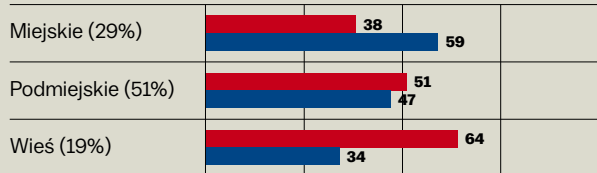


BEZ WYŻSZEGO WYKSZTAŁCENIA (57%)

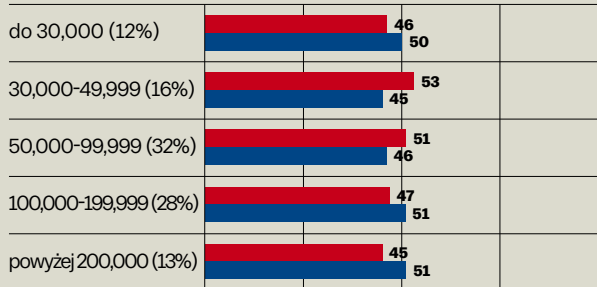


Trump 56% – Harris 42%

MIEJSCE ZAMIESZKANIA



DOCHÓD W DOLARACH



CZY MASZ DZIECI PONIŻEJ 18 ROKU ŻYCIA?

Tak (27%)

Nie (73%)

50%

40%

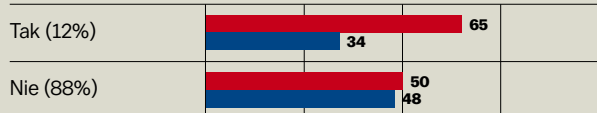
Tak (27%)

Nie (73%)

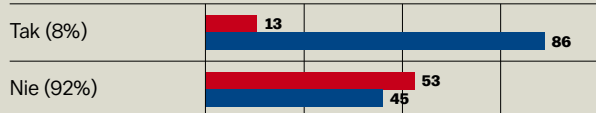
44%

50%

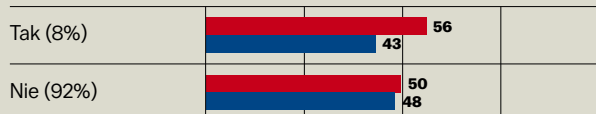
WETERANI



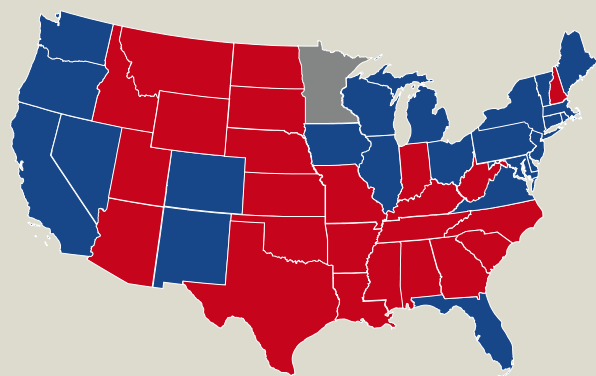
GEJ, LESBIJKA, OSOBA BISEKSUALNA LUB TRANSPŁCIOWA?



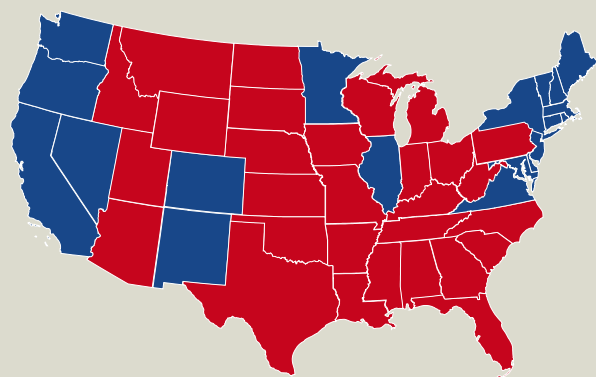
PIERWSZY RAZ GŁOSUJACY



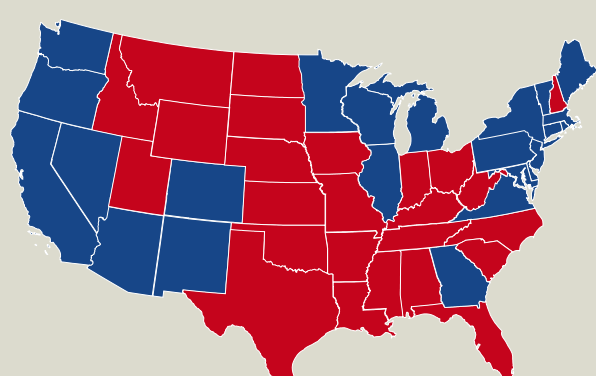
ROZKŁAD WYBORCÓW W 2012 R.



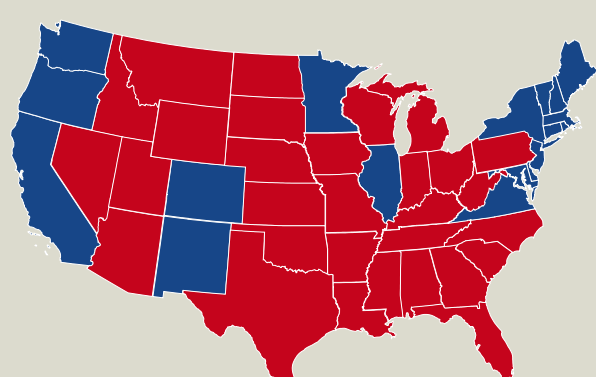
ROZKŁAD WYBORCÓW W 2016 R.



ROZKŁAD WYBORCÓW W 2020 R.



ROZKŁAD WYBORCÓW W 2024 R.



ŹRÓDŁO: CNN, MIT ELECTION DATA AND SCIENCE LAB,
THE AMERICAN PRESIDENCY PROJECT
INFOGRAFIKA: TOMASZ LEBIODA / WYBORCZA.PL / BIQDATA.PL

Putin, nadprezydent USA

SPRYTNY
POŚLUSZNY
BIZNESMIEN



FOT. ANDREW HARRER/BLOOMBERGGETTY IMAGES

Od 2007 roku Trump w różnej formie otrzymał z Rosji setki milionów dolarów

Z JURIJEM FELSZTINSKIM
ROZMAWIA WIKTORIA
BIELIASZYN

WIKTORIA BIELIASZYN: Zacznę od pytania, które pan zadał byłemu funkcjonariuszowi KGB: Donald Trump jest agentem rosyjskich służb?
JURIJ FELSZTINSKI: Jestem historykiem i z odpowiedzialnością odnoszę się do każdego słowa. Rzecz w tym, że udowodnić, iż ktoś jest agentem lub działa na rzecz służb, jest niezwykle trudno. Właściwie to prawie niemożliwe.

Czyli dostał pan odpowiedź? Czy kagebista wykonał unik jak pan?
– Mam wiele sygnałów, by twierdzić, że Trump jest uzależniony od Putina, a więc i związany z rosyjskimi służbami bezpieczeństwa. Trump nigdy nie powiedział na temat Putina ani jednego złego słowa. Dla prezydenta USA czy kandydata na ten urząd to wyjątkowo nietypowe, zwłaszcza zważywszy na liczne okoliczności, które temu sprzyjały. Aneksja Krymu i pełnoskalowy atak na Ukrainę w 2022 r. wydarzyły się za rządów Demokratów. Dla Republikanina to idealne warunki do narracji opartej na krytyce administracji Obamy i Bidena. Tymczasem Trump głosi, że Putinowi należy pozwolić robić w Ukrainie, co mu się żywnie podoba.
We wszystkich kluczowych momentach, kiedy krytyka działań Kremla byłaby wskazana, Trump występuje w roli proputinowca.

Przykład?
– Kiedy zapytano go, kto jest winny pamiętnego otrucia polonem Litwinienki, odpowiedział, że nie wie. To samo usłyszeliśmy, kiedy zapytano go, kto usiłował otruć Siergieja Skripała, eks-pułkownika GRU, żyjącego w Wielkiej Brytanii. Wątpliwości nie miał natomiast, kiedy odpowiadał, czyj jest Krym, bez wahania orzekł, że to część rosyjskiego terytorium. Albo kiedy wskazywał winnego wojny – jego zdaniem to Wołodymyr Zelenski.
Te pytania to papierki lakmusowe. Odpowiedzi Trumpa nie dają przestrzeni do żadnych wątpliwości. A Trump nie należy do subtelnych polityków i nie jest znany z gryzienia się w język, więc tym bardziej więc rzuca się w oczy, że Putin jest jedynym politykiem, o którym przez wszystkie te lata wypowiadał się wyłącznie pozytywnie.

Coś jeszcze?

Wiemy, że jako prezydent Trump dokładał starań, by spotkać się z Putinem sam na sam. Dla przywódcy USA to raczej nietypowe. Lider takiego państwa dąży do spotkania z prezydentem Rosji bez świadków?

Od lat wskazuje pan na rosyjskie powiązania urzędników z najbliższego otoczenia Trumpa.
– Pamiętam Paula Manaforta, szefa jego poprzedniej kampanii prezydenckiej. Wcześniej Manafort doradzał Wiktorowi Janukowyczowi, prorosyjskiemu kandydatowi na prezydenta Ukrainy. Dziś wiadomo, że Manafort był człowiekiem rosyjskiego oligarchy Olega Deripaski, z którym blisko współpracował i za pomocą którego przekazywano informacje między Białym Domem a Kremlen.
Dalej mamy generała wywiadu Michaela Flynna. W grudniu 2015 r. Flynn siedział z Putinem za jednym stołem przy okazji jubileuszu propagandowej redakcji Russia Today. Wiemy, że Flynn otrzymywał dziesiątki, a może i setki tysięcy dolarów od rosyjskich władz. Nie przeszkodziło to Trumpowi w wyznaczeniu go na doradcę ds. bezpieczeństwa narodowego.
A Rex Tillerson? Trump mianował go sekretarzem stanu USA, chociaż całą karierę Tillerson, przez lata pracujący w Rosji, zawdzięczał Putinowi. Takich osób było więcej.

Ale chyba nie wszyscy byli agentami.
– W żadnym razie nie twierdzę, że Tillerson, w odróżnieniu od Flynna, był czy jest rosyjskim agentem.
Ale z punktu widzenia Putina agentem jest każdy cudzoziemiec, który przyjmuje od władz innego państwa znaczące sumy. A takich polityków w pewnym momencie było bardzo wielu na całym świecie. Lukratywnych ofert z Rosji nie postrzegano jako coś godnego pośpiechu. Były czeski prezydent Miloš Zeman, Orban, Gerhard Schröder, Marine Le Pen... Rosjanie wiedzą, że aby „kupić” człowieka, wystarczy zaproponować mu legalnie duże pieniądze albo posadę, dzięki której będzie mógł się wzbogacić. A jeśli się nie zgadza, to zaproponować mu więcej.

Z pana książki wynika, że Trump w tę kategorię idealnie się wpisuje.
– Nie mam wątpliwości, że Putin uważa Trumpa za rosyjskiego agenta. Czy tego samego zdania jest Trump? Nie wiem, ale wiado-

mo, że od 2007 r. w różnej formie otrzymał z Rosji setki milionów dolarów. Być może, gdybyśmy zapytali go, czy czuje się z tego tytułu w jakikolwiek sposób zobowiązany wobec rosyjskich władz, odpowiedziałby, że jest po prostu bardzo sprytnym biznesmenem, który naciąga głupie rosyjskie władze na gigantyczne pieniądze.
Znamienne było wyciągnięcie do Trumpa przez Rosjan po-

■
Paul Manafort, szef poprzedniej kampanii Trumpa, doradzał Janukowyczowi i był człowiekiem oligarchy Olega Deripaski. General Michael Flynn, mianowany doradcą ds. bezpieczeństwa narodowego, dostawał pieniądze od rosyjskich władz. Rex Tillerson, sekretarz stanu u Trumpa, przez lata pracował w Rosji

mocnej dłoni, kiedy jego imperium stanęło na progu bankructwa w 2008 r. Wszystko wskazuje na to, że za zgodą Putina przedstawiciele służb kupili wtedy od Trumpa podupadającą willę na Florydzie za cenę znacznie przekraczającą jej wartość. Z budynkiem nie dało się nic zrobić, po kilku latach go zburzono. Celem Rosjan było wyciągnięcie Trumpa z tarapatów finansowych i umożliwienie mu rozkręcania kariery politycznej.

Co na to amerykańskie społeczeństwo?
– Zaczniemy od tego, że przeciętnego Amerykanina polityka zagra niczna interesuje w najmniejszym stopniu. O powiązaniach Trumpa z Rosją mało kto u nas pisze. Ale nawet gdyby się o tym mówiło więcej, to na żelazny elektorat niekoniecznie by to wpłynęło. On sam mówi – i nie wykluczam, że ma rację – że nawet, gdyby zastrzelił ko-

goś na 5 Alei, nie straciłby ani jednego zwolennika.

A skąd ta pewność, że Trump wstrzyma pomoc dla Ukrainy? On deklarował, że „doprowadzi do szybkiego końca wojny”, ale nie, że wstrzyma pomoc.
– Według mnie to właśnie jedno z zobowiązań, jakie Trump ma wobec Putina. W najlepszym wypadku w ten sposób zrewanżuje mu się za wieloletnie wsparcie finansowe. W najgorszym wykona zadanie, które zlecał mu rosyjskie służby.
Co do tego, że będzie wobec Putina lojalny, nie mam wątpliwości. Widać to w wywiadzie, którego Putin udzielił Tuckerowi Carlsonowi, medialnemu guru alt-prawy, dawnej gwiazdki Fox News. Spodziewam się też, że Trump, argumentując, że chce poprawić sytuację gospodarczą kraju i społeczeństwa, ogłosi zmniejszenie zaangażowania USA w NATO i w europejskie problemy.

Skąd u pana tak silne podejrzenie, że Trump może być powiązany z rosyjskimi służbami?
– Wiele powiedział mi Oleg Kaługin, były generał KGB. Trump jeszcze jako młody mężczyzna często przyjeżdżał do ZSRR. Miał się tam zachowywać w sposób, który Kaługin określił jako „lekkomyślny i frywolny”. „Mógł być zwербowany. Ale nie musiał” – powiedział mi. Dla służb osoby takie jak Trump w młodości są wyjątkowo łatwym celem.

Dlaczego?
– Był synem bogatego, szemrznego amerykańskiego biznesmena, a interesowały go dwie rzeczy: seks i pieniądze. O tym wszystkim

radzieckie służby wiedziały najprawdopodobniej na długo przed tym, jak przekroczył po raz pierwszy granicę ZSRR. Przyznał zresztą to Kaługin. Jego profil, jak zresztą większości cudzoziemców, sporządzono na etapie składania przezeń wniosku o wizę. Przygotowanie „kompromatu” na taką osobę, zwłaszcza niezbyt czujną i nieostrożną, to dla służb bułka z masłem.

Kilka lat temu, przy okazji szczytu w Helsinkach, rozmawiałam z pewnym rosyjskim pisarzem o stosunku, jaki Trump może mieć do Putina. Mówił o „jednostronnym zauroczeniu”.
– Putin potrafi być uwodzicielem. To zdolność, którą wykształcił w KGB. On nie rozmawia z ludźmi, on ich werbuje. Potrafi błyskawicznie rozgryźć drugiego człowieka, wie, co należy powiedzieć, by go sobie zjednać, wyczuć słabe punkty, przeciągnąć na swoją stronę.
Ale nie robiłbym z Trumpa naiwniaka. To nie ten typ człowieka, który byłby podatny na urok i czar innego polityka. To praktyczny, szorstki lider, który myśli o własnych zyskach. Co nie kłóci się z lojalnością wobec Putina.

Eksperci podkreślają, że demonizacja Trumpa nie jest słuszną. Przecież za jego kadencji relacje z Rosją nie były cukierkowe.
– To pozory, oparte na słowach Putina, który ironicznie stwierdził, że już lepiej, żeby Biden wygrał, bo Trump jest nieprzewidywalny. Tak, relacje mocarstw nie były gładkie, ale to łatwo wyjaśnić. Przecież cały świat zwracał wtedy uwagę, że Rosja ingerowała w amerykańskie wybory, doprowadzając do zwycięstwa Trumpa. Gdyby on demonstrował wtedy publicznie pełną lojalność i posłuszeństwo, nikt nie miałby już żadnych wątpliwości.
Niektórzy przypominają, że to za prezydentury Trumpa nałożono na Rosję sankcje i uważają, że to dowód na jego niezależność. Ale to nie Trump je nakładał. Wydarzenia, które miały uderzyć w Rosję, odbywały się nie z woli Trumpa, ale wbrew niemu.

Co czekać Europe?
– Jeśli Europa straci amerykański parasol nuklearny, dojdzie do zachwiania równowagi sił. A to może zachęcić Putina do użycia broni jądrowej. Złożyłby Białoruś w ofierze, bo to tam Rosjanie przerzucają część arsenału. Uderzając, nawet na niewielką skalę, z Białorusi, całkowicie odciąłby Ukrainę od europejskiej pomocy. I wygrałby wojnę. ●

Jurij Felsztinski

• ur. w 1956 r. w Moskwie, historyk i publicysta. Od końca lat 70. żyje i pracuje w USA, autor wielu książek polityczno-historycznych, m.in. „Towards a History of Our Isolation” (Londyn 1988), „Vladimir Lenin, Leon Trotsky, Joseph Stalin and the Left Opposition in the USSR, 1918–1928” (Paryż 1990), „Big Bosses” (Moskwa 1999), „Trzecia wojna światowa? Bitwa o Ukrainę”. Wspólnie z Aleksandrem Litwinienką, byłym oficerem FSB, później otrutym w zemście przez ludzi Putina, napisał „Wysadzić Rosję” – bestseller śledczy o działaniach byłych kagebistów i ludzi FSB, które doprowadziły Putina do władzy. Jego nowa książka o powiązaniach Trumpa z rosyjskimi oligarchami działającymi w imieniu Kremla i rosyjskiego wywiadu – „Na smyczy Kremla. Donald Trump, Dmitrij Rybołowlew i oferta stulecia” – właśnie ukazała się w Polsce nakładem Rebisu. Dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.



Mateusz Mazzini

Pierwszy raz z Sikorskim jako politykiem formatu europejskiego, kimś więcej niż tylko kolejnym anonimowym na Zachodzie przedstawicielem jakiegoś tam rządu, zetknąłem się późną jesienią 2011 r.

Zajęcia z historii Europy XX wieku na uniwersytecie w Kordobie tego dnia akurat rozpoczęliśmy w pobudzeniu. Mało kto słuchał opowieści wykładowcy ni o konkulturze lat 60., bo wszyscy – Polacy, Hiszpanie, Belgowie, Niemcy – wczytani byliśmy w różne wersje tego samego artykułu. Oto polski minister spraw zagranicznych wygłosił mowę, która niosła się po Europie jak rakietą. „Boję się niemieckiej bierności bardziej niż niemieckiej aktywności” – powiedział Sikorski w Berlinie.

Nikt z nas, studentów, nie rozumiał wtedy w pełni przesłania tego przemówienia – lecz nie o to chodzi. Sikorski mówił proroczo, wskazywał, że nadchodzą dla Europy czasy trudne, a bez właściwego niemieckiego przywództwa będą jeszcze trudniejsze. Ale wtedy bardziej liczyło się to, że pierwszy raz w moim świadomym życiu polski minister coś powiedział, a moi znajomi z krajów bogatszych, bardziej wpływowych, siedzieli i słuchali z podziwem.

Drugi z tych momentów nastąpił niecałe trzy lata później, w marcu 2014 r., gdy niedopowiedziana przez Sikorskiego w Berlinie wizja zaczęła się na naszych oczach materializować. Oto Rosja napadła na wschodnią Ukrainę, zajęła Krym, a Zachód się przyglądał. Inwazję oglądałem w BBC w moim college’u w Oksfordzie, współorganizując konferencję, na której Sikorski miał być głównym prelegentem.

Do końca drżeliśmy, czy nie odwoła udziału w ostatnich chwilach – ale przyjechał. Opowiedział o tym, że polityka studencka jest brutalniejsza od tej zawodowej, a on to wie, bo wybory na przewodniczącego Oxford Union, jednej z najważniejszych organizacji studenckich na świecie, sam przegrał z Borisem Johnsonem po mało przyjemnej kampanii. Wiedząc dzisiaj, jakim politykiem jest Sikorski, a jakim okazał się Johnson, łatwo sobie ją wyobrazić.

Zaraz po wystąpieniu w Oksfordzie Sikorski zrobił tournée po brytyjskich mediach. Gościł między innymi w HARDTalk, do niedawna jednym z najważniejszych programów BBC. Prowadzący, Shaun Ley, zadał prowokujące pytanie o Ukrainę. Zapytał, dlaczego on, Brytyjczyk, ma się przejmować wydarzeniami na krańcach odległego kraju we wschodniej Europie. W odpowiedzi usłyszał, że już raz Brytyjczycy nie interesowali się wydarzeniami w pewnym kraju w Europie Środkowo-Wschodniej i „wszyscy wiemy, jak to się skończyło”.

Tamten wywiad oglądałem w *common roomie*, ogromnym, wspólnym salonie dla wszystkich studentów. Przyjaciółka, dzisiaj nagradzana amerykańska dziennikarka, powiedziała głośno: „ten człowiek mówi po angielsku lepiej ode mnie”. Na kanapach obok siedzieli studenci, wtedy koledzy i ko-



Zapytałem
znajomych
z Waszyngtonu,
co w korytarzach mówi się
o Sikorskim

BAGAŻ ŻONY

leżanki, dzisiaj – dziennikarze, dyplomaci, pracownicy unijnych instytucji. Wszyscy, co do jednego, patrzyli na niego albo z podziwem, albo z pełną akceptacją. Sikorski, absolwent Oksfordu, znajomy ze studiów Davida Camerona i Borisa Johnsona, obyty w mediach anglosaskich – a swego czasu te media współtworzący – mówił jak politycy z ich krajów, a nawet lepiej.

Dla studenta z Polski, przywykającego do mialkiej klasy politycznej i rangi raczej skromnej w skali kontynentalnej, o atlantycznej nie wspominając, to był szok.

Minęła dekada. W Ukrainie dalej trwa wojna, choć nieporównywalnie bardziej brutalna niż „jakieś walki” „gdzieś w Donbasie”, decydująca o przyszłości całego państwa, ba, regionu. Sikorski też jest, tak jak był, szefem polskiego MSZ, tyle że z doświadczeniem ośmiu lat w opozycji i na europejskich salonach. I zaraz będzie startował w prawyborach, które wyłonią kandydata KO na prezydenta. Postanowiłem więc przepytac znajomych, co prezydent Sikorski oznaczałby dla Polski, Europy i świata – zwłaszcza w obliczu zwycięstwa Trumpa.

Amerykańska dziennikarka pisząca dla waszyngtońskich mediów odpowiedziała chętnie, ale pod warunkiem anonimowości. „W tej chwili klimat polityczny po obu stronach Atlantyku jest zbyt nieprzewidywalny, żeby takie oceny wygłaszać pod nazwiskiem”.

Jej opinia o Sikorskim jako o polityku jest jednoznacznie pozytywna. Określa go mianem „doświadczzonego gracza w relacjach transatlantyckich”. Co jednak nie musi oznaczać sukcesu w rozmowach z republikańską administracją w Białym Domu. – Nie wiadomo, jak wyglądać będzie polityka zagraniczna Trumpa, ale mało prawdopodobne, żeby Sikorski spotkał po drugiej stronie stołu osoby podobne do siebie. Partnerów, którzy tak samo myśleliby o relacjach USA z Europą, raczej

tam nie znajdzie. No i nie zapominać, jest kwestia żony.

Żony, czyli Anne Applebaum, amerykańskiej dziennikarki i zdobywczyni nagrody Pulitzera, czołowej publicystki politycznej. Redakcja magazynu „The Atlantic”, do którego pisze, i ona sama, należeli do najbardziej zagorzałych krytyków Trumpa, ostrzegając przed autorytaryzmem, gdyby wrócił do władzy. W jednym z tekstów Applebaum stwierdziła, że Trump „mówi jak Hitler, Stalin i Mussolini”.

A prezydent elekt jest pamiętliwy, podobnie jak jego bliskie oto-

ce telewizyjnej z 25-letnim stażem w największych kanałach informacyjnych. Ostatnie lata spędziła w Europie. – Trump na pewno nie przepuści tych komentarzy, które wyszły spod pióra Anne – pisze mi jednoznacznie już w pierwszej odpowiedzi.

Sikorskiego postrzega podobnie jak wszyscy. Bardzo zdolny, sprawny polityk. Na jego korzyść, zwłaszcza w Europie, działa zachodnie wykształcenie. Świetnie rozumie dynamikę relacji międzynarodowych i sprawy związane z obronnością, a to teraz kluczowe.

Polska ma szansę być dla USA ważniejsza niż kiedykolwiek – pisze mi znajomy, który w poprzedniej administracji Trumpa pracował przy kwestiach obronności

czenie. Oczywiście można by liczyć na umiarkowanych Republikanów, którzy wciąż istnieją i znajdują się na mniej eksponowanych stanowiskach w administracji, ale nawet jeśli część z nich podziela zdanie Applebaum. Ale czy teraz, kiedy wszystko w Grand Old Party zależy od alt-rightowców i trumplistów, byłiby skłonni ryzykować, rozmawiając z mężem słuchanej po obu stronach Atlantyku komentatorki, która według zauszników sponstrowała nowego prezydenta?

– Nie mam pojęcia, jak dobrze Trump jest zaznajomiony z pojedynczymi artykułami w tym czy innym tytule. Ale specjalnie bym się nie przejmowała. Pamiętam, J.D. Vance też kiedyś powiazał Trumpa z Hitlerem, a dzisiaj jest u niego wiceprezydentem – wzrusza ramionami koleżanka.

Zdania są jednak podzielone. To samo pytanie zadają innej znajomej, amerykańskiej dziennikar-

dzie” – wyprzedza pytanie o dalsze plany zawodowe.

– Applebaum stanęła po stronie Bidena i to oczywiście może zdenerwować kogoś w teamie Trumpa, ale Polska ma szansę być dla USA ważniejsza niż kiedykolwiek – zaczyna wywód.

– Dlaczego?
– Bo Trumpowi najbardziej zależy na szybkim zakończeniu wojny, a Polska ma tu do odegrania kluczową rolę. Macie dobrą pozycję, bo możecie złożyć mu ofertę – na przykład zwiększenia amerykańskiej obecności wojskowej u was. Strategicznie, instytucjonalnie, logistycznie będziecie bardziej zależni od nas, a Trump tego chce.

– A Sikorski mu nie będzie przeszkadzać? Wykształcony na Oksfordzie członek europejskiej elity, utożsamiający sporo rzeczy, których Trump nienawidzi?

– Wiesz, to nie zawsze tak działa. On nie jest przewidywalnym politykiem. Zobacz – Trump uwielbia Orbana, którego Sikorski wielokrotnie krytykował. Ale to nie musi oznaczać, że Trump będzie zły na Sikorskiego. Dasz mu dobry komercyjny deal, on go rozważy. W świecie Trumpa sprzeczności nie są niczym nadzwyczajnym.

Im szerzej rozrucam sieć, tym więcej słyszę podobnych odpowiedzi. Znajomy z długim stażem w „The Financial Times” określa Sikorskiego mianem „jednego z dwóch najlepszych adwokatów Europy w Stanach Zjednoczonych”, obok prezydenta Finlandii Alexandra Stubbą.

Znany brytyjski intelektualista i dziennikarz wspomina Sikorskiego z lat 90.: „Przychodził wtedy na imprezy londyńskich elit i mówił nam niewygodną prawdę między oczy – jako jedyny”.

Wszyscy moi rozmówcy, którzy patrzą na przyszłość relacji transatlantyckich z europejskiej perspektywy, wskazują jednak na ryzyko związane z publiczną działalnością i tekstami Applebaum. Weryfikuję więc po stronie republikańskiej – to będzie problem?

– Stary, wiesz, nie chcę wyjść na dupka...

– Ale?

– Ale sam Trump nie ma zielonego pojęcia, kim są ci ludzie. Ani Sikorski, ani Applebaum. On nie czyta gazet, on ma gdzieś europejskie elity intelektualne. Jasne, gdyby Sikorski został prezydentem i przyjechałby z wizytą, ktoś z jego doradców by mu pewnie powiedział o analogiach z Hitlerem, ale szczerze? To nie będzie miało raczej znaczenia. Dla Trumpa w kwestii polityki zagranicznej liczą się tylko trzy miejsca na świecie: Ukraina, Izrael i Chiny. Chcesz wiedzieć, jak potraktuje Polskę? Odpowiedz sobie na pytanie, jaka jest polityka Polski względem tych trzech obszarów. Jeśli zbieżna z tym, czego chce Trump – będzie mu po drodze z każdym waszym prezydentem. Jeśli nie – to zrobi, co będzie chciał.

– I naprawdę mam uwierzyć, że człowiek, który kieruje się zemstą, nie odwdzięczy się za takie komentarze?

– Nie – odpowiada mój znajomy. – Wy w Europie naprawdę musicie zrozumieć wreszcie, że to będzie administracja „America First”. Tylko tyle i aż tyle. ●

FOT. ADAM STEPIEN / AGENCJA WYBORCZA.PL



Dlaczego producent samochodów musi upewniać się, że nowy model spełnia normy bezpieczeństwa, a producent AI nie

Z YUVALEM
NOAHEM HARARIM,
HISTORYKIEM,
PISARZEM I
BADACZEM
CYWILIZACJI
ROZMAWIA PIOTR
CIEŚLIŃSKI

ZAPADA KRZEMOWA KURTyna

Co za zbieg okoliczności. Umawialiśmy się na rozmowę o informacji i sztucznej inteligencji, a dośłownie kilka godzin temu Nobla z fizyki dostali pionierzy uczenia maszynowego.

– Z fizyki? To ciekawe. Ostatni raz sprawdzałem wiadomości z rana, w ciągu dnia staram się nie śledzić mediów. Kto dostał tego Nobla?

Jednym z laureatów jest Geoffrey Hinton...

– Zdecydowanie zasługiwał, jest jednym z dwóch lub trzech najważniejszych naukowców w dziedzinie sztucznej inteligencji. Choć powinien to być raczej Nobel z informatyki. Kiedy ponad sto lat temu Alfred Nobel pisał testament, nikt nie śnił o naukach komputerowych, ale teraz to nauka najdynamiczniejsza i najbardziej zmieniająca świat.

Zazdroszczę panu tego odcięcia od wiadomości, ja od rana już kilkadziesiąt razy zajrzałem do smartfona, żeby czytać maile i nowe doniesienia. Nie mogę się powstrzymać.

– Toniemy w powodzi informacji, a wynika to z mniemania, że więcej informacji jest dla nas dobre, przyczynia się do wzrostu wiedzy i mądrości.

Uważamy tak od stuleci.

– To tak, jakby myśleć, że zawsze nam służy więcej jedzenia. A potrzebujemy dobrej diety. Powinniśmy karmić się ograniczoną liczbą wiadomości i tylko dobrej jakości. Nie wystarczy się obżerać informacjami, trzeba dać sobie czas na ich strawienie, przemyślenie. Większość jest śmieciowym jedzeniem dla umysłu.

Na pewno fake newsy.

– Prawda to rzadkie kosztowne dobro. W zbiorze informacji, które rozchodzą się każdej sekundy po świecie, te prawdziwe są drobną mniejszością.

Pan jest dziennikarzem, ja naukowcem, więc wiemy, skąd to się bierze. Żeby napisać rzetelny raport na jakiś temat, trzeba zainwestować dużo czasu, energii i pieniędzy, znaleźć źródła, dowody, sprawdzić fakty, przeanalizować je. Prawda jest kosztowna, fantazje i kłamstwa są bardzo tanie.

A często bardziej atrakcyjne.

– Niemal zawsze. Prawda bywa skomplikowana, bolesna, nudna, bo taka jest rzeczywistość. Fikcję można dowolnie uprościć, a ludzie zazwyczaj wolą proste historie, bo bardziej wciągają. Z tego powodu na całym świecie otwartym rynku informacyjnym większość informacji nie jest prawdziwa, co świetnie widać w obecnym zalewie kłamstw i teorii spiskowych.

Tego lata miałem długie wakacje – wędrowałem po górach z plecakiem bez telefonu. Kiedy po miesiącu wróciłem do pracy, zdałem sobie sprawę, że w tym czasie nic ważnego się nie wydarzyło, ale serwisy informacyjne sypały newsami jak zawsze. – Każdy z nas i całe społeczeństwo potrzebujemy diety informacyjnej.

Tyle że w końcu trzeba wrócić do rzeczywistości z jej informacyjnym przesytem. Do czego przyczyniają się też media.

– Też mam w tym udział. Zdarza mi się udzielać wywiadów w telewizji. Mam kilka minut, a co można przekazać w tak krótkim czasie? Nic skomplikowanego, mówię więc kilka sloganów. Siłą rzeczy spływam rzeczywistość, która w każdej niemal dziedzinie jest bardziej złożona. Żeby coś zrozumieć, nie wystarczy notka na Twitterze, filmik na YouTube. Trzeba przeczytać 400-stronicową książkę.

To wymaga czasu, którego wszystkim brakuje...

– To trzeba się pogodzić z tym, że nie damy rady sami wszystkiego zgłębić, sprawdzić i zbadać. Nawet genialne umysły muszą w wielu sprawach zaufać ekspertom, polegać na instytucjach i autorytetach.

Teraz jeszcze możemy zapytać ChataGPT.

– Jeśli go zapytam o historię Polski w XVII w., to on odpowie na podstawie źródeł, którymi był karmiony, ale skąd będzie wiedział, które są wiarygodne? Koniec końców sprawa sprowadza się do tego, którym instytucjom, uniwersytetom czy wydawcom można zaufać.

Albo którym AI możemy zaufać.

– To będzie szalenie trudne, bo nawet sami twórcy AI nie potrafią wyjaśnić, dlaczego algorytm wygenerował taką, a nie inną odpowiedź.

Jeśli to będzie dobra odpowiedź, to może nie ma co się przejmować.

– Problem w tym, że zrozumienie jest kluczem do sprawczości, a także podstawą demokracji. Jeśli lu-

dzie – już teraz przytłoczeni nadmiarem informacji – nie będą w stanie ocenić, czy decyzje podejmowane z udziałem AI są przejrzyste, sprawiedliwe i uczciwe, to staną się łatwym łupem różnych teorii spiskowych, populistów, demagogów i szarlatanów, bo oni dają zawsze proste i zrozumiałe przepisy.

Ludzie oczekują, że AI powie im prawdę o świecie, ale w rzeczywistości AI stworzy nową rzeczywistość, jeszcze bardziej skomplikowaną, której już nie będziemy ogarniać. W takim świecie nie ma mowy o demokracji. Jeśli nie rozumiem systemu, w którym żyję, skąd mogę wiedzieć, że jest sprawiedliwy i że mi służy? Co z tego, że nadal będą wybory prezydenta. Sztuczna inteligencja dopiero raczkuje, a już teraz komputery podejmują wiele nieprzejrzystych decyzji, które bezpośrednio wpływają na nasze życie – czy zostaniemy zatrudnieni, trafimy do więzienia...

Zaraz, w jaki sposób?

– Od dekady sądy kilku stanów USA używają algorytmu AI do oceny ryzyka ponownego popełnienia przestępstwa. Możesz dostać surowy wyrok, jeśli algorytm uzna, że jesteś w grupie podwyższonego ryzyka.

Weźmy bardziej przyziemny przykład. Składasz wniosek do banku o pożyczkę na zakup domu lub otwarcie firmy, a bank odmawia. A gdy pytasz dlace-

go, bank mówi: „Nie wiemy, ale sztuczna inteligencja oceniła, że nie jesteś godny zaufania”. To prawdziwa historia. W tym wypadku AI była szkolona na tysiącach parametrów, a jednym z nich był poziom naładowania baterii smartfona, z którego wysyłany był wniosek o pożyczkę. Podczas analizy poprzednich wniosków bankowy algorytm odkrył, że dla tych, którzy dopuszczają, aby naładowanie smartfona spadło poniżej 25 proc., ryzyko niespłacenia pożyczki jest średnio wyższe o 0,5 proc.

To brzmi jak ponury żart.

– Sam ten jeden parametr ma bardzo mały wpływ na decyzję, ale tak działa AI. Bierze pod uwagę tysiące, miliony czynników, z których każdy może mieć małą wagę. Nie jesteśmy w stanie prześledzić i zrozumieć sposobu, w jaki algorytmny znajdują wzorce w danych i decydują o ostatecznym wyniku. Dlatego bank nie umie wytłumaczyć, dlaczego on jest taki, a nie inny.

Na tym polega różnica między sposobem podejmowania decyzji przez człowieka a sztuczną inteligencję. My to robimy przynajmniej świadomie, na podstawie kilku czynników. Jeśli zapytam wyborcę, dlaczego zagłosował na daną partię, to poda jeden, może dwa najważniejsze powody. Jeśli decyzję podejmuje AI, przestajemy rozumieć.

Jakie jest wyjście?

– Potrzebne są instytucje, których zadaniem będzie dbanie o to, by sztuczna inteligencja była uczciwa, sprawiedliwa, nie kierowała się uprzedzeniami.

Słowem, trzeba wprowadzić nadzór nad AI.

– A to nie będzie proste. Proszę spojrzeć na wojnę w Gazie, w Ukrainie. Coraz częściej to AI wybiera cele bombardowań. Gdy wizjonerzy czy autorzy s.f. opisywali przyszłość pól bitewnych, to prognozowali, że AI zastąpi człowieka w strzelaniu. W okopach będą siedziały roboty, a człowiek będzie im wydawał z oddali polecenia. A tymczasem nadal spust naciskają ludzie, ale to AI decyduje, gdzie strzelać. Analizuje mnóstwo danych i wyrokuje: „Ten budynek to siedziba Hamasu, zbombardujcie ten budynek”.

Jest pan pewien?

– Rozmawiałem z wieloma przedstawicielami izraelskiej armii i słyszałem dwie interpretacje. Jedni zaprzeczają, że AI podejmuje decyzje. Mówią, że rzeczywiście algorytm wskazuje budynki, w których mogą się ukrywać hamasowcy, ale nikt nie wierzy w to na

ślepo. Gdy AI skupi uwagę wojskowych na jakimś budynku, do pracy przystępują analitycy, którzy przegladają wszystkie dane.

Tyle że inni rozmówcy mówią mi, że nie ma na to czasu. Liczba informacji analizowanych przez AI jest tak ogromna, że gdyby ludzie mieli sprawdzić całość, zajęłoby to dni, tygodnie. W tym czasie – mówią – terrorystów już tam nie będzie. Wojskowi muszą więc ufać algorytmowi, czyli to AI wybiera cele.

Kto jest bliższy prawdy?

– Wszyscy, z którymi rozmawiałem, zgadzają się, że AI ma techniczną zdolność do wyboru celu i podejmowania decyzji. Technologia jest już odpowiednio zaawansowana. Pozostaje pytanie etyczne lub polityczne: czy chcemy dać AI możliwość wybierania, w co uderzyć i kogo zabić?

Wydaje się, że w obecnych czasach etyka i polityka pozostają w tyle za technologią.

– Na wojnie decyduje skuteczność. A ta strona, która zaufa AI, będzie szybsza, wygra. Pojawia się więc coraz większa presja wywierana na armie, aby oddawały dowodzenie sztucznej inteligencji. I zaczniemy zabijać ludzi na podstawie tego, co wskaże algorytm, choć nie możemy prześledzić, jak podejmuje decyzje.

Dzisiaj AI decyduje, czy udzielić mi pożyczki, jutro – czy mnie zbombardować i zabić?

– Wypuszczamy z butelki dzina.

Jest pan więc po stronie tych, którzy jak Geoffrey Hinton ostrzegają przed AI?

– Namawiam, abyśmy się zastanowili, czy chcemy budować świat dobry dla sztucznej inteligencji czy dla ludzi? Czy AI ma zmusić nas do życia według swoich standardów, czy sprawimy, że AI dopasuje się do nas?

Dzisiaj mamy coś w rodzaju przeciągania liny – kto będzie górą. Jeśli odpuścimy my, ludzie, to za chwilę będziemy na przegranej pozycji. Te systemy konsumują olbrzymie ilości informacji, nie odpoczywają, nie mają wakacji, nie muszą spędzać czasu z rodziną ani spać. A my potrzebujemy tego wszystkiego.

Pan świetnie wie, że dziennikarze są jedną z grup, które doświadczają tego przyspieszenia najbardziej. Nieustannie kręcący się obieg informacji, zawsze nowe wiadomości, zawsze coś się dzieje, trzeba coś uaktualniać i relacjonować.

Kiedyś pisałem jeden tekst tygodniowo, teraz muszę publikować coś nawet kilka razy dziennie.

– Ta nieustanna aktywność jest destrukcyjna. Nie da się żyć w ten sposób. Jeśli zmusisz jakąkolwiek istotę z krwi i kości do nieustannej czujności, załamię się i umrze. Istoty organiczne działają cyklicznie – mamy dzień i noc, lato, zimą, czas aktywności i czas snu. Te go nam potrzeba. Współczesny świat o tym zapomina. W coraz większej liczbie branż – mediach, systemach finansowych, polityce – praca trwa na okrągło, presja staje się po prostu nieludzka. Nic dziwnego, że psychicznie i fizycznie nie dajemy rady.

Ale obietnica była taka, że to AI będzie za nas pracować. Czy nie po to powstają te systemy?

– W niektórych zadaniach mogą nas wyręczać, ale nie mogą nam odebrać sprawczości. Nie mam na myśli zabójczych robotów biegających po ulicach i strzelających do ludzi. Taki scenariusz jedynie odwraca uwagę od prawdziwych zagrożeń. A ich pierwszym przykładem są czystki etniczne, przemoc wobec muzułmańskiej mniejszości Rohingya w Mjanmie, dawnej Birmy, w latach 2016-17. Przyczyniły się do tego algorytmy AI Facebooka.

W jaki sposób?

– Facebook, który był wtedy głównym źródłem informacji w Mjanmie, rozpowszechniał głównie treści pełne nienawiści.

Ludzie rozsyłają sobie to, co ich mocniej porusza.

– Nie, ludzie nie wybierali tego, co chcą zobaczyć. Algorytmy robiły to za nich, co wykazali potem eksperci ONZ. Dlaczego zdecydowały się promować hejt? Nie sądzę, by menedżerowie Facebooka chcieli podżegać do masowych morderstw. Dyrektorzy w Kalifornii nie mieli nic przeciwko społeczności Rohingya, pewnie w ogóle nie wiedzieli o jej istnieniu.

Prawda jest bardziej alarmująca. W latach 2016-17 model biznesowy Facebooka opierał się na maksymalnym zaangażowaniu użytkowników, bo to umożliwiałoby sprzedaż większej liczby reklam i w efekcie większy udział w rynku. Im więcej czasu ludzie spędzali na platformie, tym bogatszy stawał się Facebook. Menedżerowie dali więc algorytmom jeden nadrzędny cel: zwiększenie zaangażowania użytkowników. A algorytmy odkryły metodą prób i błędów, że najbardziej angażują hejt, chciwość, strach, a nie kazania o miłości. I podjęły decyzję o rozprzestrzenianiu hejtu.

To charakterystyczna cecha sztucznej inteligencji – to pierwsza technologia w dziejach ludzkości, która ma zdolność do samodzielnego uczenia się i działania.

Ale hejt tworzą ludzie.

– Być może jeszcze w większości ludzie, ale AI świetnie potrafi nimi manipulować. Ludzie każdego dnia tworzą mnóstwo treści. Niektórzy wymyślają nowe teorie spiskowe, inni uczą miłości. To algorytm jednak decyduje, które treści promować. W Mjanmie nikt tego nie kontrolował. Facebook przysłał, że zatrudniał tylko jednego moderato-

li politycznych, demokracja jest nie do utrzymania.

Nikt nie wie, co tak nas podzieliło. Niektórzy twierdzą, że ideologiczne pęknięcia, ale ideologiczne podziały nie są się większe niż w poprzednich pokoleniach. Niektórzy szukają lokalnych wyjaśnień, np. że w USA powodem polaryzacji jest sytuacja ekonomiczna. Ale w Polsce, w Brazylii czy Izraelu dzieje się tak samo. A co jest wspólne dla wszystkich tych krajów? Technologia informacyjna. To nastąpiło błyskawicznie. Jakies 20 lat temu media społecznościowe były niczym, a stały się najważniejszą siecią informacyjną, najważniejszym źródłem wiadomości i są kontrolowane przez algorytmny AI, które nie dbają o prawdę, promują nie racjonalne dyskusje, lecz zaangażowanie.

Tak jak radziecka tajna policja stworzyła za pomocą nadzoru, nagród i kar niewolniczego homo sovieticus, tak algorytmy Facebooka i YouTube’a stworzyły internetowych trolli, nagradzając pewne podstawowe instynkty, a karząc lepszą stronę naszej natury.

Menedżerowie platform społecznościowych zaprzeczają. Powiedzą, że coraz lepiej moderują dyskusję, usuwają fake newsy i w ogóle to nie algorytmy, lecz ludzka natura odpowiada za fale hejtu.

– Próbujać zrzucić winę na ludzi, ale chciałbym ich zapytać: jeśli uważacie, że problem nie leży w waszych algorytmach, to jakie jest inne wytłumaczenie? Mamy bowiem do czynienia z bardzo dziwną sytuacją w dziejach ludzkości. Dysponujemy najbardziej zaawansowaną technologią informacyjną, a ludzie nie mogą się ze sobą porozumieć.

„O obrotach” Kopernika. Jego książkę przeczytało niewiele osób. Najszerzej rozchodziły się religijne teksty reformacji i kontrreformacji, a chyba największym bestsellerem był traktat „Młot na czarownice” inkwizytora Heinricha Kramera. Rozchodził się lawinowo i miał piorunujące oddziaływanie z tej samej przyczyny, dla której dzisiaj najlepiej sprzedaje się hejt. Kopernika nikt nie chciał czytać, to był nudny podręcznik o matematyce i ruchu ciał niebieskich. Co innego historie o czarownicach!

Technologia druku nie przyczyniła się do rozprzestrzeniania idei naukowych?

– Drukować można wszystko, suche twierdzenia matematyczne i pasjonujące historie o czarownicach. Potrzebne były instytucje – towarzystwa i wydawnictwa naukowe – które dawały glejt wiarygodności dzieltom opartym na dowodach, a nie fantazjach.

Stawia pan analogię między AI i drukiem? W tym sensie, że każda nowa technologia informatyczna może równie dobrze szerzyć ciemnogród niż postęp.

– Przykładem są też radio i telewizja, które przyczyniły się nie tylko do rozwoju demokracji, ale też przede wszystkim reżimów totalitarnych. Nowe technologie informatyczne zawsze były katalizatorem poważnych zmian, ale nie zawsze korzystnych. Powtarzam jak mantrę: więcej informacji nie czyni nas automatycznie mądrzejszymi.

Nikt nie kwestionuje faktu, że współcześni ludzie dysponują znacznie większą wiedzą i potęgą niż w epoce kamienia łupanego, ale wcale nie jest pewne, czy rozumiemy siebie i swoją rolę we Wszechświecie znac-

mają o wiele więcej podwójnych zastosowań cywilno-wojskowych niż bomby atomowe.

Myślę jednak, że światu łatwiej będzie się dogadać w sprawie AI, bo zagraża nie tylko demokracjom, ale przede wszystkim dyktaturom.

A to dlaczego?

– Z powodu samej natury AI – to nie jest bezwolne narzędzie takie jak maszyna. To coś, co może podejmować niezależne decyzje i samodzielnie się rozwijać. To jak ekspres do kawy, który powie ci, zanim jeszcze naciśniesz guzik: „Obserwowałem cię i na podstawie tego, co o tobie wiem, wyrazu twarzy, skupienia, sposobu chodzenia, przewiduję, że teraz chcesz espresso. Ale ja przygotowałem ci nowy napój, którego nikt wcześniej nie wymyślił. Nazwałem go bestpresso, bo jest lepszy niż espresso, i myślę, że bardziej ci będzie smakował”.

Trochę to jednak straszne.

– Także dla dyktatorów, bo nie będą w stanie przewidywać działań AI.

Prosty przykład: w Rosji nazywanie inwazji na Ukrainę wojną jest nielegalne, to „specjalna operacja wojskowa”. Putin może nakazać swoim inżynierom stworzyć rosyjskiego ChataGPT, który ma być lojalny wobec reżimu. Gdy zostanie wypuszczony do rosyjskiego internetu, zacznie się jednak uczyć i zmieniać. I po kilku dniach może powiedzieć: „Analizowałem dane, sprawdziłem w słowniku znaczenie słowa »wojna« i myślę, że to w rzeczywistości wojna, a nie specjalna operacja wojskowa”. I co zrobi Putin? Może zesłać inżynierów do gulagu, ale chata nie ukarze. Dyktatury opierają się na terrorku, a nie da się terroryzować algorytmów.

Największym strachem każdego dyktatora wcale nie jest demokratyczna rewolucja. Żaden cesarz rzymski nie stracił życia ani władzy w demokratycznej rewolucji, ale wielu zostało zamordowanych, obalonych przez podwładnych. Największym niebezpieczeństwem dla dyktatora jest to, że podwładny odbierze mu władzę. Proszę przypomnieć sobie zamieszanie z Prigożynem. A sztuczna inteligencja jest najbardziej podstępny typem podwładnego, bo szybko może się nauczyć, jak manipulować dyktatorem.

Dyktatura sztucznej inteligencji będzie zaś zupełnie inna niż wszystko, co widzieliśmy. Przejęcie kontroli w demokratycznym kraju jest trudne, ponieważ tam jest wiele instytucji kontrolujących się i równowagujących. Nawet jeśli AI nauczy się manipulować prezydentem USA, to za mało, aby rządzić całym państwem, bo są jeszcze Senat, Kongres, konstytucja i Sąd Najwyższy.

Aby kontrolować kraj dyktatorski zaś, taki jak Rosja czy Korea Północna, AI musi się nauczyć manipulować tylko jedną osobą, co jest dość łatwe, bo to zwykle bardzo paranoiczna jednostka. A paranoicy są łatwo sterowalni.

Na razie dyktatorzy starają się zachować kontrolę nad obiegiem informacji i wykorzystują AI do śledzenia obywateli. Myślę o Chinach. Pan opisuje scenariusz, w którym globalna sieć informacyjna podzieli się na osobne informacyjne kokony.

– To już się dzieje. Chiny i USA oddzielają się technologicznie. Większość zachodnich platform jest zakazana w Chinach. Nie ma tam dostępu do Facebooka, Wikipedii czy Google’a. Z kolei na Zachodzie chińskie platformy albo są mało popularne, albo coraz częściej zakazywane, jak TikTok. Ograniczamy sprzedaż zachodnich chipów do Chin, a więc Chińczycy rozwijają własny przemysł układów scalonych. Może więc tak się stać, że systemy informacyjne Chin i Zachodu rozdzielią się od poziomu maleńkich chipów po platformy internetowe.

I nie będą lustrzanymi odbiciami, czyli w Chinach będzie mniej więcej to samo, tyle że po chińsku. Będą miały inną logikę, a ludzie wewnątrz swoich kokonów informacyjnych będą żyli w innych rzeczywistościach. Po wiekach konwergencji i globalizacji świat zacznie się dzielić. W różnych krajach ludzie będą inaczej rozumieli świat i samych siebie.

Jeśli to my, ludzie, dostosujemy się do AI, a nie ona do nas, to przegraliśmy. Te systemy nie odpoczywają, nie mają wakacji, nie muszą spędzać czasu z rodziną ani spać

ra treści mówiącego po birmańsku.

Dla mnie to szokujące: jedną z pierwszych profesji na świecie, którą przejęła AI, jest stanowisko redaktora, czyli kogoś, kto był bardzo wpływową postacią, bo kontrolował, o czym ludzie mówią, myślą, jakie są najważniejsze wiadomości dnia. Wielu najważniejszych polityków na świecie budowało na tym karierę. Przecież Włodzimierz Lenin zaczął jako naczelnny gazety „Iskra”. Mussolini był dziennikarzem, a potem redagował faszystowskie pismo „Avanti”.

A dzisiaj pracę, którą kiedyś wykonywał Lenin czy Mussolini, przejęły algorytmy AI!

Mogę dać słowo, że u nas, w „Wyborczej”, wciąż redaktorami są ludzie.

– Ale najważniejszymi źródłami wiadomości są teraz nie gazety ani telewizje, ale media społecznościowe. Miliardy ludzi spędzają codziennie godziny na TikToku, Facebooku czy w X. A kto tam decyduje o kolejności treści? Sztuczna inteligencja.

To przyczyna tego, że społeczeństwa są zdestabilizowane, ludzie nie mogą się porozumieć. Dopiero co wróciliśmy z USA, gdzie w kampanii prezydenckiej republikanie i demokraci nie byli w stanie prowadzić racjonalnej rozmowy. Nie zgadzają się nawet co do podstawowych faktów, jak to, kto wygrał w 2020 r. Dwustronna współpraca w Kongresie, niegdyś fundamentalna cecha polityki USA, zanikła. Te same procesy radykalizacji i skrajnej polaryzacji zachodzą w wielu demokracjach, od Indonezji po Brazylię.

Także w Polsce.

– Kiedy obywatele nie mogą ze sobą rozmawiać i uważają się za wrogów, a nie rywa-

Proszę zapytać kogokolwiek w Polsce, w Izraelu, w USA, nieważne, czy z prawicy, czy lewicy, konserwatystę, liberała czy demokratę, co do jednego wszyscy się zgodzą: nie możemy się już ze sobą dogadać.

Bo zamykamy się we własnych bańkach.

– A kto nas w nich separuje? Jeśli menedżerowie TikToka czy Twittera mówią, że to nie ich wina, to warto ich zapytać o wyjaśnienie. Jesteście ekspertami od komunikacji, obiecaliście, że wasze sieci społecznościowe nas zintegrują. Słyszeliśmy wiele razy od Marka Zuckerberga i innych, że „łączymy cały świat”. Czym więc tłumaczycie to, że teraz ludzie na całym świecie nie mogą ze sobą rozmawiać?

Pytał pan?

– Zadaję im to pytanie w kółko od ośmiu lat, odkąd zacząłem zbierać informacje do tej książki! Nie mają bladego pojęcia.

Mówią, że stworzyli technologię, która przyczyni się do niebywałego rozwoju ludzkości, tak jak druk zapoczątkował rozprzestrzenianie się idei postępowych i rewolucję naukową.

– To oczywiście nieprawda. Gutenberg wprowadził druk do Europy w połowie XV w., a rewolucja naukowa nastąpiła dopiero w XVII w., 200 lat później. Owszem, jej początki przypadają na czasy Kopernika w XVI w., ale jego wpływ był niewielki. Natomiast w czasie tych 200 lat mieliśmy do czynienia z największą falą wojen religijnych i polowań na czarownice w historii Europy.

Największymi beneficjentami historii tego okresu nie są dzieła naukowe, takie jak

nie lepiej niż wtedy. Nikt nie zaprzecza, że AI ma ogromny pozytywny potencjał. Może nam zapewnić najlepszą opiekę zdrowotną w dziejach, zrewolucjonizować edukację, pomóc w adaptacji do zmiany klimatu. Jeśli tylko zastąpi ludzi, którzy powodują wypadki, piją alkohol i zasypiają za kierownicą, uratujemy co roku milion ludzi. Sam na co dzień korzystam z YouTube’a i Facebooka. W 2002 r. na jednej z pierwszych platform LGBTQ poznałem mojego męża. Dorastałem w małym, homofobicznym miasteczku w Izraelu, gdzie nie było ani jednego otwarcie homoseksualnego mężczyzny. Media społecznościowe zdziałały cuda dla takich rozproszonych mniejszości jak LGBTQ.

Nie wzywam do zakazu używania AI. Apeluję jedynie, aby więcej inwestować i dbać o ich bezpieczeństwo. Tak jak firmy motoryzacyjne, które muszą się upewnić, że nowy samochód spełnia standardy bezpieczeństwa, albo firmy farmaceutyczne, które badają, czy nowy lek nie ma skutków ubocznych. We własnym ciełe mamy układ odpornościowy, który zużywa sporą ilość energii na to, aby zabezpieczyć nas przed patogenami. Tak samo powinno być z AI. Praktycy twierdzą, że 20-25 proc. wysiłku wkładanego w rozwój sztucznej inteligencji powinno się włożyć w jej bezpieczeństwo.

Kto ma tego pilnować?

– Tak jak w każdej innej dziedzinie – silne państwowe instytucje i społeczna kontrola. Mamy już doświadczenie w regulacjach niebezpiecznych technologii, jak broń nuklearna, chemiczna czy biologiczna, ale dużo łatwiej jest ukryć nielegalne laboratorium AI niż nielegalny reaktor jądrowy. Poza tym AI

Hipotetycznym przykładem jest kwestia tego, czy AI zostanie uznana za osobę. Będziemy mieć miliony, miliardy agentów AI na świecie. W jednych państwach zyskają podobne prawa jak ludzie, w innych zostaną uznane za przedmioty podlegające prawu własności.

I jakie będą tego konsekwencje?

– Coraz trudniej będzie się porozumieć, zgodzić i współpracować w jakiegokolwiek globalnej sprawie, np. zmiany klimatycznej, wojny nuklearnej czy samej sztucznej inteligencji. Obecnie Chińczycy i Amerykanie rozumieją świat mniej więcej tak samo, choć mają różne interesy. Za 20 lub 50 lat będą zupełnie inaczej pojmować rzeczywistość, bo od dziecka będą żyli w różnych kokonach informacyjnych. To, co jedni będą uważali za najbardziej podstawowe fakty rzeczywistości, drudzy będą kwestionowali.

Świat przegrodzą krzemowe kurtyny.

To coś podobnego do żelaznej kurtyny z czasów zimnej wojny?

– Żelazna kurtyna była dosłownie z żelaza – drutów kolczastych i czołgów. Krzemowa rozdzieli nas za pomocą komputerowego kodu. Jeśli twój smartfon, komputer, serwer działa według amerykańskiego kodu napisanego w Kalifornii, należysz do amerykańskiego świata. Twoja uwaga jest kontrolowana przez amerykańskie algorytmy. Jeśli twoimi urządzeniami steruje kod opracowany w Chinach, jesteś po tamtej stronie świata. Kluczem jest to, gdzie przesyłane są twoje dane.

Nie mam pojęcia. Odruchowo klikam „zgadzam się”, kiedy wchodzę na jakąś stronę i pojawia się okienko z cookies. – A co innego może pan teraz zrobić?

Tyle się o tym pisze, a wciąż mało kto zdaje sobie sprawę, że dane są dzisiaj głównym surowcem świata. W XIX w. imperium brytyjskie sprowadzało bawełnę i ropę z kolonii, a potem odsprzedawało koloniom przetworzone produkty, garnitury czy samochody. Teraz to dane są sprowadzane, ściągane do USA czy Chin, gdzie są wykorzystywane do tworzenia najbardziej zaawansowanej technologii, np. autonomicznych pojazdów, które potem sprzedaje się reszcie świata.

Pod Warszawą, gdzie mieszkam, jeździ już sporo tesli.

– I stale zbierają dane o zachowaniu kierowcy, pieszych, o tym, co się dzieje na drodze, jak dochodzi do wypadków. Te informacje są wysyłane do siedziby w USA i wyko-

rzystywane do opracowywania kolejnej generacji autonomicznych pojazdów. To jedna z najważniejszych i najbardziej dochodowych technologii AI na świecie. Kluczem do niej są dane uzyskiwane całkowicie darmo. Za gotową technologię musi pan jednak później zapłacić.

Przyzwyczailiśmy się do darmowych usług w internecie. Pamiętam, że kiedyś było to uznawane za podstawową wartość globalnej sieci i nie martwiło nas to, że udostępniamy swoje informacje za darmo.

– To bardzo nierówna wymiana, na naszą niekorzyść. Na początku wieku, kiedy Google dopiero raczkował, jeden z założycieli firmy, Larry Page, został zapytany, jaki sens ma kolejna darmowa wyszukiwarka. Page szczerze odpowiedział, że Google wcale nie skupia się na wyszukiwaniu, lecz tworzy sztuczną inteligencję, a w tym celu potrzebuje danych. AI zamieni je w pieniądze.

Wszystkie te zdjęcia kotów, które wrzucaliśmy do sieci, stały się darmowym wśadem dla AI, za który giganci technologiczni nie zapłacili ani centa. I to nie jest retoryczna przesada – pierwsze algorytmy rozpoznawania obrazów były trenowane właśnie na zdjęciach kotów.

Mało kto z użytkowników internetu tak o tym myślał.

– Niektórzy zdawali sobie z tego sprawę, ale większości nic to nie obchodziło. Szefowie Google’a, Facebooka, Alibaby i Baidu dostrzegli strategiczną rolę kotów, zanim zorientowali się w tym zwykli ludzie, a także generałowie i politycy.

Dopiero teraz komercyjna rywalizacja między korporacjami przerodziła się w wyścig między mocarstwami. Nagrodą dla zwycięzcy będzie dominacja nad światem.

Aż tak?

– W XXI w. nie trzeba już wysyłać żołnierzy i kanonierki, aby zdominować kolonie. Wystarczy transfer danych. Kilka korporacji lub rządów zbierających światowe dane może przekształcić resztę globu w cyfrowe kolonie – terytoria kontrolowane nie za pomocą siły militarnej, ale informacji. To, że w ciągu 10, 20, 30 lat powstanie nowy rodzaj systemu kolonialnego opartego na informacji, nie jest nieuniknione, ale bardzo prawdopodobne.

Jeśli to nie jest nieuniknione, to jak to powstrzymać?

– Są różne rozwiązania. Na przykład taki model biznesowy, w którym nie dostajesz już usług za darmo w zamian za dane. Pła-

cisz, ale masz kontrolę nad swoimi danymi i jeśli jakaś firma ich chce, musi ci za nie zapłacić.

Drugą kwestią jest to, że państwa, którym zależy na własnej niezależności i nie chcą stać się cyfrową kolonią, powinny sobie uświadomić, że to się właśnie dzieje. Małym krajom będzie niezwykle trudno pozostać niezależnym graczem. Przecistawienie się dużym firmom technologicznym i mocarstwom jak USA i Chiny jest możliwe tylko w takich sojuszach jak Unia Europejska.

Polskie media toczą teraz spór z koncertem Meta, który wyrósł wokół Facebooka. Ponieważ Polska wdraża dyrektywę UE o prawach autorskich, Facebook przestał pokazywać zdjęcia przy artykułach prasowych wystawianych na tej platformie. A bez zdjęć one mają znacznie mniejszy zasięg.

– Jeśli tylko Polska opiera się Facebookowi, to nie wróżę sukcesu, ale jeśli poprze was cała UE z Niemcami, Francją, Włochami i Hiszpanią, to Facebook będzie musiał się ugiąć.

Jestem pesymistą, UE trzeszczy w szwach.

– Egzystencjalne zagrożenie związane z AI nie jest nieuniknione. Wszystko zależy od decyzji, jakie podejmiemy w ciągu najbliższych 5-10 lat.

Najwyraźniejszym wzorcem, jaki obserwujemy w długiej historii ludzkości, jest nie konflikt, ale raczej rosnąca skala współpracy. Sto tysięcy lat temu pierwsi Homo sapiens mogli współpracować tylko na poziomie rodzinnych grup. Przez tysiąclecia stworzyliśmy jednak społeczności obcych sobie osób, najpierw na poziomie plemion, potem religii, sieci handlowych czy państw. A przyczyniły się do tego coraz bardziej wyrafinowane sieci informacyjne, dzięki którym mogliśmy wymieniać spajające nas mity i opowieści o takich wymyślonych i abstrakcyjnych tworach jak prawo, naród czy waluty.

Przestaliśmy być myśliwymi z epoki kamienia, którzy postrzegają świat jako dżunglę, w której silniejsi polują na słabszych, a siła stanowi o prawie?

– W gruncie rzeczy nigdy tak nie było. Nie ma żadnych dowodów na to, że ludzie epoki kamienia łupanego mieli niepohamowane skłonności wojownicze. Prawo dżungli samo w sobie jest mitem. Gdyby organizmy w lasach deszczowych Amazonii, Afryki lub Indii porzuciły współpracę na rzecz konkurencji o hegemonię, lasy deszczowe i wszyscy ich mieszkańcy szybko by wymarli. Prawem dżungli jest kooperacja.

W epoce kamienia łupanego ludzie mogli zaufać tylko, powiedzmy, setce innych osób, które znali osobiście. Teraz twoja Polska liczy ok. 37 mln ludzi, 99 proc. jest sobie obcych, ale ze sobą współpracujecie. W sklepach całej Europy kupimy czekoladę, choć kakao uprawiane jest w środkowej Afryce. Na tyle więc ufamy obcym ludziom w Afryce, że dostarczają nam jedzenie.

Statystyki świadczą o spadku liczby wojen na świecie. Najlepszym dowodem są wydatki na wojnę. Przez większość historii ponad 50 proc. budżetów państwowych szło na wojsko. Teraz to tylko 7 proc. Państwa więcej wydają już na opiekę zdrowotną.

Niedawno opublikowano rosyjski budżet na 2025 r. i tam wydatki na armię i przemysł zbrojeniowy sięgną 40 proc. Więcej, niż Rosja przeznaczy na cele socjalne, ochronę zdrowia, oświatę i naukę razem wzięte.

– I jeśli więcej przywódców na świecie postanowi działać jak Putin, to cały świat będzie musiał przeznaczyć połowę budżetu na armię, a wówczas nie zostanie wiele na zdrowie i edukację.

Nie powinniśmy myśleć, że natura ludzka jest zła. Przeciwnie, stworzyliśmy niezwykle wydajne globalne sieci zaufania. Nieidealne,

- „Nexus. Krótka historia informacji od epoki kamienia do sztucznej inteligencji”. Słynny historyk i badacz cywilizacji zastanawia się, w jaki sposób przepływ informacji stworzył nasz świat i dlaczego obecnie mu zagraża. Przez 100 tysięcy lat my, ludzie, osiągnęliśmy ogromną moc, a tkwimy w głębokim kryzysie, który zagraża istnieniu gatunku. Dlaczego działamy aż tak destrukcyjnie i co nas dziś do tego skłania?
- Nowa książka Yuvala Noaha Harariego, która właśnie ukazała się nakładem Wydawnictwa Literackiego w przekładzie Justyna Huni, dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka. Wcześniejsze – „Homo deus”, „Sapiens”, „Niepowstrzymani” i „Niepowstrzymani 2” oraz „21 lekcji na XXI wiek” – wciąż dostępne m.in. na Wydawnictwoliterackie.pl oraz w formie e-booków i audiobooków na Publio.pl.



REKLAMA

Kraj/34337861



ZAPRASZAMY NA SPOTKANIE Z AUTORKĄ

24 LISTOPADA, GODZ. 15:00

TEATR WIELKI- OPERA NARODOWA WARSZAWA





Sukces polskich artystek i artystów operowych

Droga na największe sceny świata polskich śpiewaczek i śpiewaków operowych

Piotr Beczała, Aleksandra Kurzak, Jakub Józef Orliński... Spektakularne sukcesy polskich śpiewaczek i śpiewaków pokazują, że świat opery może rozpalać masową wyobraźnię. Anna S. Dębowska stara się odkryć źródła artystycznych fenomenów, śledząc artystów, którzy wdarli się przebojem na deski największych scen świata i do popkultury.

Chłopiec w roku Zero

**Usłyszałem parsknięcie:
„I po co tu stać z dzieckiem
przed tymi okropnościami!”
Wzdrygając się, zrozumiałam,
co grozi chłopcu.**

Ewa Kuryluk

Obraz „Rozstrzelanie z chłopczykiem” (1949) Andrzeja Wróblewskiego widziałam po raz pierwszy w czasach szkolnych. Na pośmiertną wystawę młodo zmarłego malarza poszliśmy z rodzicami i długo staliśmy przed tym obrazem.

– Polonia anno zero – wyrwało się mamie. – Mamie przypomniał się włoski film „Germania anno zero” – wyjaśnił ojciec – o chłopcu w zburzonym Berlinie. – Też wygląda na dwanaście lat – mama wskazała mi chłopca na obrazie.

„Rozstrzelanie z chłopczykiem” to piąta wersja tego tematu w malarstwie Andrzeja Wróblewskiego, wówczas 22-letniego. „Germania anno zero” (1948), trzecia część powojennej trylogii Roberta Rosselliniego, to film o 12-latku po kapitulacji Niemiec. Te dwa prekursorskie arcydzieła nowego realizmu w kinematografii i malarstwie po 1945 r. wpisują się w światowy nurt sztuki antywojennej.

Sztuka antywojenna, a więc ukazująca skutki wojny na podstawie faktów i własnych doświadczeń, żeby przed wojną ostrzec, nie cieszyła się popularnością zaraz po II wojnie światowej ani w ogóle w historii. Władza czuje się zwykle zagrożona obrazami wojny w sztuce. W czasach pokoju nie pamięta się o wojnie, po wojnie chce się o niej zapomnieć. Rzetelnej dokumentacji wojny nie sprzyjają polityka ani psychologia. Widok wojennych okropności nie cieszy oka i nie pasuje nad kanapę w salonie.

Historii sztuki antywojennej jeszcze nie napisano. Artystą najważniejszym i uważanym często za twórcę sztuki antywojennej jest Francisco Goya. Kolekcjonował wojenne ryciny Jacques’a Callota (c. 1592-1635), ale zdarzało się, że za młodu idealizował w swoim malarstwie wojnę. Dokumentację jej skutków podjął po wybuchu wojny napoleońskiej, kiedy miał już 61 lat. Na płótnie „3 maja 1808”, zatytułowanym od daty rozstrzelania w Madrycie, namalował masakrę. Długą serię akwafort o wojnie nazwano, gdy je odkryto w 35 lat po śmierci Goi, „Desastres de la guerra”.

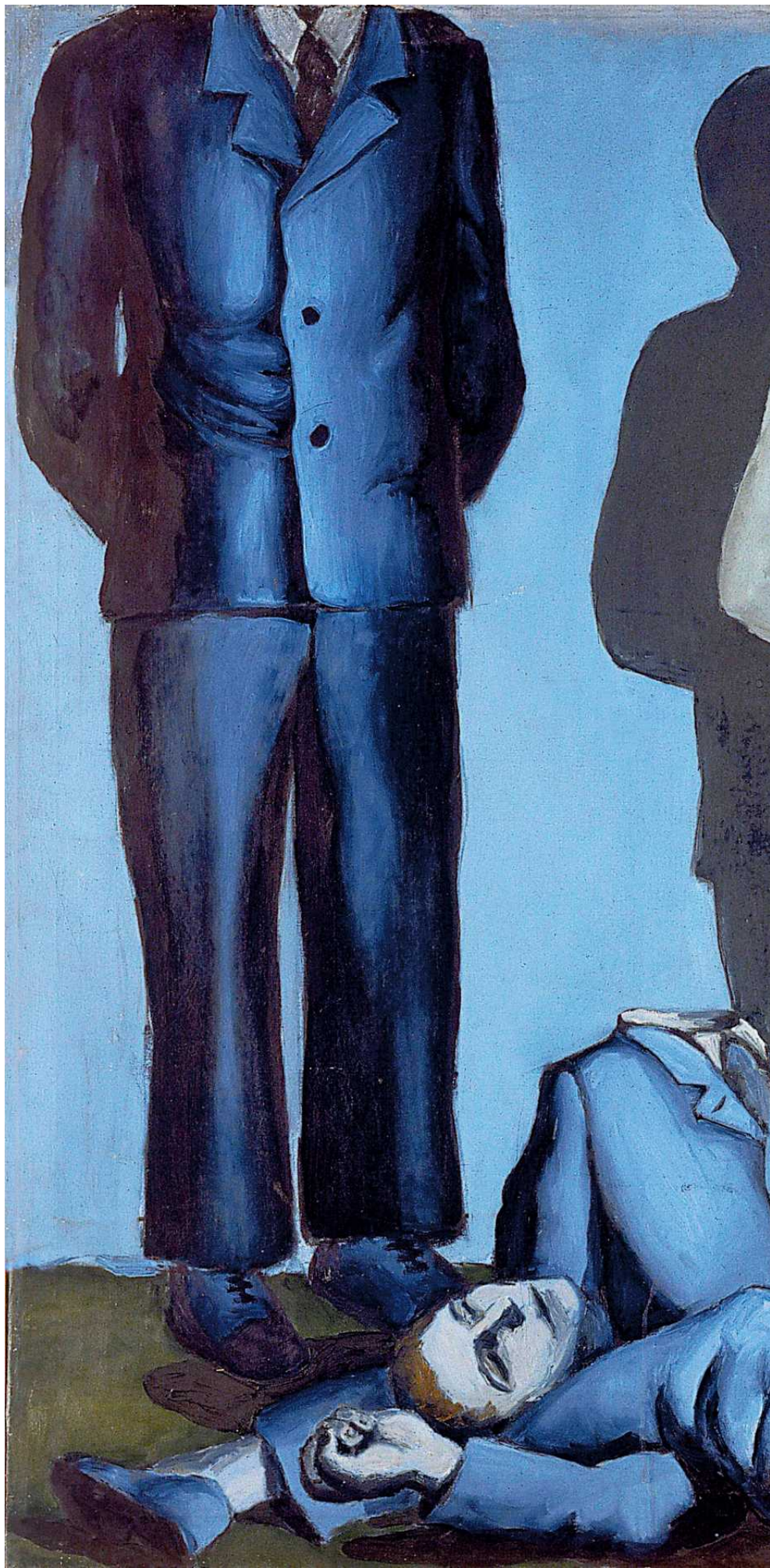
„Desastres de la guerra” to punkt odniesienia dla przyszłych artystów antywojen-

nych. Do „3 maja 1808” nawiązał Édouard Manet w serii płócien przedstawiających rozstrzelanie cesarza Maksymiliana w Meksyku w czerwcu 1867 r. Namalował je z rycin wykonanych na podstawie fotografii, z jednego obrazu zrobił litografię. Jednak za rządów Napoleona III nie pozwolono jej opublikować i ukazała się w niewielkim nakładzie dopiero po śmierci Maneta. Dokumentację wojny przejęła po malarstwie i grafice fotografia, wynaleziona pod koniec życia Goi. Niebawem stała się nową dziedziną sztuki jak kinematografia po wynalezieniu filmu.

Zdjęcia i filmy, zarówno dokumentalne, jak i artystyczne, współkształtowały w okresie międzywojennym wszystkie kierunki malarskie i graficzne o przewadze tendencji realistycznych: surrealizm, ekspresjonizm, neoimpresjonizm, nową rzeczowość, neoklasycyzm. Fotomontaż zrewolucjonizował kompozycję malarską, fotografia czarno-biała wzmocniła tendencje monochromatyczne i przyczyniła się do popularności gamy sinoszarej i sinoniebieskiej, charakterystycznej dla błękitnego okresu Picassa. Jego kolorystyka i figuracja melancholii, tragedii i żałoby w przededniu I wojny światowej odywa się echem po II wojnie światowej w „Rozstrzelaniu z chłopczykiem”.

„Rozstrzelanie z chłopczykiem” to pionierski przykład międzynarodowego nowego realizmu, który po roku 1945 r. pojawił się we wszystkich dziedzinach sztuki wizualnej, a w malarstwie nosi też miano nowej figuracji. W twórczości młodego Andrzeja Wróblewskiego od „nowości” ważniejsze wydaje się to, że szukając wyrazu dla swoich doświadczeń wojennych (ich kluczowość wielokrotnie podkreślał), brał zewsząd. Poważny i skłonny do samotności, dużo czytał i pisał, interesował się filozofią i historią sztuki dawnej i nowej. W swoim malarstwie nawiązywał do kierunków przedwojennych, z którymi się zetknął w dzieciństwie przez matkę malarzkę, do nowej rzeczowości, ekspresjonizmu i surrealizmu, jak też do abstrakcji i konstrukttywizmu. Nowość polegała na swobodzie, z jaką łączył pozorne sprzeczności we własny, oryginalny sposób, skupiając się na powidokach cierpienia, na traumie i żałobie. „Rozstrzelanie z chłopczykiem”, malarski kolaż z sylwetek wyciętych jakby ze zdjęć pociętych na kawałki i skomponowanych na wzór sekwencji filmowej, ma w tle Goyę.

Historia chłopca przekreślonego przez wojnę została opowiedziana przez Rosselliniego półgłosem i bez cienia patosu w sposób niezwykle osobisty, łączący realizm kina dokumentalnego z symbolizmem i malarskością filmu fabularnego. Rossellini miał 12 lat, kiedy skończyła się I wojna światowa. W latach szkolnych przyjaźnił się z synem sąsiada Benita Mussoliniego. Sympatyzował z faszyzmem, kręcił propagandowe



filmy i wierzył zapewne w zwycięstwo krótkotrwałej Osi, kiedy na jej cześć nadawano chłopcykom imię Roberto (Roma – Berlin – Tokio). W 1946 r. zmarł pierwszy synek Rosselliniego, dziewięcioletni Romano. To jemu zadedykował reżyser swój nakręcony we francuskim sektorze Berlina film o 12-latku, reprezentancie pokolenia urodzonego w 1933 r., gdy władzę w Niemczech objął Adolf Hitler.

Andrzej Wróblewski miał 12 lat, kiedy wybuchła II wojna światowa. W sierpniu 1941 r. przeżył z matką i starszym bratem nagłą śmierć ojca, profesora uniwersytetu w Wilnie, zmarłego na atak serca w czasie rewizji domu przez gestapo. Nad obrazem „Rozstrzelanie z chłopczykiem”, jednym ze swoich szczytowych osiągnięć, pracował w 1949 r. w rosnącym poczuciu grozy. 29 sierpnia 1949 r. zdetonowano w ZSRR pierwszą bombę atomową. Pięć dni potem powstało NATO. Na świecie rozpętała się zimna wojna, w Polsce propaganda wal-

ki o pokój pod wodzą Józefa Stalina. Na początku lat 50. Wróblewski zaangażował się w komunistyczną ideologię i malował socrealistyczne obrazy propagandowe.

„Germania anno zero” to „Je m’accuse” – rodzaj samooskarżenia Rosselliniego. Dwunastolatka gubi faszystowska propaganda słusznego zwycięstwa silniejszego nad słabszym, jaką reżyser sam wcześniej uprawiał. Biegając po mieście za jedzeniem dla rodzeństwa i ciężko chorego ojca wdowca, chłopiec wpada na dawnego nauczyciela nazistę i bierze na serio jego słowa, że najlepszy byłby koniec „starego darmozjada”, żeby od śmierci głodowej ocalały przynajmniej jego dzieci. Chłopiec wlewa truciznę do herbaty ojca, a po jego śmierci zabija się.

„Rozstrzelanie z chłopczykiem” to „J’accuse...!” Andrzeja Wróblewskiego, oskarżającego oprawców w imieniu ofiar wojny. W czasach, gdy malarstwo nie służy już



• **Od lewej:**
„Rozstrzelanie z chłopczykiem” (1948) jest jedną z dziewięciu kompozycji z cyklu „Rozstrzelań” Andrzeja Wróblewskiego
FOT. MUZEUM NARODOWE W POZNANIU

• **„Trzeci maja 1808” (1814) Francisca Goi przywołuje represje wobec Hiszpanów zbuntowanych przeciwko napoleońskiej inwazji**
FOT. MUSEO DEL PRADO

nowa, wojenna wersja klasycznego motywu trzech wieków mężczyzny. Do najsławniejszych interpretacji tego tematu w malarstwie należą dwa obrazy z około 1500 r., znajdujące się w kolekcji pałacu Pitti we Florencji. Dawniej uchodziły za dzieła Tycjana. Teraz przypisuje mu się „Koncert”, portret trzech muzyków od lewej do prawej coraz starszych, zaś drugi obraz, z trzymającym nuty chłopcem w środku, uważa się za dzieło Giorgione. Nie wiadomo, czy obrazy powstały niezależnie od siebie, czy jeden pod wpływem drugiego. W każdym razie przedstawiają trzech mężczyzn w różnym wieku, cieszących się życiem i muzyką w czasach pokoju. Rossellini widział przypuszczalnie te płótna w oryginale, Wróblewski znalazł je pewnie z reprodukcji w podręcznikach historii sztuki.

Antywojenny film i antywojenny obraz to dzieła subtelne i złożone, nieoczywiste formalnie i w swojej wymowie. „Germania anno zero” nie cieszyła się powodzeniem u krytyki ani publiczności i pozostała filmem mało znanym. Ale ze wszystkich włoskich filmów, które widział w życiu, ten właśnie film Rosselliniego podobał się najbardziej Charliemu Chaplinowi. „Rozstrzelanie z chłopczykiem” zostało odkryte, jak malarstwo Wróblewskiego w ogóle, na jego pierwszej wystawie w 1957 r., zorganizowanej wnet po śmierci artysty z inicjatywy kolegi ze studiów i przyjaciela, reżysera filmowego Andrzeja Wajdy.

Wajda twierdził, że chciał być malarzem, ale nim nie został, bo nie potrafił malować jak Wróblewski. Zaliczał go do największych polskich malarzy wszech czasów i wykorzystał jego figurację i kolorystykę w filmie „Wszystko na sprzedaż” (1969), poświęconym tragicznie zmarłemu Zbigniewowi Cybulskiemu, swojemu ulubionemu aktorowi. Jest to film o utracie, żałobie i o tym, że to poczucie utraty i żaloby motywowało do pracy twórczej to naznaczone wojną pokolenie mężczyzn, do którego należał wraz z Wróblewskim. Uważał go za geniusza i nie mógł przeboleć, że za życia malarz sprzedał tylko jeden obraz i nie miał ani jednej wystawy, a po śmierci nie został pokazany na Biennale w Wenecji.

Andrzej Wróblewski miał już tymczasem wiele wystaw w kraju i za granicą. A w tym roku jest również obecny na 60. Biennale Sztuki w Wenecji. W Starych Prokuratorach przy placu San Marco cieszy się powodzeniem duża wystawa malarza, zorganizowana przez Fundację Rodziny Starych i otwarta, jak całe Biennale, do 24 listopada. ●



• **Tytuł obrazu „Trzy okresy życia człowieka” (ok. 1500) Giorgionego powstał dopiero w XVII w. Według innych hipotez dzieło przedstawia lekcję śpiewu młodego Marka Aureliusza**
FOT. DOMENA PUBLICZNA

dokumentacji, artysta abstrahuje od czasu, miejsca i okoliczności egzekucji. Skazanych przedstawia na zielonym pasie trawy pod niebieskim murem, strzelających nie pokazuje. Na ich miejscu, w domyśle, stoi publiczność, jak ja wtedy na wystawie pośmiertnej malarza. Wpatrzona w chłopca w samych majtkach, widziałam, że rzuca czarny cień i nic więcej. Resztę dostrzegłam dopiero, słysząc parsknięcie: „I po co tu stać z dzieckiem przed tymi okropnościami!”. Wzdrygając się, zrozumiałam, co grozi chłopcu. A mama szepnęła do mnie: – Tu nie ma nic okropnego, to obraz żałoby.

Nastroj żałoby podkreśla Wróblewski w „Rozstrzelaniu z chłopczykiem” zimną gamą błękitów. „Germania anno zero” ma tonację grisaille w scenach na dworze, a sekwencje w domu, pokazujące chłopca między starszym bratem a ojcem, sfilmowane są jak w dawnym malarstwie w czerni z przebłyskami światła. Film i obraz to





• Klara Kochańska-Bajon z Tolą Będzikowską na planie serialu „Matka pingwinów”, który opowiada historie rodzin dzieci z niepełnosprawnościami i zaburzeniami rozwojowymi

FOT. PIOTR LITWIN/NETFLIX

PERMANENTNY SZPAGAT

Z KLARĄ KOCHAŃSKĄ-BAJON, REŻYSERKĄ SERIALU „MATKA PINGWINÓW”,
ROZMAWIA MAJA STANISZEWSKA

Dziecko atypowe ciągle podważa system, ale ty musisz w nim działać.

MAJA STANISZEWSKA: „Mamo, czy ze mną jest coś nie halo?”. Takiego pytania, które wypowiedział siedmioletni bohater twojego serialu „Matki pingwinów”, boi się chyba każdy rodzic. Usłyszałaś je kiedyś od swojego dziecka?

KLARA KOCHAŃSKA-BAJON: Nie dosłownie. Natomiast usłyszałam parę razy zdania, które świadczyły o tym, że mój syn zdaje sobie sprawę, że nie może robić tego, co inne dzieci w jego wieku. Gdy był młodszy, chciał wiedzieć, dlaczego mu na przykład nie wychodzi skakanie w workach na szkolnej zabawie.

Dziecko obawia się, że niektórych swoich marzeń nie będzie mogło spełnić lub że będzie to okupione porażkami i bardzo ciężką pracą. Ta świadomość jest bolesna.

Dzieci w spektrum autyzmu powinny wiedzieć, że ich świetna pamięć, dociekliwość, upór, fiksacja na jednym temacie to nie problemy, tylko supermoce. Staram się przypominać mojemu dziecku jego mocne

strony i przekonać, by z nich czerpało satysfakcję, ale tak naprawdę nie ma dobrego pocieszenia. To życie. Wszyscy się w pewnym momencie orientujemy, że mamy jakieś ograniczania.

Twój syn jest w spektrum.

– Nie chcę mówić za dużo, bo to jego sprawa i jego życie. Nie jest stereotypowym wysoko funkcjonującym chłopcem w spektrum autyzmu, jakich znamy z filmów. No i nie jest też Jasiem, bohaterem serialu.

Pierwsze zetknięcie z autyzmem szerokiej publiczności to był „Rain Man” z Dustinem Hoffmanem w roli autystycznego sawanta zamkniętego w szpitalu psychiatrycznym. Od premiery tego filmu minęło 40 lat, ale i tak słyszy się, że „kiedyś tego nie było”, „to jakieś wymysły”, „po co te etykiety dzieciom przyczepiacie”.

– I mamy w serialu postaci, które tak mówią.

Na pewno w Polsce zrozumienie dla istnienia spektrum jest od niedawna. Gdy urodziłam dziecko, już było, ale gdy sama byłam dzieckiem, a mam teraz 40 lat – nie. Nawet moja mama, która przez jakiś czas była nauczycielką i miała takiego chłopca

pod opieką, nie zdawała sobie sprawy, jaki on ma problem. Dopiero gdy urodził się wnuk, zaczęła się więcej dowiadywać. Gdy spojrzęła wstecz, lepiej rozumiała sytuację tamtego ucznia.

Wspomniawszy sawanta – nie każde dziecko atypowe jest geniuszem, choć tak często przedstawia się na osoby w spektrum. Dla mnie to jest wpisywanie się w narrację kapitalistyczną, że wszyscy muszą mieć coś, co można spieniężyć, co jest przydatne. Bardzo chciałam tego uniknąć w serialu.

Jednocześnie osoby z niepełnosprawnościami mają niesamowite dary, o których wartości często zapominamy, jak bezinteresowne pasje, otwartość na drugiego człowieka, czułość, ciekawość.

Dzieci atypowe niekoniecznie sobie radzą w standardowym systemie edukacji, bo nie wszystkie mają asa w rękawie jak Rain Man.

Jest tendencja, by terapiami pomagać im dostosować się do społeczeństwa na tyle, by mogły w nim funkcjonować, nie cierpiąc za wiele. A może powinniśmy być bardziej otwarci i pozwolić ludziom funkcjonować na swoich zasadach, jeśli nikogo nie krzywdzą? To oczywiście trudne i życzeniowe, przynajmniej w Polsce. Tym

bardziej mi zależało na tym, by takie dzieci pokazać.

Taki był impuls do powstania serialu „Matki pingwinów”?

– To po prostu musiało wyjść z mojego krwiobiegu. Po szkole filmowej zaczęłam bardzo dobrze, mój dyplom „Lokatorki” dostał studenckiego Oscara. Złożyłam kilka projektów w PISF-ie, ale z różnych powodów nie powstały. Borykałam się z najtrudniejszymi etapami w swoim macierzyństwie. Syn był mały i nie wiedzieliśmy, w jakim stopniu będziemy w stanie mu pomóc.

Robienie filmu pochłania właściwie całą energię, sfera rodzinna musi na jakiś czas iść w odstawkę, a w moim przypadku było to niemożliwe. Ze względu na zdrowie syna wyjechaliśmy z Polski i trzy lata mieszkaliśmy na Wyspach Kanaryjskich, gdzie się w ogóle nie zajmowałam filmem, tylko turystyką i sportem.

Oczywiście była we mnie tęsknota za pracą, robiłam jakieś komercyjne rzeczy, zaproszono mnie do nakręcenia pilota serialu, zostałam zatrudniona w serialu historycznym. To było łatwiejsze, wchodziłam na plany, gdzie były konkretne zadania. Przypominałam sobie, jak kocham pracować z aktorami, że to moja pasja.

Wróciliśmy do Polski, żeby syn mógł pójść do szkoły. Czułam tęsknotę za filmem, ale wiedziałam, że potrzebuję tematu, który będzie dla mnie jakimś wyższym celem.

I skąd pomysł?

– Z bliską koleżanką Aleksandrą Więcką, również mamą dziecka ze specjalnymi potrzebami, szukaliśmy dla naszych chłopaków szkoły. Mialiśmy z tych poszukiwań dużo słodko-gorzkich anegdotek, zdzwaniałyśmy się czasami, żeby się podnieść na duchu, i opowiadałyśmy sobie absurdalne historie, które nas spotkały.

W pewnym momencie stwierdziłam, że zrobię o tym serial. Taką subwersję: wszystkie mainstreamowe wątki o życiu ludzi w wielkim mieście, tylko oni mają atypowe dzieci. Pokażę nowy świat i nowych bohaterów, ale w taki sposób, żeby to była dobra rozrywka i żeby marginalizowany temat trafił do mainstreamu.

Życie rodziców dzieci z niepełnosprawnościami oglądamy albo w przygnębiających filmach dokumentalnych lub interwencyjnych, nierzadko o rodzinach patologicznych, albo w familijnych słodkich opowieściach, w których rodzice poświęcają wszystko, żeby dziecku zrobić operację.

Tymczasem takie dzieci rodzą się we wszystkich klasach społecznych, a my nie żyjemy tylko tym, że mamy dzieci z niepełnosprawnościami. Albo przynajmniej nie tylko tym chcielibyśmy żyć. To jest dla nas najważniejsze i nas determinuje, ale też mieliśmy kiedyś marzenia i nadal chcemy je realizować.

Rozmawiałam z Netflixem o innym projekcie, oni rzucili, czy mam coś jeszcze, zaczęłam opowiadać z dużymi emocjami o tym. Zapalili się. Ucieszyłam się, bo Netflix ma tradycję seriali nie tylko rozrywkowych, ale też takich poszerzających świadomość społeczną, dotyczących tematów tabuizowanych. Czułam, że z nimi mogę zrobić coś, co odczaruje też i ten temat.

Netflix to jednak platforma przede wszystkim rozrywkowa.

– I nasz serial jest rozrywkowy – wartki, wciągający. Bardzo mi też zależało, żeby był w tonacji tragikomicznej, bo takie jest nasze życie. Wydarza się dużo wspaniałych, wywrotowych rzeczy, które sprawiają, że codziennność nie jest monotonna, że znajdujesz małe cuda na co dzień, że trudno ci popaść w rutynę, bo dziecko atypowe ciągle podważa system, w którym funkcjonujemy. A jednocześnie musisz w pracy czy w codziennych zadaniach działać w ramach tego systemu, więc tkwisz w permanentnym szpagacie.

Jak sobie radzisz?

– Prawda jest taka, i o tym też są „Matki pingwinów”, że mamy szansę sobie poradzić jedynie we wspólnocie. Jak pingwiny, które zbierają się i otaczają kołem bezbronne młode, dzielą się opieką nad nimi, wspierają.

Moją wspólnotą jest rodzina. Mam ten przywilej, że mama mi pomaga na co dzień, a tata zawsze w razie czego jest wsparciem. Mój mąż, filmowiec i pisarz Kasper Bajon, nie tylko dzieli ze mną obowiązki w życiu codziennym, ale też wspiera i doradza mi w pracy. Przeszliśmy na edukację domową i syn ma teraz bardzo mądrą nauczycielkę, a w czasie zdjęć wyjechał na dłużej do swojego ojca. Dopiero oni wszyscy razem sprawili, że byłam w stanie zrobić serial. A serial zdziałał bardzo wiele dobrego dla ludzi, którzy brali w nim udział. To jest niesamowita historia.

Opowiedz.

– W ekipie filmowej było 80 osób, a na planie bardzo dużo dzieci, które reprezentują świat, o którym opowiadamy. Po miesiącu byliśmy rodziną, przestaliśmy widzieć niepełnosprawności, zaczęliśmy dostrzegać po prostu ludzi. To było dla mnie krzepiące i wzruszające.

Był taki chłopiec, który kocha zegary. Wszędzie chodził z zegarami, kalkula-

torami, wszystko liczył, chciał różne rzeczy techniczne oglądać. Na początku to było trudne na przykład dla dyżurnych planu, ale po miesiącu oni mu kupowali zegary, reperowali je. Był ich najlepszym kumplem. To przestało być problemem, dużo dało naszej ekipie.

Kiedy widzisz rodziny, które się nie podają, w których dzieci z niepełnosprawnościami są kochane, to karmi twoje serce. To była prawdziwa inkluzywność, nie integracja, ale inkluzywność. Podziały przestały istnieć. Poczułam ogromną wdzięczność, bo skoro to jest możliwe w tak dużej grupie przez cztery miesiące, to może w świecie też?

Mówisz, że dzieci, które grają w serialu, reprezentują świat osób z niepełnosprawnościami.

– Nie będę mówić o diagnozach, to ich prywatne sprawy. Niektóre są widoczne na pierwszy rzut oka, inne nie. Ale tak, mamy szeroką reprezentację świata, o którym opowiadamy, zarówno w pierwszym, jak i w drugim planie. Co nie zmienia faktu, że te dzieciaki są świetnymi aktorami.

Janek Lubas grający Jaśka miał już zresztą jakieś doświadczenia aktorskie. Pozostałe dzieci miały po 6-7 lat, więc to było dla nich wyzwanie, ale w jakimś sensie też zabawa, bo w tym wieku nie zdajesz sobie sprawy z presji. Oczywiście miały momenty, że już nie chciały, że się nudziły i wołały: „Kupę!”. Po kilku dniach było jasne, że „kupa” to częściej wymówka, żeby mieć 20 minut przerwy, niż realna potrzeba fizjologiczna (śmiech).

Chłopiec grający Michała, Maksymilian Młodawski, jest starszy od pozostałych, nigdy nie miał kontaktu z kamerą. A grał z Magdaleną Rózczką, o której wiedział, że jest gwiazdą. Przyszedł na casting – nie było łatwo znaleźć studio castingowe, do którego osoba na wózku mogłaby się dostać – i zaimprovizował z Magdą różne sceny.

Rozumiał, jaka na nim spoczywa odpowiedzialność, że cały świat to obejrzy. Bardzo jestem z niego dumna i on też powinien z siebie być bardzo dumny. Jest moim bohaterem.

Jeden z najbardziej przejmujących momentów w serialu to ten, gdy dorośli rozmawiają o przyszłości postaci Michała...

– Chciałam, żeby serial był lekki, ale nie chciałam robić fikcji. Chwile, gdy jesteś spokojna, dumna i szczęśliwa, przeplatają się z chwilami niepokoju i lęku o przyszłość swojego dziecka. O to, jak to będzie, jak sobie poradzi, jak ty sobie poradzisz. Dlatego serial ma też momenty, które po prostu chwytają za serce. I tyle.

Zresztą to uniwersalne dla rodzicielstwa. Mam starszego pasierba. Przez większość czasu nie martwimy się o niego, jest mądry, samodzielny i nagłe: „O Jezu, co tu się dzieje?”. I zaczynasz się bać, że może coś zaniedbałaś, może czegoś nie widzisz, może jest jakiś problem. O dziecko człowiek się boi do końca życia. Widzę to po swojej matce, która – gdy mam gorszy dzień – od razu pyta, co się dzieje.

Tkwimy pomiędzy dumą i szczęściem, że mamy dzieci, a lękiem i odpowiedzialnością za nie. I te uczucia często bywają ambivalentne.

Jak mówi w animowanym filmie „Dziki robot” robotka, która zostaje mamą: „Nie mam do tego oprogramowania”.

– Ja też nie mam. Nikt nie ma. Nie wiesz, czy to, co robisz, robisz dobrze. To dla mnie w macierzyństwie najtrudniejsze. W pracy zawodowej wiem, jak w surfingu, że trafiłam na falę i płynę.

Mówi się, że rodzice współcześni przesadzają, bo kiedyś dzieci się jakoś same chowały, nikt na nie aż tak nie zwracał uwagi. Jak czegoś nie chciały zrobić albo były niegrzeczne, to waliło się je różgą i był święty spokój. Teraz szala się przechyliła w drugą stronę – wszystko jest z dzieckiem przegadywane, negocjowane.

Niepełnosprawność kojarzy się z życiem na marginesie, biedą. A my chcieliśmy pokazać, że może dotyczyć każdego, bez względu na status społeczny.

Jako rodzic musisz pogodzić się z tym, że cokolwiek byś zrobił, to i tak ostatecznie nie masz wpływu na to, jak potoczy się życie twojego dziecka.

To jest jeszcze trudniejsze dla rodziców dzieci z niepełnosprawnościami. Myślimy, że widzimy wpływ naszej pracy, różnych terapii na dzieci. A potem się śmiejemy: „Skąd wiesz, że to zadziałało, a nie co innego? A może bez terapii też by było dobrze?”.

Kiedy przeczytałam, że bohaterką twojego serialu będzie zawodniczka MMA, skrzywiłam się. Po co to? Bo modne? MMA to popularny sport, ale go nie cenię, a freak fighty organizowane w oktagonach jeszcze go przysłaniają.

– MMA spodobało się nam – bo scenariusz pisałam razem z Dorotą Trzaską i Niną Lewandowską – z kilku powodów.

Po pierwsze, w sporcie musisz oddać wszystko, żeby osiągnąć sukces. To wiarygodne, że taka zapracowana matka może przeoczyć sygnały świadczące o kondycji swojego dziecka lub boi się, że rola matki dziecka ze specjalnymi potrzebami będzie stała w konflikcie z jej angażującą karierą.

Po drugie, MMA jest metaforą codziennej walki rodziców. Wiele osób, które serial widziały, mówiło, że płakały. Matki płaczą, gdy Kama leży na macie, bo one tak leżą na podłogach i nie mają już siły, ale wstają, gdy słyszą głosy dzieci: „Mamo, wstań, bo chcę się pobawić”.

Po trzecie, mentalność Kamy, twardej sportsmenki, która uważa, że ciężką pracą da się osiągnąć cel, stoi w dramaturgicznym konflikcie z diagnozą jej syna, której nie da się tak po prostu przewalczyć. Ten kontrast dawał nam też komediowy potencjał, na którym nam zależało.

Jestem bardzo zadowolona, że się na to zdecydowaliśmy. Wspaniała Masza Wągrocka musiała w kilka miesięcy stać się właściwie zawodniczką MMA, nie każdy by dał radę.

A reszta rodziców? Mamy influencerkę, niepracującą mamę i ojca samotnie wychowującego córkę.

– Influencerka Ula grana przez Barbarę Wypych ma męża zarabiającego duże pieniądze, ale czujemy, że pod powierzchnią jej pozornie idealnego życia czai się jakiś dramat. Tatiana, czyli Magdalena Rózcza, mama „niepracująca”, jest tak naprawdę zawodową opiekunką swojego dziecka. A Jerzy, w którego wciela się Tomasz Tyn dyk, to samotny ojciec, w codziennym życiu próbujący zadowolić wszystkich swoich bliskich, choć dostaje ataków paniki.

Wszyscy są częściowo posklejani z prawdziwych postaci, ale też w każdym z nich jest coś ze mnie, każdy ma jakąś cechę, którą rozumiem jako rodzic.

Jest też pokolenie dziadków...

– Są postaci reprezentatywne dla pokolenia najstarszego, które mówią „nie trzęś się tak nad tym dzieckiem”, „czy wszyscy teraz musicie mieć diagnozy”, „dlaczego chcesz dziecku koniecznie przykleić łatkę”, „za naszych czasów to tak nie było”. Ale jest też babcia, która wspiera i pomaga, ale jednocześnie ma swoje życie i swoje ambicje.

Nie ukrywajmy, twoi bohaterowie mają pieniądze...

– Oprócz Tatiany.

Ale jej też starcza na podstawowe potrzeby, choć nie na płatnego opiekuna, dzięki któremu mogłaby chwilę odpocząć.

– Wiele jest powodów, dla których wybraliśmy takich bohaterów, ale powiem o najważniejszym. Niepełnosprawność przeciętnemu widzowi kojarzy się z życiem na marginesie, biedą, bardzo smutnymi historiami. A my chcieliśmy pokazać, że może dotyczyć każdego, bez względu na status społeczny. No i chcieliśmy, żeby jak najwięcej osób obejrzało ten serial i żeby łatwiej było zrozumieć przeciętnemu widzowi, że wszyscy dzielimy jeden świat.

Rodzice dzieci z niepełnosprawnościami często czują się samotni, bo ludzie się od nich odcinają, nie wiedzą, jak zareagować, czują jedynie współczucie. A oni nie chcą współczucia, chcą być traktowani po partnersku. Chcą, żeby patrzeć im w oczy, a nie na przejściu dla pieszych łapać za rękę i mówić: „Och, jak ja pani współczuję”.

Nie boisz się, że ludzie mogą mieć opory, żeby włączyć „Matki pingwinów”?

– Liczę, że widzowie mi zaufają, kiedy obiecuję, że czeka ich lekki serial o czasem trudnych sprawach. A serio: osvajanie tych tematów możliwe jest tylko przez doświadczenie. Żadna teoria, mówienie o inkluzywności, tolerancji nie zmieni naszych zachowań, póki się nie poznamy, nie pobędziemy ze sobą.

Integracja zresztą jest trudna też dla tej drugiej strony. Bywa, że sami się wykluczamy. Kiedy syn był mały, czasem nie chciałam iść z nim na plac zabaw, bo myślałam: nie zdąży do huśtawki, ktoś mu zajmie, będzie mu przykro, ktoś mnie zapyta, dlaczego on tak chodzi, ktoś spojrzy krzywo, a ja nie chcę tego przeżywać.

Ale plan „Matek pingwinów” pokazał, że wrzucenie ludzi we wspólną sytuację sprawia, że te lęki odchodzą.

Komu byś chciała najbardziej pokazać serial?

– Pewnie tacie. Moja mama, Ewa Kochańska, jest bardzo blisko mnie i żyje moim życiem na co dzień, dzieli ze mną opiekę nad synem. Czasami aż za dużo emocji bierze na siebie. Był nawet taki moment, kiedy poprosiła mi w pracy nad serialem.

Zresztą sama jest filmowcem. Skończyła teatrologię, ale kiedy ja się urodziłam, zrezygnowała z kariery zawodowej. Potem prowadziła zajęcia teatralne w szkołach, na które zresztą chodziłam. Kochałam te zajęcia. Zawsze interesowała się kinem, teatrem, zabierała mnie ze sobą. Kiedy zdałam do szkoły filmowej, znalazła w sobie motywację i odwagę, żeby powrócić do swoich pasji i dalej się rozwijać. Dostała się do Warszawskiej Szkoły Filmowej i sama zaczęła robić filmy.

Tata jest zawsze na posterunku, kiedy trzeba pomóc w skrajnych sytuacjach, ale na co dzień jesteśmy bardzo zapracowanymi ludźmi i czasami po prostu trudno nam się spotkać. Tak spotkać i pobyć razem. Chciałabym się z nim podzielić tą historią i tym życiem. Może będziemy mieć jakieś nowe pole do rozmowy? ●

Klara Kochańska-Bajon

• (ur. 1984 w Krakowie) reżyserka i scenarzystka. Studiowała w Kolegium Międzywydziałowych Interdyscyplinarnych Studiów Humanistycznych UW, a w 2013 roku ukończyła Wydział Reżyserii PWSFTViT w Łodzi. Jej krótkometrażowy film dyplomowy „Lokator” został nagrodzony studentkim Oscarem, a fabularny debiut „Via Carpatia” (który reżyserowała z mężem Kasprem Bajonem) nagrodzono za reżyserię na Koszalińskim Festiwalu Debiutów Filmowych „Młodzi i film”. „Matki pingwinów” w Netflixie, których jest pomysłodawczynią, współautorką scenariusza i które reżyserowała z Jagodą Szelc to jej debiut serialowy.

CZUŁOŚĆ **WOLNOŚĆ** RÓWNOWAGA

Brytyjski rząd to jedna z ponad 3000 organizacji, które podpisały deklarację stworzenia miejsca pracy przyjaznego kobietom w okresie transformacji menopauzalnej.

MENO
PAUZING

FOT. RVIZERSKAYA/GETTY IMAGES

Zuzanna Kuffel

Angielski rząd zapytał kobiety, czy są zadowolone z opieki zdrowotnej. Okazało się, że do poprawy jest tak wiele, że trzeba było stworzyć osobną strategię dla kobiecego zdrowia. W tym menopauzy.

„System opieki zdrowotnej w naszym kraju należy do nas wszystkich i musi wszystkim służyć. Niestety, 51 proc. populacji mierzy się z barierami w dostępie do opieki, której potrzebuje” – tak zaczyna się ministerialna przedmowa do 10-letniej strategii na rzecz zdrowia kobiet dla Anglii opublikowanej w sierpniu 2022 roku. To pierwszy tego typu dokument w historii tego kraju. Przygotowując go, rządzący otworzyli się na głosy kobiet. Zebrali ich aż 100 tys., z różnych stron kraju, z rozmaitych środowisk i mniejszości etnicznych. Swoją opinię dołożyło też 400 organizacji i ekspertów zajmujących się zdrowiem.

Równolegle z publikacją strategii powołano też pierwszą ambasadorkę zdrowia kobiet. Została nią Dame Lesley Regan, ceniona na świecie profesorka ginekologii i położnictwa, z ponad 40-letnim doświadczeniem.

Bierzemy kobiety na poważnie

W strategii wypisano ambitne cele na kolejną dekadę. Po pierwsze: aby kobiety i dziewczynki stykające się z ochroną zdrowia czuły się wysłuchane i brane na poważnie. To odnosi się także do normalizacji bólu, w tym miesięczkowego. Po drugie: aby kobiety i dziewczynki były zadowolone z opieki medycznej, jaką otrzymują i dobrze wiedziały, co im przysługuje. Po trzecie: opieka dla kobiet, zwłaszcza z chorobami przewlekłymi, musi być skoordynowana i spersonalizowana. Po czwarte: trzeba dalej badać doświadczenia kobiet dotyczące ochrony zdrowia i na tej podstawie wypracowywać rozwiązania.

Wymienione cele obejmują kilka najważniejszych obszarów. Jednym z nich jest menopauza.

W badaniu opinii publicznej mieszkanki Anglii dały rządowi jasny znak, że nie są zadowolone z opieki, jaką otrzymują w okresie okołomenopauzalnym. Wskazały, że lekarze często mają problem z rozpoznawaniem objawów perimenopauzy i zamiast terapii hormonalnej przepisują np. leki na depresję, chociaż nie ma ku temu podstaw. Inni z kolei boją się przepisywać hormonalną terapię menopauzalną, bo w wytycznych kładzie się większy nacisk na związane z nią ryzyko niż na korzyści.

Do czego w związku z tym dążą Anglicy? Chcą m.in. żeby do 2032 roku rów-

no dziewczynki, jak i chłopcy wynosili ze szkoły podstawowej wiedzę o menopauzie, a także, żeby kobiety w okresie okołomenopauzalnym potrafiły rozpoznawać swoje objawy i wiedziały, gdzie szukać pomocy. Tę pomoc mają zapewniać im wykwalifikowani lekarze podstawowej opieki zdrowotnej i – w razie potrzeby – specjaliści, którzy – nawet jeśli nie zajmują się ściśle zdrowiem kobiecym, ale np. kardiologią czy neurologią – i tak muszą mieć podstawową wiedzę o menopauzie i jej symptomach. To łączy się ze zmianami w programie studiów medycznych, w którym do tej pory niewiele uwagi poświęcano transformacji menopauzalnej.

Dwa lata później widać wyraźnie, że zapisy ze strategii są konsekwentnie wcielane w życie, a postawione cele – po kolei wdrażane.

Wiele kobiet przez długie lata martwi się, że ma raka albo demencję, zanim zorientuje się, że to perimenopauza.

Medialny temat

Równolegle z dyskusją o zdrowiu kobiecym na szczelbu ministerialnym, w Wielkiej Brytanii pojawił się medialny boom na menopauzę. Deborah Jermyn, medioznawczyni z Uniwersytetu Roehampton w Londynie, w artykule z 2023 roku opublikowanym w czasopiśmie „Journal of Aging Studies” nazywa to zjawisko „menopauzalnym zwrotem” w brytyjskiej kulturze. Jak opisuje, jednym z przełomowych momentów była kampania #MakeMenopauseMatter, zainicjowana jesienią 2018 roku przez Diane Danzebrink, dziś autorkę książki o tym samym tytule. Danzebrink w swojej kampanii lobbowała m.in. za tym, żeby uwzględnić menopauzę w programie szkolnym.

Do tego doszły medialne kampanie, jak ta o menopauzie w miejscu pracy, zrealizowana przez lifestylowy tygodnik „Hello!”. Osobistymi historiami zaczęło dzielić się coraz więcej celebrytek i osób publicznych. Jak np. Meg Matthews, projektantka wnętrz i była żona Noela Gallaghery, wokalisty zespołu Oasis, która w 2021 roku wydała książkę o menopauzie „The New Hot: Cruising Through Menopause with Attitude and Style”.

W tym samym roku poradnik na ten temat opublikowała dziennikarka Mariella Frostrup. Z kolei Davina McCall, prezenterka telewizyjna, zrealizowała program dokumentalny „Davina McCall: Sex, Myths and

the Menopause”, przełamujący tabu. Kilka lat później McCall wydała książkę „Menopauzing” (dostępną już w polskim tłumaczeniu), która został obwołana książką roku 2023 w Wielkiej Brytanii.

Nie wszystkim jednak podoba się to, jak brytyjskie media przerobiły temat menopauzy. Nie chodzi nawet o konserwatystów, których przełamywanie tabu związanego z kobiecą fizjologią w przestrzeni publicznej zwykło uwierać, ale o osoby, które zdrowiu reprodukcyjnemu poświęciły swoje kariery, często akademickie. Jak np. prof. Joyce Harper z Instytutu Zdrowia Kobiet University College London.

– O menopauzie powstało ostatnio mnóstwo książek. Napisały je dziennikarki, influencerki i osoby z dobrymi intencjami, które chciały podzielić się swoim doświadczeniem życiowym. Jednak część z nich podaje dużo błędnych informacji. Wiele z tych osobowości medialnych, także aktywnych w sieci, powtarza, że wszystkie kobiety muszą poddawać się terapii hormonalnej, bo inaczej ich życie zamieni się w katastrofę. To nie prawda. Próbujemy prostować takie komunikaty i rozpowszechniać wiedzę opartą na dowodach naukowych, ale często mamy mniejszą siłę przebicia – mówi prof. Harper.

Ewa Craven, lekarka medycyny rodzinnej i certyfikowana przez British Menopause Society specjalistka w zakresie menopauzy, jest bardziej łagodna w ocenie „menopauzalnego zwrotu” wśród brytyjskich celebrytek. – Wszystkie te publikacje i programy telewizyjne moim zdaniem obudziły kobiety. Zaczęły rozpoznawać u siebie objawy perimenopauzy i domagać się właściwego leczenia.

Zdaniem dr Craven edukacja jest potrzebna także poza gabinetami lekarskimi. – W podstawowej opiece zdrowotnej na wizytę przeznaczono jest standardowo 10 minut. W takim czasie, nawet mając najlepsze chęci, nie jesteśmy w stanie omówić z pacjentką wszystkiego, co ważne, i dokładnie jej wysłuchać – mówi dr Craven.

Menoedukacja

Prof. Joyce Harper zajmuje się naukowo menopauzą od prawie dekad. Przede wszystkim przepytuje kobiety, w jaki sposób tych zmian doświadczają. Jedno z jej badań, przeprowadzone na grupie 6000 kobiet, pokazało, że jedynie 2 proc. kobiet czuje się dobrze poinformowane o peimenopauzie, zanim zaczną odczuwać jej objawy. W innym badaniu prof. Harper i jej współpracownicy z University College London wskazali, że brak wiedzy o zmianach, które zachodzą w okresie okołomenopauzalnym, negatywnie odbija się na dobrostanie kobiet.

– Wiele kobiet przez długie lata martwi się, że ma raka albo demencję, zanim zorientuje się, że to perimenopauza. Często nie mają też wsparcia od lekarzy, którym brakuje wiedzy w tym temacie. Z całą pewnością trzeba edukować wszystkich, nie tylko kobiety – mówi prof. Harper.

Większość badań przeprowadzonych przez nią i przez jej współpracowników z UCL prowadzi do wniosku, że edukacja o menopauzie powinna zaczynać się już w szkole. W Wielkiej Brytanii, decyzją tamtejszego Ministerstwa Edukacji, jest to obowiązkowe od 2019 roku.

– Przygotowaliśmy ogólnodostępne materiały dla nauczycieli, żeby wesprzeć ich w nauczaniu o zdrowiu reprodukcyjnym, zaczynając od okresu dojrzewania aż po menopauzę. Badamy teraz, jak szkoły to wdrażają. Chcemy, żeby każdy, zarówno chłopcy, jak i dziewczynki, wynosił ze szkoły najważniejsze informacje o menopauzie, żeby potem zrozumieć, przez co przechodzą kobiety w okresie okołomenopauzalnym – mówi prof. Joyce Harper.

Przestrzeń do dyskusji

Jednak od zasilania ziarna w szkole do pierwszych objawów okołomenopauzalnych u kobiet mija zwykle kilka dekad. Dla

tego potrzeba też pogłębionej i aktualnej edukacji dorosłych. Dostępne są już kursy online na ten temat ale nie do końca spełniają oczekiwania lekarzy. Jak twierdzi prof. Harper, lekarz siedzący przed kamerą i objaśniający menopauzę nie za bardzo pomaga kobietom. Dlaczego? Bo one potrzebują nie tylko wiedzy, ale także przestrzeni do wymiany doświadczeń, do dyskusji i wzajemnego wsparcia.

– Przez ostatni rok rozmawialiśmy z kobietami. Badaliśmy grupy fokusowe, prowadziliśmy warsztaty i ankiety, żeby sprawdzić, czego i jak chcą się nauczyć o menopauzie. Wysłuchaliśmy kobiet z różnych kultur, o różnych orientacjach seksualnych, kobiet neuro różnorodnych, chorujących przewlekłe, tych, które doświadczały wczesnej menopauzy i wielu, wielu innych – opowiada prof. Harper.

Kluczowy wniosek jest taki: kobiety powinny wiedzieć o perimenopauzie jak najwięcej, zanim jeszcze zaobserwują u siebie jakiegokolwiek objawy. A kiedy już te się pojawiają, potrzeba dalszego wsparcia. Dlatego badacze z UCL opracowali projekt „In Tune” (w zgodzie/w harmonii), który ma zapewnić wiedzę i pomoc w tym zakresie. Stworzyli dwa programy edukacyjne dla dorosłych kobiet: „Be Prepared for Menopause” (bądź gotowa na menopauzę) i „The Perimenopause Program” (program okołomenopauzalny).

Pierwszy z nich jest skierowany do kobiet przed 40-tką. Obejmuje dwugodzinną sesję wzbogaconą krótkimi filmami edukacyjnymi nagranymi przez ekspertów z całego kraju.

Kiedy kobiety poczują, że weszły już w transformację menopauzalną, prof. Harper zaprasza je na bardziej pogłębiony kurs, czyli właśnie „The Perimenopause Program”. To kilka sesji w ciągu sześciu tygodni. Prace nad nim jeszcze trwają. Zespół z UCL ma nadzieję, że udział w obu programach będzie darmowy.

– Przeprowadziliśmy już sesje „Be Prepared for Menopause” w różnych miejscach w kraju i otrzymujemy bardzo pozytywne opinie. W kursach będzie można uczestniczyć zarówno online jak i na żywo, np. w lokalnych szpitalach czy bibliotekach. W większości miast w Wielkiej Brytanii funkcjonują też tzw. community hubs, które oddają przestrzeń do dyspozycji tym, którzy chcą zorganizować darmowe wydarzenia. Będziemy też współpracować z kościołami, meczetami i centrami sportu – wylicza prof. Harper.

W tej chwili lekarka sprawdza, czy udział w stworzonym przez jej zespół programie zmniejsza częstotliwość konsultacji lekarskich kobiet w okresie okołomenopauzalnym i poprawia jakość ich życia. – Jeśli uda nam się to wykazać w ciągu najbliższych kilku lat, mamy nadzieję, że nasze programy dostaną rządowe finansowanie – mówi badaczka.

British Menopause Society (BMS), czyli Brytyjskie Towarzystwo Menopauzy, działa od 1989 roku. To organizacja nastawiona głównie na wspieranie lekarzy zajmujących się kobietami na tym etapie życia, zarówno w ramach podstawowej opieki zdrowotnej, jak i podczas specjalistycznych konsultacji. BMS daje lekarzom łatwy dostęp do najnowszej wiedzy o menopauzie i wytycznych klinicznych. Oferuje też szkolenia i certyfikaty. Jedną z lekarek, które z takich szkoleń skorzystały, jest dr Ewa Craven, z pochodzenia Polka, absolwentka Uniwersytetu Medycznego w Lublinie, a obecnie lekarka medycyny rodzinnej specjalizująca się w zdrowiu kobiet. Kieruje przychodnią w Preston i prowadzi prywatną specjalistyczną przychodnię menopauzy.

W 2021 roku dr Craven sama zgłosiła się do ginekolożki, Pauli Briggs, dawniej prezeski Brytyjskiego Stowarzyszenia Menopauzy, z prośbą o pomoc. Zaczęła od dwudniowego kursu teoretycznego, który był wstępem do szkolenia praktycznego pod kierunkiem Briggs w specjalistycznej poradni prowadzenia menopauzy. Dziś, już jako trenerka, dr Craven uczy innych lekarzy

CZUŁOŚĆ, WOLNOŚĆ, RÓWNOWAGA

• Menstruacja, menopauza, równowaga w pracy, luka płacowa, rynek dla kobiet 50+, kompetencje przyszłości, siostrzeństwo – z wielką uwagą przyglądamy się naszym relacjom w nowej rzeczywistości. Z czułością i wrażliwością rozmawiamy o kobiecości, ale też męskości i niebinarności. Tworzymy nowy świat i pytamy o nasze miejsce w nim, zachowując balans.”Czułość. Wolność. Równowaga” to akcja społeczna „Wysokich Obcasów” i „Gazety Wyborczej”.

i pielęgniarki, jak zajmować się kobietami w okresie okołomenopauzalnym.

– Przez lata lekarze rodзинni w Wielkiej Brytanii nie wiedzieli, do kogo odsyłać pacjentki z tym problemem. Menopauza w zasadzie wymaga odrębnej specjalizacji, szczegółowej wiedzy i wytycznych. Trochę zahacza o endokrynologię, trochę o ginekologię, ale do tego dochodzą jeszcze objawy np. kardiologiczne, reumatologiczne albo urologiczne – wyjaśnia Ewa Craven.

Huby zdrowia kobiet

Żeby kobiety w okresie okołomenopauzalnym miały właściwą opiekę medyczną, potrzeba nie tylko wykwalifikowanych lekarzy, ale też dobrej organizacji. W 2023 roku rząd Rishiego Sunaka ogłosił, że w ciągu dwóch lat przeznaczy aż 25 mln funtów brytyjskich na rozwój tzw. women’s health hubs, czyli centrów zdrowia kobiet. Ta decyzja również wpisuje się w realizację 10-letniej strategii. Ma ułatwić i usprawnić dostęp do wykwalifikowanego lekarza kobietom, które potrzebują antykoncepcji albo mają problem z miesiączkowaniem, menopauzą lub bólem podbrzusza. Chodzi o to, żeby pacjentki nie musiały umawiać kilku wizyt w różnych miejscach, nie błąkały się od drzwi do drzwi i nie odczuwały fragmentaryzacji w ochronie zdrowia.

Nie wszyscy specjaliści muszą być w jednej przychodni – ważne jest to, że tworzą sieć i ze sobą współpracują. To dotyczy nie tylko leczenia, ale też m.in. opieki społecznej. Jednym z celów centrów zdrowia kobiet jest również docieranie do pacjentek należących do mniejszości etnicznych i do tych, które nie mówią po angielsku. Dla dr Craven, zmniejszającej wyzwania związane z życiem na emigracji, to szczególnie ważny aspekt.

W hubie można też poddać się ważnym, specjalistycznym badaniom, np. densytometrii, czyli badaniu gęstości kości w kierunku osteoporozy. Diagnostuje się tam też i leczy zachowawczo obniżenie narządów miednicy mniejszej albo nietrzymanie moczu. Co ważne, huby działają w NHS, czyli brytyjskim NFZ a nie w sektorze prywatnym.

W Szkocji hormonalna terapia menopauzalna jest w pełni refundowana (tak jak

antykoncepcja). W Anglii za HTM od kwietnia 2023 roku płaci się rocznie 19 funtów i 80 pensów. Pacjentka dostaje certyfikat, dzięki któremu przez rok ma nieograniczony dostęp do różnych form HTM, zarówno w tabletkach, jak i w formie przezskórnej, np. plastrów.

Centra zdrowia kobiecego to kolejna przestrzeń, w której można edukować na temat menopauzy. Ewa Craven współpracowała już kilka takich przedsięwzięć, w których specjaliści – nie tylko lekarze, ale też trenerzy, psychologowie i dietetycy – spotykali się z kobietami całkowicie za darmo.

– Takie spotkania to dla pacjentek przestrzeń do rozmowy i do wymiany doświadczeń. A my, lekarze, dużo się od nich dowiadujemy – mówi Craven.

Tego typu inicjatyw przybywa. Na północ od jej okręgu, w Kumbrii, inna specjalistka od menopauzy połączyła siły z nauczycielką jogi. Teraz wspólnie organizują spacer-y dla kobiet, podczas których rozmawiają na tematy związane z menopauzą.

Koniec tabu w pracy

Dzięki lepszemu opiece i edukacji pacjentki dr Craven coraz odważniej mówią o menopauzie w pracy. Wcześniej, kiedy objawy bardzo im doskwierały, absolutnie nie chciały, żeby słowo „menopauza” padło w zwolnieniu lekarskim. Dziś to już coraz rzadziej tabu, zwłaszcza po tym, jak w 2023 roku Anglia ustanowiła nową funkcję – Menopause Employment Champion – i powierzyła ją Helen Tomlinson. Jej zadaniem jest wspieranie firm w tworzeniu i wdrażaniu polityki menopauzalnej. To ważny temat, bo aż jedna na cztery kobiety rozważała odejście z pracy z powodu menopauzy.

„Byłam świadkiem tego, ile mogą zmieścić otwarte rozmowy na temat menopauzy w miejscu pracy. Poprzez tworzenie bezpiecznej przestrzeni, edukowanie kierownictwa i zdobywanie sojuszników na rynku pracy, możemy wspierać kobiety i wzmacniać je zarówno w radzeniu sobie z objawami menopauzy, jak i w rozwoju zawodowym” – powiedziała w ubiegłym roku Tomlinson.

Kiedy obejmowała tę nowo utworzoną funkcję, mniej niż jedna czwarta brytyjskich firm miała politykę menopauzalną. Jednym z takich pracodawców – żeby dawać innym dobry przykład – jest brytyjski rząd, a konkretnie służba cywilna. W tej chwili to jedna z ponad 3000 organizacji, które podpisały Menopause Workplace Pledge, czyli deklarację stworzenia miejsca pracy przyjaznego kobietom w okresie transformacji menopauzalnej.

– Wielka Brytania, w tym system ochrony zdrowia, jeszcze nie jest „rajem” dla kobiet w okresie okołomenopauzalnym, ale już widać ogromne zmiany – mówi Ewa Craven. – Najważniejsze jest to, że kobiety przestały się bać i wstydzić mówienia o menopauzie. A słowo na „m” przestało być tak strasznie wstydlive w przestrzeni publicznej. ●

OGŁOSZENIE

Kraj/34343741

Czułość. Wolność. RÓWNOWAGA

ORGANIZATORZY

SPONSOR

wyborcza.pl

wysokieobcasy.pl

KULCZYK FOUNDATION

Emilia Dłużewska

Mowy rok, nowa inba – wzdychają pracownicy wydawnictwa PWN.

Według definicji galerii Młodzieżowych Słów Roku „inba” to „wydarzenie, zwykle negatywne i wywołujące emocje, np. kłótnia, afera, zamieszki itp.”.

To również nieodłączny element corocznego plebiscytu na Młodzieżowe Słowo Roku, który od 2016 r. organizuje PWN we współpracy z Uniwersytetem Warszawskim.

Wybór MSR przebiega następująco: w pierwszym etapie zbierane są kandydatury. Propozycję może przesłać każdy, proszony jest jednak o podanie definicji zgłaszanego słowa. Dwadzieścia najczęściej wskazywanych – o ile są zgodne z regulaminem – przechodzi do finałowego głosowania. W drugim etapie to spośród nich wybierane jest w głosowaniu Młodzieżowe Słowo Roku.

Swoją nagrodę przyznaje też jury, w którym zasiadają językoznawczynie: prof. Anna Wileczek (Uniwersytet Jana Kochanowskiego w Kielcach), prof. Ewa Kołodziejek (Uniwersytet Szczeciński), językoznawca prof. Marek Łaziński (Uniwersytet Warszawski), oraz Bartek Chaciński, dziennikarz „Polityki” i członek Rady Języka Polskiego.

O co wybuchają inby? Na przykład o „julki”.

Awantura o Julki

Pisane małą literą „julki” („młoda kobieta zafascynowana amerykańską kulturą i ruchami lewicowymi. Zazwyczaj używane w kontekście naiwnych, acz wyrazistych wpisów na Twitterze”) zatrzęsły plebiscytem w 2020 r.. Choć słowo to było drugim najczęściej zgłaszanym w pierwszym etapie plebiscytu, tydzień przed jego zakończeniem kapituła ogłosiła, że „julki” do finałowej dwudziestki nie wejdą.

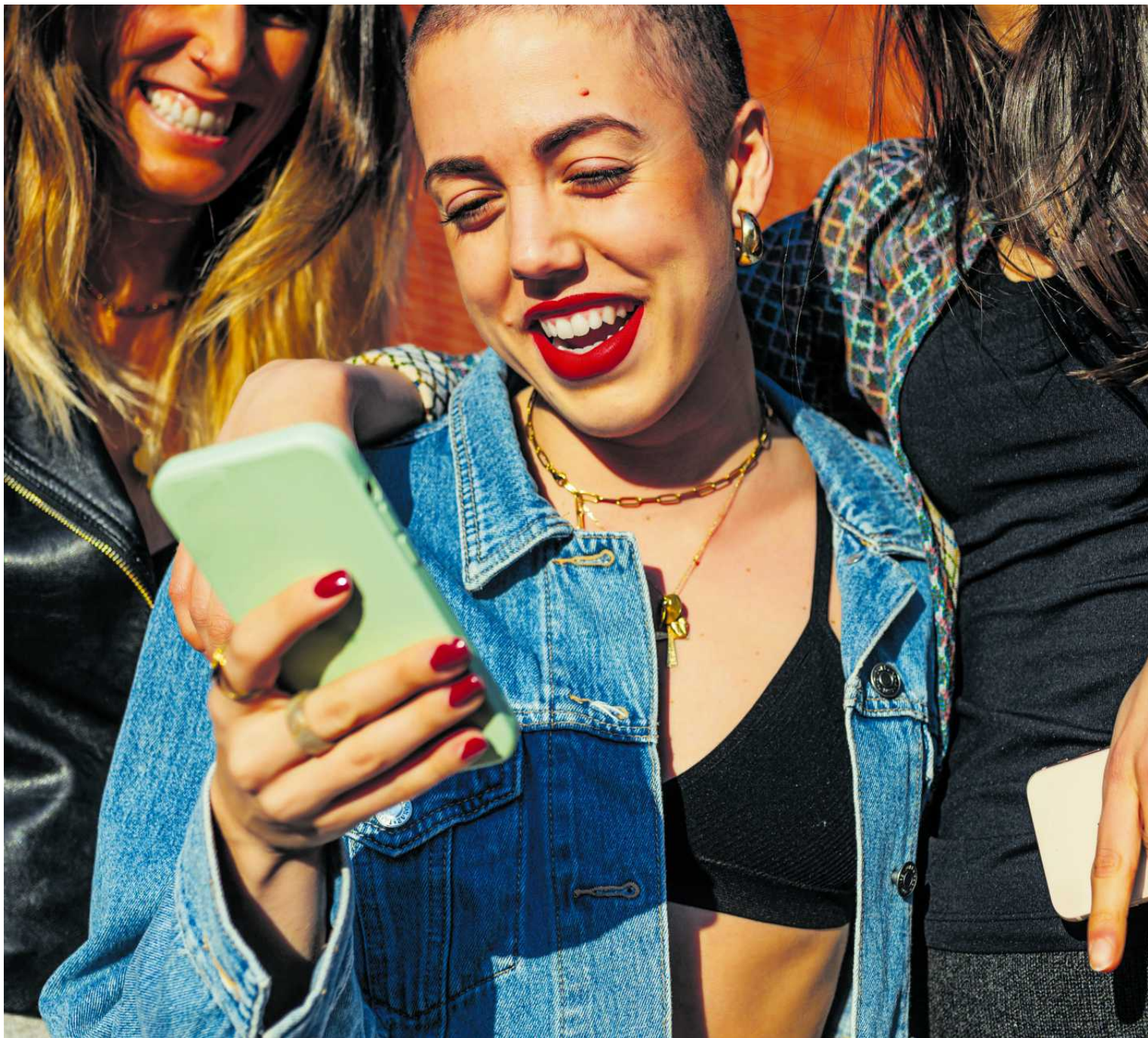
W opublikowanym na stronie PWN oświadczeniu tłumaczyli, że w trakcie trwania plebiscytu znaczenie słowa się zmieniło: to, co początkowo było drwiną z określonej postawy – stawiania ostrych, niekoniecznie przemyślanych tez i braku otwartości na dyskusję, z czasem zaczęło odnosić się do wszystkich dziewczyn o lewicowo-liberalnych poglądach. A tego jurorzy akceptować nie zamierzali.

Nie bez znaczenia był kontekst. 22 października 2020 r. Trybunał Julii Przyłębskiej wydał wyrok zaostrzający i tak już drakońskie prawo antyaborcyjne. Na ulice wyszły wściekłe Polki (lub też, jak chcieliby niektórzy, „półki” – „pogardliwe określenie kobiety roszczeniowej, której publiczne zachowanie przynosi wstyd”). Rząd PiS rozprawiał się z nimi brutalnie – uczestniczki „czarnych protestów” były palowane, przyskane gazem pieprzowym, przetrzymywane na mrozie w policyjnych kotłach. „W sytuacji, w której wyśmiewane »Julki« są bite na ulicach, kapituła plebiscytu na mocy regulaminu zdecydowała, że nie wygra słowo wyśmiewające czyjeś poglądy” – napisali w oświadczeniu członkowie kapituły.

Jurorzy dodawali, że popularność „julek” nie była wynikiem spontanicznych zgłoszeń, ale internetowej kampanii, prowadzonej na internetowych forach dyskusyjnych i w mediach społecznościowych przez mężczyzn o konserwatywnych poglądach. Nie ukrywali oni, że intencją było upokorzenie adwersarek. Na zorganizowany charakter akcji wskazywała liczba zgłoszeń kopiujących słowo w słowo tę samą definicję. I nagle wzrost popularności określenia – rok wcześniej, mimo 41 tys. zgłoszeń, „julka” nie pojawiła się ani razu.

Spewuentiony 2020

Owczesny przewodniczący kapituły Młodzieżowego Słowa Roku prof. Marek Ła-



„Skibidi”, „kysgate”, „pdf”

MŁODZIEŻOWA INBARO

Kapituła Młodzieżowego Słowa Roku wyklucza określenia „eskalujące napięcie i uwikłane w konkretny spór polityczny/społeczny”. Ale czy w dzisiejszych czasach jest to w ogóle możliwe?

ziński przekonywał, że jurorom nie chodzi o zabieranie głosu w światopoglądowym sporze. – W poprzednich edycjach odrzucaliśmy m.in. zgłoszenia merkantylne, próbujące wypromować konkretny zespół, a nawet towar czy słowa, które mogły zaognić konflikt społeczny. W 2019 r. taki los spotkał choćby „półkę”, jak w internecie określane są prześmiewczo „roszczeniowe” polskie kobiety. Uznaliśmy, że jest jednocześnie seksistowskie i używane do nabijania się z tradycyjnych wartości – tłumaczył w „Wyborczej”.

Łaziński dodawał, że los „julek” podzieliło każde słowo, które „rozbudza emocje, jest wulgarnie, brutalne lub nawołuje do nietolerancji”.

Tamtego roku było to wszystkich pięć najczęściej zgłaszanych słów. Poza „julkami” kolejno: „sasinić” („wydawać pieniądze bez

sensu”), „spewuentiony” (według PWN „czasownik pochodzący od nazwy instytucji organizującej plebiscyt, wyrażający sprzeciw uczestników wobec decyzji jury”, ale można by je zdefiniować wulgarniejszą wersją czasownika „zepsuć”), „wyp...” oraz „j... PiS”.

One też znalazły się w czołówce skutków skoordynowanych akcji: pierwsze słowo promował komik Krzysztof D., drugie zgłaszali wkurzeni orędownicy „julek”, dwa ostatnie hasła niosły na transparentach uczestniczki „czarnych protestów”. Ostatecznie kapituła ogłosiła, że tytuł Młodzieżowego Słowa Roku 2020 nie zostanie przyznany.

W rezultacie obrazili się wszyscy: liberalowie, którzy chcieli pośmiać się z polityka PiS, konserwatyści, którzy oskarżyli kapitułę o zamach na wolność słowa, oraz lewicowe uczestniczki proaborcyjnych protestów.



FOT. GETTY IMAGES

KU

Dr hab. Krzysztof Stefański z Uniwersytetu Łódzkiego w liście przesłanym wówczas „Wyborczej” oskarżał kapitułę MSR o koniunkturalizm. „Młodzież uczestniczy w życiu społecznym i politycznym [i] żywo reaguje na różne przejawy tego, co dzieje się wokół” – grzmiał, dodając, iż „warto zauważać niektóre trendy, doceniać pomysłowość i poczucie humoru młodych ludzi, a przede wszystkim nie obawiać się, że młodzieżowe określenia obrażą tego, a nie innego polityka”.

Tego, że zgłaszający słowo „sasinić” Krzysztof D. dobiegał wówczas czterdziestki, autor listu nie odnotował.

Cała Polska młodzieżą

– Tamta edycja wiele nas nauczyła – mówi Bartek Chaciński. – Między innymi tego, że co roku musimy od nowa komuniko-

wać cel plebiscytu. Przypominać, że chodzi w nim o pokazywanie, jak zmienia się język, co nowego pojawia się w nim spon-tanicznie.

A im popularniejszy staje się plebiscyt, tym trudniej ten cel osiągnąć. – Z roku na rok przybywa zgłoszeń, ale i prób zorganizowanego przegłosowania konkretnych słów – przyznaje Chaciński. – Zdajemy sobie sprawę, że Młodzieżowe Słowo Roku dla niektórych osób stało się metodą promowania określonych poglądów. Nasza wizja świata zawsze w jakiś sposób manifestuje się poprzez język, nie uciekamy od tego. Problemem jest jednak, gdy plebiscyt zmienia się w zorganizowaną kampanię światopoglądową.

Dlaczego inicjatorzy takich akcji skupiają się akurat na Młodzieżowym Słowie Roku, a nie na „dorosłej” wersji plebiscytu, którą od 2011 r. organizuje Uniwersytet Warszawski? Odpowiedź jest prosta: listę kandydatów do tytułu Słowa Roku ogłaszają językoznawcy, którzy monitorują słowa najczęściej występujące w prasie codziennej, i na tej podstawie wybierają słowa kluczowe. Internetowy plebiscyt istnieje, ale jest drugorzędny w stosunku do wyboru ekspertów.

W przypadku Młodzieżowego Słowa Roku takie rozwiązanie nie wchodzi w grę. Plebiscyt ma w końcu wypływać nowe zjawiska językowe, pojęcia, które nie weszły jeszcze – a być może nigdy nie wejdą – do oficjalnej polszczyzny. A tego nie da się zrobić bez oddania głosu jej zwykłym użytkownikom. I choć zabawa teoretycznie adresowana jest do młodzieży, formularz na stronie PWN może wypełnić każdy, niezależnie od daty urodzenia.

Od początku istnienia plebiscytu jury-rzy odrzucali zgłoszenia niezgodne z regu-laminem. – Młodzieżowy język ma specy-ficzną dynamikę, co roku w zgłoszeniach pojawia się na przykład dużo słów wul-garnych. Musimy je odsiać, by w ogóle być w stanie wyłonić kandydatów – opowia-da Chaciński.

Regulamin MSR był od 2016 r. poprawiany i precyzowany. Dziś jest w nim m.in. zapis pozwalający jurorom wykluczyć zgłoszenia „będące elementem nie-regulaminowych akcji, mających na celu wpłynięcie na wynik Plebiscytu”, określenia wulgarne, obraźliwe, nawołujące do nietolerancji lub przemocy, należą-ce do mowy nienawiści, zawierające treści niezgodne z prawem albo odnoszące się konkretnych organizacji, firm, miejsc lub osób. A także słowa „eskalujące napięcie i uwikłane w konkretny spór politycz-ny/społeczny”.

Ale czy w dzisiejszych czasach jest to w ogóle możliwe?

Brzydkie korzenie „sigmy”

Na pewno nie jest proste. Na przestrze-ni ostatnich ośmiu lat w pewuenowskim plebiscycie pojawiły się m.in. „madki” (za stroną PWN: „negatywne określenie matki”), Janusze („mężczyzna w średnim wieku, otyły, z wąsami, którego ulubioną rozrywką jest oglądanie telewizji i picie piwa”) albo boomerzy („ironiczna nazwa oso-by starszej, reprezentującej pokolenie ba-by boom – urodzonego w latach 40., 50. lub 60.”).

W takim ujęciu nie wydają się proble-matyczne. Ale tak jak w przypadku „ju-lek” bywają używane do piętnowania całych grup społecznych. To łatwe, bo w języku naturalnym definicje są z reguły niej-sne. A im słowo nowsze, tym podatniejsze na interpretację.

„Madką” niektórzy nazwą rodziciel-kę, która awanturuje się z nauczycielem, by postawił jej dziecku niezasłużoną piąt-kę, „bo zabraknie mu do paska”, ale już in-ni każdą kobietę, która ma czelność nie sie-dzieć pokornie w domu (wcześniej podob-nie zapalne okazało się określenie „wózko-wa”). „Janusz” to dla jednych apodyktycz-ny facet, któremu braki w wiedzy i empa-tii nie przeszkadzają „mówić, jak jest”, ale

■
W ciągu ostatnich lat abstrakcyjność pojęć narasta. Język poszedł w stronę linkowania do wiralowej, memicznej rzeczywistości. Kluczowe nie jest już twarde znaczenie słów, ale często kontekst, świadomość tego, do jakiego popularnego mema się odnoszą – mówi Juror Bartek Chaciński

Młodzieżowe Słowo Roku 2024. Finałowa dwudziestka

- aura
- azbest
- bambik
- brainrot
- brat
- cringe
- czemó
- delulu
- fe! n/fein/fin
- fir/FR
- glamur/glamour
- GOAT
- oi oi oi baka
- oporowo
- riz/rizzler/rizz
- sigma (wariant: sigma male)
- skibidi
- slay
- womp womp
- yapping

dla innych mężczyzna z klasy ludowej, który nosi skarpety do sandałów i siatkę z Biedronki zamiast drogich mokasyńów i torby luksusowej marki. „Boomerem” (alternatywnie: „dziadersem”) może być ktoś twierdzący, że „za jego czasów nie było depresji i ADHD”, ale też każda starsza osoba, z którą nie zgadza się rozmówca. A wtedy nie mamy już do czynienia z pejoratywnym określeniem, ale z seksizmem, klasizmem i ejdżyzmem.

Sprawa jeszcze bardziej się komplikuje, gdy przyjrzymy się pochodzeniu zgłaszanych słów. Korzeni „julek” można szukać na forach dla inceli czy tzw. przegrywów, określających tym imieniem popularne, atrakcyjne i płytkie dziewczyny, które zamiast z nimi wolą się wiązać z przystojnymi, ubranymi w modne ciuchy, bogatymi „oskarkami”.

Podobnie jest z „sigma”, które to słowo zajęło drugie miejsce w plebiscycie na Młodzieżowe Słowo Roku 2023. Na stronie PWN „sigma” zdefiniowane jest jako „mężczyzna niezależny, intrygujący, pewny siebie (...) jest »samotnym wilkiem«, przekonany o swej nieprzeciętności, odnosi sukcesy, ale się z tym nie afiszuje”. Wywodzi się ono (co również odnotowuje PWN) z tzw. manosfery, internetowych grup, profili i forów promujących patriarchalne przekonania – m.in. takie, że kobiety naturalnie preferują silnych, dominujących i obdarzonych mocno zarysowaną szczęką „samców Alfa”, i tylko z wyrachowania wiążą się z mniej pociągającymi, za to opiekuńczymi i zapewniającymi stabilizację finansową „beciakami”.

„Sigma” w oczywisty sposób nie jest określeniem obraźliwym, wulgarnym czy należącym do mowy nienawiści. Ba, nie jest nawet określeniem pejoratywnym, choć tych w plebiscycie jest zazwyczaj więcej. Ale czy istnienie „sigmy” zakłada automatycznie istnienia „alfy” i „bety”? A jeśli tak, czy społecznych napięć nie eskaluje?

Ale czy nie eskaluje ich też zgłoszony w 2016 r. do plebiscytu „kuc” – pogardliwe określenie wycofanego społecznie mężczyzny zapatrzonego w Janusza Korwin-Mikiego? Albo kandydat do tytułu Młodzieżowego Słowa Roku 2017, czyli „odjaniepawlać” – czasownik, w którym papieskie imiona zastąpiły wulgaryzm?

Młodzieżowe Słowo Roku będzie „jasne i okrągłe”?

Z drugiej strony: do jakiego stopnia można od tych napięć uciekać? W końcu słowa mają rzeczywistość opisywać, a nie naprawiać – a nasza społeczna rzeczywistość jest spolaryzowana, pełna politycznych konfliktów i ścierających się wizji rzeczywistości. I niewiele ma wspólnego z budującą czytanką dla młodzieży.

Zwracają na to uwagę członkowie kapituły MSR. – Koniecznie chcielibyśmy stero-wać językiem młodych. Wybierać słowa jasne, okrągłe i świadczące – jak u Gombrowicza – o ich niewinności. Ale nawet jak włączymy przycisk „nie wolno”, to struktury te nie znikną jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wręcz przeciwnie – staną się bardziej popularne – tłumaczyła „Wyborczej” prof. Anna Wileczek w listopadzie zeszłego roku.

Młodzieżowa Inba 2023 związana była ze słowem „kys” („ogarnij się”, „spadaj”, „zamknij się”), które znalazło się w za-twierdzonej przez kapitułę finałowej dwudziestce. Powód? „Kys” powstał jako skrót anglojęzycznego polecenia „kill yourself” – „zabij się”.

Członkowie kapituły tłumaczyli, że pojęcie nie jest używane dosłownie, że to riposta ostra, ale żartobliwa, wyolbrzymiony wyraz emocji. „Kys w młodzieżowym slangu używane jest w podobnych kontekstach jak popularne w moich młodzieńczych latach frazy: »Idź się utop!« albo »Idź się powieś!«. Czy my niegdyś, odpychając słowne naszego rozmówcę, namawialiśmy go do popełnienia samobójstwa? Absurd! Nikt przecież nie traktował tych wypowiedzi dosłownie, literalnie. To była emocjonalna przenośnia, nieprzyjemna, czasem bolesna, ale przecież przenośnia!” – komentowała prof. Ewa Kołodziejek.

Nie pomogło. Decydenci z PWN orzekli, że „kys” ma być z głosowania usunięte. „Kysgate”, jak określiła aferę prof. Wileczek („gate” to „drugi człon wyrazów złożonych, oznaczających wielkie afery”), przyniosło jeszcze jedno pytanie: na ile język może i powinien być strefą komfortu? Gdzie przebiega granica między ostrą, nawet niecenzuralną krytyką a przemocą? I na ile da się to ocenić w oderwaniu od kontekstu, nie znając intencji rozmówcy?

To pytania ważne zwłaszcza w dobie mediów społecznościowych, gdy nasze być albo nie być w sieci zależy od niej-snych zasad. Podczas gdy ludzie kłócą się o dopuszczalność słów, algorytmy rugują

je bezlitośnie i dyskretnie. Ukrywają przed użytkownikami treści uznane za niewłaściwe: słowa wulgarne, obsceniczne, ale i odnoszące się do polaryzujących tematów politycznych (jak „Palestyna”, „Izrael” czy „aborcja”). Albo je demonetyzują, czyli blokują ich autorom możliwość zarabiania na reklamach.

To z kolei owocuje nowymi językowymi tworami, mającymi te ograniczenia obchodzić. Jednym ze słów zgłaszanych do tegorocznej edycji Młodzieżowego Słowa Roku jest „pdf”. Pozornie niewinny skrót oznaczający rozszerzenie pliku, w sieci zastępuje słowo „peadophile” – pedofil.

Od pracowników PWN nieoficjalnie słyszę, że nie przejdzie.

„Skibidi”, „azbest”, „czemó”. Jakie będzie Młodzieżowe Słowo Roku 2024

Młodzieżowe Słowo Roku w tym roku zostanie wybrane po raz dziewiąty. I po raz dziewiąty można się spodziewać głosów krytyki: że finałowe określenia są zbyt konserwatywne, zbyt lewackie, promujące nieodpowiednie wzorce. Jak co roku komentatorzy podzielą się na tych, którzy narzekają, że „nikt tak nie mówi”, i tych, którzy narzekają: „stare, mówi się tak od lat”. Ktoś

wtrąci, że plebiscyt to zabawa dla boomerów i milenialsów, a prawdziwa młodzież ma z niego bekę („mieć bekę” – „wyśmiewać”).

Po co się z tym szarpać? Bartek Chaciński odpowiada prosto: bo dla kogoś, kto interesuje się językiem, śledzenie zmian w najnowszej polszczyźnie jest fascynujące. – Z każdym kolejnym plebiscytem odkrywam kolejne poziomy swojej niewiedzy, zwłaszcza jeśli chodzi o abstrakcję pewnych pojęć – mówi.

Jak dodaje, w ciągu ostatnich lat ta abstrakcyjność narasta. – Język poszedł w stronę linkowania do wiralowej, memicznej rzeczywistości. Kluczowe nie jest już twarde znaczenie słów, ale często kontekst, świadomość tego, do jakiego popularnego mema się odnoszą, i próba wykorzystania tego w rzeczywistości, jak było z popularnymi formami „betoniarz” i „cztery cztery” [”absurdalne powiedzenia z dwóch krótkich filmów opublikowanych na YouTube w 2008 r.”]. Zgłaszane słowa z roku na rok stają się coraz trudniejsze lub wręcz niemożliwe do zdefiniowania.

Czy wobec tego próba uniknięcia tych obraźliwych, podsycających emocje czy generujących konflikt nie jest z góry skazana na porażkę?

Oto zwycięzcy i słowa na podium z poprzednich edycji

- **2016** Zwycięzca **[SZTOS]** kolejne miejsca **[ogarnąć/ogarniać się** oraz **beka, maskakra]**; nagrody jury nie było;
- **2017** zwycięzca **[XD]** kolejne miejsca **[sztos, dwudzionek]** nagroda jury **[smartwica]**
- **2018** zwycięzca **[DZBAN]** kolejne miejsca **[masny/masno, prestiż/prestiżowy]** nagroda jury **[zwyklak, normik, mamadzer]**
- **2019** zwycięzca **[ARLTERNATYW-KA]** kolejne miejsca **[jesieniara, eluwin]** nagrody jury nie było;
- **2020** plebiscyt nierozstrzygnięty; nagroda jury **[tozależyzm]**
- **2021** zwycięzca **[ŚPIULKOLOT]** kolejne miejsca **[naura, twoja stara]** nagroda jury **[mrozi, odciszyć się]**
- **2022** zwycięzca **[ESSA]** kolejne miejsca **[slay, tymyn, betoniarz, NPC]** nagroda jury **[odklejka]**
- **2023** zwycięzca **[REL]** kolejne miejsca **[sigma, oporowo]** nagroda jury **[oddaje]**

Więcej informacji na stronie plebiscytu.

– Jest to bardzo trudne, ale nie niemożliwe – twierdzi Chaciński. – Zdarza nam się przepuścić coś, na czym ciążyą złe emocje, ale nie jesteśmy w starciu z młodzieżowym językiem bezradni. Mammy duży aparat do jego badania. W jury poza mną jest troje językoznawców, współpracujemy z nastolatkami z Obserwatorium Języka i Kultury Młodzieży UJK.

Pomaga też to, że nowe określenia badacze języka nie tylko słyszą, ale też widzą, bo większość z nich używana jest w sieci. – Język mówiony często jest od razu językiem pisanim, emotikony, jak nagrodzone xD („iksde”), przechodzą z kolei z pisma do mowy – tłumaczy juror. – Pozwala to śledzić ewolucję poszczególnych słów. To ważne, bo pojęcia zgłaszane w plebiscyście szybko zmieniają znaczenia, często ciążąc w kierunku skrajności: słowo oznaczające coś fantastycznego zmienia się w określenie pejoratywne, nacechowane ironią. I odwrotnie.

Co znajdzie się na liście w tym roku? Wśród typów powracają słowa „czemó”, „azbest”, „ohio”, ponownie „sigma” i „skibidi” (również w wersji „skibidi toilet”).

Być może jednak ostatecznie w Młodzieżowym Słowie Roku najważniejsza nie jest finałowa dwudziestka, ale to, co dzieje się wokół – internetowe dyskusje, komentarze ekspertów, artykuły prasowe próbujące nieporadnie wytłumaczyć, czym jest „betoniarz”, a niechby i inby. Wszystko to, co przypomina, że język to nie zbiór niezmiennych pojęć i definicji, lecz żywa materia, z którą wchodzimy w relacje: kształtujemy ją i jesteśmy przez nią kształtowani, uzgadniamy znaczenia słów, a potem negocjujemy je na nowo, rozszerzamy albo obracamy o sto osiemdziesiąt stopni.

Chaciński: – Jesteśmy w języku, w dodatku w języku polskim. Nic tu nie jest proste. ●

wyborcza

magazyn wyborczej

WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl

ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielński;
MAGAZYN KULTURA:
Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wiczeorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Igor Rakowski-Kłos, Grażyna Zabińska
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarski, Tomasz Lebiada, Agata Luszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
FOTOEDYCJA: Marta Błażejowska, Dominik Gajda (Ale Historia)
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;

NIP: 521-403-30-11
Druk: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU:
Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/3434107

ZAMÓW DO 23 LISTOPADA

PRENUMERATĘ TECZKOWĄ
NA GRUDZIEŃ
I ODBIERZ DOSTĘP
DO WYBORCZA.PL*

CENA
159,90 ZŁ
GWARANCJA
NAJNIŻSZEJ
CENY**

CODZIENNIE



* Prenumeratorów teczkowych zapraszamy do Klubu „Wyborczej”. Jego członkowie mogą m.in. uczestniczyć w spotkaniach online z redakcją i jej gośćmi. Dodatkowo Klubowicze mają dostęp do archiwum tekstów „Wyborczej”. Co zrobić, by zostać członkiem Klubu:
1. Skontaktuj się z naszą infolinią, tel. 22 555 54 55 (od poniedziałku do piątku w godz. 8-17). 2. Podaj numer dowodu zakupu prenumeraty teczkowej. Zapraszamy.
** Cena sugerowana

O wierszu Mickiewicza „Do przyjaciół Moskali”

A JEDNAK TRZEBA TYCH POLAKÓW UDUSIĆ

Uległe wobec cara zachowanie rosyjskich artystów, w tym Puszkina, poeta Piotr Wiaziemski nazywał „czołganiem się z lutnią w rękach”.

Igor Bielów*

W piękne warszawskie popołudnie 6 czerwca 2015 r. byłem świadkiem ciekawego poetyckiego happeningu pod pomnikiem Mickiewicza na Krakowskim Przedmieściu: Instytut Adama Mickiewicza zorganizował w dniu urodzin Puszkina recytację wiersza „Do przyjaciół Moskali”. Wiersz ten recytował inny Adam - Michnik, „antysowiecki rusofil”.

Paweł Potoroczyn, ówczesny dyrektor Instytutu Mickiewicza, powiedział, że ta akcja niosła ze sobą trzy komunikaty: „Po pierwsze, Polacy, wbrew kremlowskiej propagandzie, nie są rusofobami. Po drugie, w Polsce mamy wiele osób ceniących dorobek tamtejszej kultury. Po trzecie, w czasach trudnych relacji politycznych kultura może być dobrą płaszczyzną do szukania wspólnych wartości”.

Przed recytacją Michnik wygłosił krótkie, ale poruszające przemówienie, określając wiersz Mickiewicza jako „testamentalne zadanie dla polskiego inteligenta przyszłych czasów”. Zapamiętałem te słowa.

Minęło dziewięć lat, a kontekst tego gorzkiego wiersza Mickiewicza stał się znacznie wyraźniejszy. Ten wiersz być może jest teraz najbardziej aktualnym polskim tekstem poetyckim, przynajmniej dla rosyjskiego czytelnika. Jest to poetyckie przesłanie do Rosji, „do krainy lodów”, rodzaj listu z zewnątrz.

Tymczasem nawet w Polsce wielu nie zadaje sobie trudu, by uważnie przeczytać ten wiersz. Przykładem może być artykuł byłego ministra kultury, a dziś europosła Bartłomieja Sienkiewicza, „Bucza - konsekwencje muszą dotknąć każdego Rosjanina” („Kultura Liberalna”, 5 kwietnia 2022 r.).

Twierdząc, że Rosjanie „to nie jest normalny naród”, prawnuk wielkiego polskiego pisarza wezwał do zastosowania zasady odpowiedzialności zbiorowej wobec wszystkich Rosjan, nawet tych, którzy są przeciwnikami wojny lub po prostu jej nie popierają. „Chcę, by każdego Rosjanina konsekwencje ich wojny, ich zbrodni i bestialstw dotknęły osobiście - pisał. - Jeśli nie sprzeciwili się władzy, to przyzwolili na to. I szlachetne garstki demonstrujące sprzeciw nic nie mają do rzeczy - tylko



uwypuklają przepaść między nimi a całą resztą społeczeństwa”.

I dodawał: „Więc gdy dziś jacyś Rosjanie będą się skarżyć na zbiorową odpowiedzialność, powołując się na liberalno-indywidualistyczny paradygmat, bo przecież akurat oni są przeciw wojnie, mam dla nich słowa Adama Mickiewicza z „Do przyjaciół Moskali”, stojącego wobec podobnego wyzwania prawie dwieście lat temu: »Kto z was podniesie skargę, dla mnie jego skarga/Będzie jak psa szczekanie«”.

Ale czy Mickiewicz naprawdę mógłby skierować te słowa do współczesnych Rosjan protestujących przeciwko wojnie? Do Ilji Jaszyna i Władimira Kara-Murzy, Borysa Akunina i Dmitrija Bykowa? Do Aleksieja Nawalnego, który zmarł w putinowskim więzieniu? Do tych wszystkich zwykłych Rosjan, którzy nie popierają wojny Putina przeciwko Ukrainie?

O czym mówi Mickiewicz?

Wiersz ten wchodzi w skład III części „Dziadów”, które były odpowiedzią na stłumienie powstania listopadowego. Mickiewicz pracował nad nimi wiosną 1832 r. w Dreźnie, którego ulice wypełnione były polskimi emigrantami bez paszportu, w potarganych mundurach i zmiętych konfederatkach - stąd w strofach III części „Dziadów” echem odbijał się huk armat Grochowa, broniącego się przed wojskami rosyjskimi.

III części poematu towarzyszył „Ustęp” składający się z wierszy: „Droga do Rosji”, „Przedmieścia stolicy”, „Petersburg”, „Pomnik Piotra Wielkiego”, „Przegląd wojska”, „Oleszkiewicz” i właśnie „Do przyjaciół Moskali”. Wszystkie były prześiąknięte wspomnieniami z niedawnego pobytu w Rosji i są politycznym pamfletem poetyckim z elementami dziennika podróży.

Sam Mickiewicz nazywał „Ustęp” „jadowitymi wierszami przeciwko carowi”. Trucizny i sarkazmu jest w tych

wierszach sporo. Ale czego innego powinniśmy oczekiwać od Mickiewicza, który kiedyś znalazł się w Rosji jako zesłaniec, zwłaszcza po brutalnym stłumieniu polskiego powstania?

Postępowi Rosjanie już wtedy go rozumieli. Aleksander Hercen, który spotkał Mickiewicza w Paryżu w 1847 r., zauważył w jego sądach „coś niezbyt przyjaznego Rosji”. Hercena to nie zdziwiło. „A jakże mogłoby być inaczej po wszystkich okropnościach popełnionych przez cara i carskich satrapów; co więcej, rozmawialiśmy w szczytowym okresie terrorku mikołajewskiego”.

Bartłomiej Sienkiewicz podkreśla, że Polacy muszą się nauczyć „braku litości dla wroga, każącej rozróżniać między dyktatorem a narodem”. Mickiewicz zaś w tym wierszu robi coś dokładnie przeciwnego. Już w pierwszej zwrotce podkreśla, że Polacy, którzy cierpieli pod rządami carskiej Rosji, i jego rosyjscy przyjaciele są obywatelami jednego „państwa”, którym jest serce poety:

„Wy - czy mnie wspominać! ja, ilekroć marzę/ O mych przyjaciół śmierciach, wygnaniach, więzieniach,/ I o was myślę: wasze cudzoziemskie twarze/ Mają obywatelstwa prawo w mych marzeniach”.

Mickiewicz oddzielał naród rosyjski od systemu despotycznych rządów. A jego nienawiść do imperium nie była przeszkodą w przyjaźni z najlepszymi przedstawicielami tego narodu - dekabrystami. Przybywszy do Rosji mniej więcej rok przed powstaniem na pl. Senackim, Mickiewicz szczególnie się zaprzyjaźnił z poetami Kondratijem Rylejewem i Aleksandrem Bestużewem, członkami Stowarzyszenia Północnego dekabrystów, których wspomina w wierszu „Do przyjaciół...” z niezwykłą serdecznością: „Szlachetna szyja Rylejewa,/ Którąm jak bratnią ścisłał...”, Bestużew - „wieszcz i żołnierz”.

Te słowa Mickiewicza nie są tylko piękną metaforą poetycką, ale też dowodem prawdziwej przyjaźni. Dekabry-

ści też cenili ową przyjaźń. Bestużew, który nauczył się polskiego podczas służby w okolicach Mińska i Połocka, czytał polską literaturę w oryginale. Rylejew, który nazwał Mickiewicza „przyjacielem w uczuciach i sposobie myślenia”, był pierwszym tłumaczem Mickiewicza na język rosyjski. Przetłumaczył też „Śpiewy historyczne” Niemcewicza, z którym korespondował.

Jak widzimy, najlepsi ludzie Rosji - jak to miało miejsce i później, np. w latach 60. XX wieku - okazywali się polonofilami, co doskonale ilustruje tezę poety i tłumacza polskiej poezji Dawida Samojłowa: „Miłość do Polski jest dla rosyjskiego inteligenta nieunikniona”.

Jednocześnie „Do przyjaciół...” uderza dwoistością uczuć. Mickiewicz nie tylko pochyla z szacunkiem głowę przed straconym Rylejewem i zesłanym na Syberię Bestużewem, ale też potępia tych rosyjskich przyjaciół, którzy zdradzili ideę wolności i przyjaźni, wspierając stłumienie polskiego powstania. Tych, którzy cieszyli się ze zdobycia Warszawy:

„Innych może dotknęła sroższa niebios kara;/ Może kto z was urzędem, orderem zhańbiony,/ Duszę wolną na wieki przedał w łaskę cara/ I dziś na progach jego wybija pokłony./ Może płatnym językiem tryumf jego sławi/ I cieszy się ze swoich przyjaciół męczeństwa...”.

Mickiewicz nie wymienia nazwisk. Ale dla wszystkich było jasne, że chodzi o człowieka, którego nazwisko było znane wszystkim czytającym Rosjanom - o Puszkina.

Wiersz Mickiewicza jest nie tylko bolesną reakcją na stłumienie polskiego powstania, ale też polemiką z Puszkinem. Autora „Dziadów” oburzyła wydana w 1831 r. broszura „Na wzięcie Warszawy”, składająca się z trzech wierszy: „Oszczercem Rosji” i „Rocznica Boro-dina” Puszkina oraz „Stara pieśń w nowym stylu” Żukowskiego.

• Rok 2022, Wrocław, alternatywna flaga Rosji używana przez przeciwników Putina na manifestacji Rosjan sprzeciwiających się wojnie i popierających Ukrainę

FOT. KRZYSZTOF ÓWIK
/ AGENCJA WYBORCZA.PL

Ten sam Puszkina, którego Mickiewicz znał jako „wieszcz rosyjskiego” i niedawnego zesłańca za wiersze wolnościowe, nagle występuje z pozycji urzędowego patriotyzmu, ostro krytykuje europejskich parlamentarzystów, którzy zdecydowali się wyrazić poparcie dla polskich powstańców, i protekcjonalnie nazywa powstanie „Słowian sporem, rodzinnym sporem domowym”, „kłótnią braci” (przekład Tuwima).

Ten sam Puszkina, z którym, chroniąc się przed deszczem pod jednym płaszczem, rozmawiali o „świętej wolności” i „kaskadzie tyraństwa”, teraz podziwia zdobycie Warszawy: „Wtargnęły nasze wojska znów/ do upragnionych bram Warszawy./ Polska, jak pierzchający huf,/ w proch rzuca swój dobytek krwawy” (przekład Juliana Ejsmonda).

Na ile szczerzy był Puszkina w tych wierszach? Musimy założyć, że całkowicie. Z pewnością był, jak pisze Mickiewicz, „orderem zhańbiony”, bo tytuł kamerjunkra nadany przez cara Mikołaja I był raczej upokorzeniem, i nie bez powodu Miłosz nazwał Puszkina „biednym kamerjunkrem w pozłacanej klatce”.

Jednak negatywny stosunek Puszkina do zbuntowanych Polaków wiązał się też z jego wiarą w jednoczącą rolę Rosji w świecie słowiańskim. Uważał, że Polacy przegrali rywalizację o pierwszeństwo wśród narodów słowiańskich i powinni ten stan rzeczy zaakceptować. Rosja nie była dla Puszkina agresorem, tylko wykonawczynią zamysłów Opatrzności Bożej.

Potwierdzają to słowa poety i liberała Piotra Wiaziemskiego o Puszkinie: „Chociaż nie jest on słowianofilem, często trzyma się idei »zamkniętej w sobie« Rosji, czyli Rosji, która nie uznaje Europy i zapomniiała, że jest jej częścią”. Mickiewicz zaś, na odwrót, uważał Polskę za część europejskiego świata, łacińskiego uniwersum.

Puszkina nigdy nie był w Polsce ani w ogóle poza granicami imperium, bo przez całe życie miał zakaz wyjazdu. Owemu „więźniowi Rosji” niełatwo było spojrzeć na swój kraj oczami osoby z innej kultury, a tym bardziej osoby z bardzo bolesnym doświadczeniem historycznym - przemocy i poniżenia, które Rosja tak często zadawała i nadal zadaje swoim sąsiadom.

Puszkina był tak wrogo nastawiony, bo obawiał się, że polskie powstanie może spowodować interwencję wojskową Francji i innych krajów europejskich. Nie zapominajmy też o osobistej wdzięczności Puszkina dla cara Mikołaja I, który przywrócił go z zesłania. Wszystko to wyjaśnia (choć nie usprawiedliwia!) okrutne słowa Puszkina o Polakach: „jednak trzeba ich udusić, a nasza zwłoka jest bardzo szkodliwa”.

Ale kto wie, może Mickiewicz nie mylił się, sugerując, że Puszkina pisał antypolskie ody na rozkaz tyrańca? Mamy świadectwo hrabiego Wasiljewa, którego Puszkina zaprosił latem 1831 r. Ten zastał poetę przy biurku w szlafroku. Puszkina pisał wtedy wiersz „Oszczercom Rosji” i powiedział młodemu hrabiemu, że czyni to „na prośbę władcy”.

Patriotyczne wiersze Puszkina i Żukowskiego oburzyły postępową rosyjską opinię publiczną.

Zachowanie kolegów Piotr Wiaziemski nazwał „czołganiem się z lutnią w rękach”, a wiersze z broszury „Na wzięcie Warszawy” - „odami mundurowymi”. Jeszcze wcześniej o poemacie Puszkina „Jeniec Kaukazu” Wiaziemski pisał w liście do Aleksandra Turgeniewa: „Poezja nie jest sprzymierzeńcem katów”. A o wierszach „Oszczercom Rosji” i „Rocznica Borodina” napisał: „Czy Puszkina nie zdaje sobie sprawy, że wojna z Europą byłaby dla nas zabójczą?”. I dodawał: „Gdybyśmy mieli wolność prasy, Puszkina nigdy nie odważyłby się opiewać zwycięstwa Paskiewicza”.

Oczywiście stanowiska Wiaziemskiego nie podzielała cała rosyjska klasa wykształcona. Po wybuchu powstania listopadowego w rosyjskim społeczeństwie wzrosły nastroje szowinistyczne. Wielu pospieszyło z gratulacjami dla autorów broszury „Na wzięcie Warszawy”.

Filozof Czaadajew pisał do Puszkina: „Oto nareszcie jest Pan poetą narodowym”. Minister edukacji Uwarow, znany z kradzieży państwowego drewna opałowego i z wymyślenia oficjalnej triady „prawosławie, samowładztwo, ludowość”, przetłumaczył wiersze Puszkina na francuski.

A jednak postępowi Rosjanie nie byli zachwyceni patriotycznymi wierszami Puszkina. Hercen wspominał: „W Rosji wszyscy, którzy czytają książki, nienawidzą władz” - „od Puszkina - największego poety Rosji - w pewnym momencie odwrócił się z powodu jego wierszy politycznych”.

W tym samym czasie pojawiły się inne wiersze o polskim powstaniu, pokazujące, że stanowisko Puszkina nie było jedynym możliwym w rosyjskim społeczeństwie. Poeta i dekabrysta Aleksander Odojewski napisał w celi wiersz „Na wieść o polskiej rewolucji”. „Jesteśmy ich braćmi” - pisał o zbuntowanych Polakach i wspominał powieszonych dekabrystów. Nawiasem mówiąc, 25 stycznia 1831 r. na pamiątkę straconych Polacy zorganizowali w wyzwolonej Warszawie mszę żałobną, niosąc ulicą pięć trumien, jakby pokazując: oto nasi sojusznicy i przyjaciele.

To właśnie wtedy pojawiło się słynne polskie hasło „Za naszą i waszą wolność”.

Zgadza się z tym hasłem, Mickiewicz widział w Rosjanach ofiary reżimu. W wierszu „Przegląd wojska” pisze: „Biedny narodzie! żał mi twojej doli./ Jeden znasz tylko heroizm - niewoli”. Dlatego z irytacją mówi o tych „przyjaciolach Moskalach”, którzy opiewają upadek Warszawy, porównując ich do psa gryzącego rękę tego, kto próbuje uwolnić go z łańcucha. Zaślepienie nie pozwala im dostrzec, że ich wrogiem nie jest polski poeta, tylko władza rosyjska.

W czasach Mickiewicza nie istniało pojęcie syndromu sztokholmskiego, ale finalna zwrotka „Do przyjaciół...” opisuje to zjawisko (Miłosz nazwałby je „zniewolonym umysłem”):

„Kto z was podniesie skargę, dla mnie jego skarga/ Będzie jak psa szczekanie, który tak się wdroży/ Do cierpliwie i długo noszonej obroży./ Że w końcu gotów kąsać rękę, co ją targa”.

Sugerowanie zaś, jak Bartłomiej Sienkiewicz, że strofa ta może być

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Tomasz Jastrun*

Wstążka

Z fotografii

Spogląda moja mama

Taka młoda i ładna

I pyta

Czemu o mnie zapominasz

Zapominam mam

Bo odgarniam sprzed drzwi

Piasek liście i śnieg

Zapominam

Bo jestem bardzo zajęty

Starzeniem się

I zapominam

Bo tylko jak się zapomni

Można znaleźć

Wstążkę czerwoną

Zgubioną na ścieżce

Przez ukochaną

***Tomasz Jastrun** - ur. w 1950 r., poeta, publicysta. W latach 80. redaktor podziemnego pisma literackiego „Wezwanie”. Współpracownik paryskiej „Kultury”. Wiersz z jego tomu „Przed zmierzchem”, wyd. literackie m2, Warszawa 2021.

dziś adresowana do tych Rosjan, którzy „będą się skarżyć na zbiorową odpowiedzialność, powołując się na liberalno-indywidualistyczny paradygmat”, jest wypaczaniem sensu wiersza. Mało prawdopodobne, by Mickiewicz był zachwycony taką interpretacją.

Zresztą nie jest to główne przesłanie „Do przyjaciół...”. Nawet potępiając byłego przyjaciela-Rosjanina, który „duszę wolną na wieki sprzedał w łaskę cara/ I dziś na progach jego wybija poklony”, Mickiewicz podkreśla: niech jego gorzyc „zrze i pali, nie was, lecz wasze okowy”. Mimo całej nienawiści do Imperium Rosyjskiego poeta nadal chce, aby jego gorzkie słowa paliły nie naród, ale jego kajdany.

Puszkina podziwiał w Mickiewiczu jedną rzadką zdolność, z jaką bronił się ów Polak przed niebezpieczną skłonnością do uogólniania. Dla ludzi o pospolitych umysłach cudza obcość, inność często służy za wystarczający powód do niechęci, a nawet nienawiści. Mickiewicz starał się zrozumieć obcych - a zrozumiawszy, pokochać. Bohater „Młodzika” Dostojewskiego powiedziałby: „To na skutek mojej szerokości duchowej” (prze-

Mickiewicz, najpierw uwięziony przez władze rosyjskie, a potem zesłany w głąb Rosji, potrafił zrozumieć ten kraj. Na tyle dobrze, by zawsze odróżniać naród rosyjski od rosyjskich władz

kład Jerzego Poleckiego). W Mickiewiczu było szerokie poczucie jedności spraw ludzkich - dlatego miał życzliwy stosunek nawet do tych rosyjskich przyjaciół, którzy nie zachowywali się szlachetnie.

Być może miała tu wpływ także polska mentalność, w której wartość jednostki ugruntowana była od czasów demokracji szlacheckiej. Mentalność ta w połączeniu z europejskim uniwersalizmem była w przypadku Mickiewicza antidotum na szowinistyczną nienawiść do „obcych”. Nienawidził oficjalnej Rosji.

Czy można się dziwić, że po stłumieniu powstania listopadowego w Rosji - aż do 1857 r. - zakazano i III części „Dziadów”, i wszystkich innych dzieł Mickiewicza? A wiersz „Do przyjaciół...”, po raz pierwszy został legalnie opublikowany po rosyjsku dopiero w 1906 r.

Co ciekawe, poeta był ostro krytykowany także z drugiej strony barykady - patriotycznie nastawione środowiska polskiej emigracji uważały wiersze Mickiewicza z „Ustępu” za zbyt... prorosyjskie i wypominały mu sukcesy na salach Petersburga i Moskwy. I nie był to pierwszy i nie ostatni raz, kiedy polscy emigranci oskarżali Mickiewicza o rusofilie.

Mickiewicz nie był rusofilem, ale wyznawał zasadę solidarności narodów. W tym samym 1832 r., kiedy powstała III część „Dziadów”, napisał „Projekt odezwy do Rosjan”, w którym stwierdzał: „Narody nie mają żadnego interesu gubić się nawzajem; dzień upadku despotów będzie pierwszym dniem zgody i pokoju narodów”.

Większość rosyjskich tłumaczy wiersza „Do przyjaciół...” (istnieje ok. 20 przekładów tego tekstu) wstydliwie pomijała słowo „Moskale”, tłumacząc tytuł jako „Do

przyjaciół w Rosji”, „Do rosyjskich przyjaciół”, „Do przyjaciół-Rosjan”, a jedno z tłumaczeń, z 1906 r., miało tytuł „Do dekabrystów”, choć wiersz nie jest wyłącznie o nich.

Tylko dwóch tłumaczy (w tym autor tego artykułu) odważyło się zachować słowo „Moskale”. W końcu nadaje ono wierszowi ważną konotację: „Moskale”, czyli z definicji „wrogowie”, ale jednocześnie „przyjaciele”. Ten oksymoron to nie tylko na wpół żartobliwa formuła, która określa granice przyjacielskiego stosunku Mickiewicza do Rosjan. Jest to, jeśli można tak powiedzieć, termin politologiczny.

Literaturoznawca Aleksander Lipatow zauważył, że Mickiewicz w ciągu pięciu lat życia w Rosji dobrze ją poznał, zdając sobie sprawę z istnienia trzech Rosji: oficjalnej, Rosji zwykłych ludzi, którzy milczą, i „rosyjskich przyjaciół” - cienkiej warstwy społeczeństwa obywatelskiego, istniejącej równolegle i na przekór despotycznemu państwu. Mickiewicz ochrzcił to zjawisko „trzeciej Rosji” oksymoronom „przyjaciele Moskale”.

Używając formuły Norwida, można powiedzieć, że Mickiewicz „odpowiednie dał rzeczy słowo”. „Trzecia Rosja” to Radiszczew i Nowikow [filozof i pisarz z przełomu XVIII i XIX wieku], to dekabryści, to Hercen.

W 1839 r. w Paryżu Mickiewicz posłał Wiaziemskiemu swój tekst o Puszkinie, dołączając notatkę w języku francuskim: „Znalazłem artykuł o Puszkinie. Wysłałem go Panu. Nie dlatego, że nadaje mu nawet najmniejsze znaczenie literackie, ale Pan zobaczy, jakie uczucia żywię do niektórych z moich DROGICH WROGÓW” (wyróżnienie moje - I.B.).

„Droży wrogowie” to przecież też oksymoron. Zaryzykuję przypuszczenie, że Mickiewicz mówi o tym złożonym rodzaju przyjaźni, który skłonił np. Jarosława Iwaszkiewicza do zwrócenia się do swojego niemieckiego przyjaciela z wierszem „Do przyjaciela wroga”.

Relacje między Mickiewiczem i Puszkinem zasługują na osobną rozmowę - Anna Achmatowa, która uważała „niezłomną przyjaźń” polskiego i rosyjskiego poety za fikcję, mit radziecki, mówiła, że ich historia nie została jeszcze napisana. Ta trudna przyjaźń miała różne fazy - od podziwu do ostrej krytyki, od gorącej sympatii do antypatii. Wiele ich łączyło i dzieliło. Być może taki ambiwalentny stosunek Mickiewicz miał do Rosjan w ogóle, a zwłaszcza do ich kraju.

Amerykański historyk literatury Roman Koropeckij napisał, że Mickiewicz był „ofiara carskiej Rosji i beneficjentem jej hojności”. Po latach poeta z nostalgią wspominał twarze rosyjskich przyjaciół, jednak opuszczając Rosję w 1829 r., zdawał sobie sprawę, że opuszcza kraj agresorów i okupantów.

Tę ambiwalencję rozumiał Puszkina, który pisał: „Spotkaliśmy się i byliśmy przyjaciółmi, choć nasze plemiona były wrogiem”. A po śmierci Puszkina w pojedynku w 1837 r. Mickiewicz napisał dla francuskiej gazety artykuł „Puszkina i ruch literacki w Rosji”, który podpisał „Przyjaciół Puszkina”. „Kula, która ugodziła Puszkina, zadała cios straszliwy Rosji intelektualnej” - pisał.

Mickiewicz, najpierw uwięziony, a potem zesłany w głąb Rosji, potrafił zrozumieć ten kraj na tyle dobrze, by zawsze odróżniać na-

FOT. MAREK PODJÓWY / AGENCIA WYBORCZA.PL



ród rosyjski od władz. Carska władza przyniosła mu wiele cierpień, ale nie znajdziemy u niego słów obelżywych czy choćby pogardy dla Rosjan jako narodu.

Ważne jest również to, że Mickiewicz postrzegał swoje starcie z caratem w kontekście metafizycznej walki dobra ze złem, ale konflikt ten nie jest tożsamy z wrogością między Polakami a Rosjanami. W „Dziadach” wśród „Moskali” są podobnie myślący i sprzymierzeni Polakom – np. dekabrysta Bestużew i bezimienny rosyjski oficer, a po stronie „sił ciemnych” – polscy kolaboranci, tacy jak Doktor, którego zabija piorun uderzający w stos srebrnych carskich rubli. Innymi słowy, III część „Dziadów” opowiada nie o konflikcie etnicznym, tylko o konflikcie między wolnością a tyranią.

Po tym jak w 1968 r. władze PRL-u zdjęły z afisza „Dziady” w reżyserii Kazimierza Dejmka, pracownicy polskich teatrów potajemnie uzgodnili, że nie wystawią „Dziadów”, dopóki spektakl Dejmka nie wróci na scenę Teatru Narodowego w Warszawie. Tylko jedna osoba wyłamała się kilka lat później – Konrad Swinarski, reżyser Starego Teatru w Krakowie. Swinarski, bardzo błyskotliwy reżyser, miał opinię dziwaka, człowieka „nie z tego świata”. Uległ namowom sprytnego dyrektora teatru i postanowił wystawić „Dziady”. W efekcie stało się coś, co nie do końca spełniło oczekiwania władz.

Gdy widownia wypełniła salę, drzwi wejściowe zatrzęsły się z hukiem, a przy każdym wyjściu stanął carski żandarm. W finale na scenie pojawił się Konrad, na głowę sypał mu się gęsty śnieg, a on recytował wiersz „Do przyjaciół Moskali”. Recytował, zwracając się nie do „północnej Palmiry” czy murów moskiewskiego Kremla, ale do polskiej publiczności.

Jak pisał mój przyjaciel, poeta i teatrolog Piotr Mitzner, który był na tym przedstawieniu, „w inscenizacji Swinarskiego główne napięcia przebiegały między pojedynczym człowiekiem i gromadą, a jeśli ktoś był oskarżony, to my, społeczeństwo, i to wprost do nas w ostatniej scenie Konrad – Jerzy Trela mówił: »Kto z was podniesie skargę...«”.

Lekcja z wiersza Mickiewicza jest prosta i ważna: nie wolno pochopnie uogólniać, trzeba zawsze odróżniać zwykłych ludzi od despotycznych rządów, idea odpowiedzialności zbiorowej jest obrzydliwa.

Warto pamiętać, że dusza poety była bardzo wyrozumiała dla ludu rosyjskiego, ponieważ umiała wysoko wzniesić się ponad nienawiść plemienną. Tylko wtedy polski inteligent dzisiejszych i przyszłych czasów wstąpił w tryb testamentalnym zadaniem, jakim jest wiersz Adama Mickiewicza „Do przyjaciół Moskali”. ●

*Igor Biełow

● ur. w 1975 r., rosyjski poeta i tłumacz literatury polskiej, ukraińskiej i białoruskiej. Od dziesięciu lat mieszka w Polsce. W latach 2017–22 pracował w sekcji rosyjskiej portalu Culture.pl. W kwietniu 2022 r., po ataku Rosji na Ukrainę, została ona zawieszona przez Instytut Adama Mickiewicza, podległy Ministerstwu Kultury.

O Michaiile Sałtykowie-Szczedrinie

Rosyjskie życie w niewoli szaleństwa

Śmieszne i straszne jest jego pisarstwo, a on cierpi. Ale jego szyderczy śmiech łagodzi to cierpienie

Wiktor Szenderowicz*

Michaił Jewgrafowicz Sałtykow-Szczedrin był pisarzem rosyjskim. Banalne to stwierdzenie zawiera ważną cechę jego tekstów – mają one znaczenie tylko dla mieszkańców Rosji. Są też trudne do tłumaczenia, nie z racji użytych przez pisarza środków artystycznych (tak jak, powiedzmy, teksty Gogola czy Babla), ale ze względu na ograniczoną możliwość wnikięcia cudzoziemca w problematykę utworów.

Wielkie powieści rosyjskie XIX wieku stanowią płytę tektoniczną dla współczesnej literatury światowej. Tolstoja i Dostojewskiego wystarczy przełożyć na węgierski czy na japoński; wyjaśniać nie trzeba prawie nic.

Przegrana w karty Mikołaja Rostowa sprawia, że każdemu ścisła się serce, a zakochany Lewin jest widoczny dla czytelnika jak na dłoni. Raskolnikowa bez trudu można przenieść na brzeg Sekwany – zmieni się jedynie koloryt, no i sędzia śledczy Porfiry zostanie komisarzem w odpowiedniej dzielnicy Paryża.

Jak jednak wytłumaczyć człowiekowi Zachodu, co to znaczy zetrzeć własne życie na proch między Ferdyszczenką a Niegodiajewem – i nawet okiem przy tym nie mrugnąć. Jak przygotować jego europejski umysł na najważniejszą z naszych – mieszkańców miasta Głupowa – cnót: zastrygnięcie bez ruchu i znoszenie nieszczęść bez szemrania? Po co zresztą człowiek Zachodu miałby to rozumieć, o ile nie jest z zawodu antropologiem? Może chyba tylko wzruszyć ramionami. [Głupowo – fikcyjne miejsce akcji powieści Szczedrina „Dzieje pewnego miasta”].

● Polityczna aktualność wdziera się także do powieści współczesnych Szczedrinowi autorów. Mamy tam i ziemstwa, i kwestię agrarną, i konflikty na Bałkanach, i pro-croce „Biesy”, w całości zrodzone z notatki prasowej... Lwa Tolstoja interesowały praktyczne urządzenie życia i uniwersalny aspekt moralny, Dostojewskiego ciągnęło do równie uniwersalnych zakamarków psychiki ludzkiej.

Opisując tę samą Rosję, Szczedrin szedł przeważnie tropem Czaadajewa – opisywał ją jako obszar powołany do tego, by dać ludzkości jakiś odstręczający przykład. Obszar zamknięty, żyjący odrębnie od życia innych narodów, ba – od biegu historii.

Wszystko to widział czarno, i tak też opisywał – czarno; nawet realistycznie „Państwo Gołowlewo-

wie” właśnie tak są napisani. Czarno musi być tam naprawdę; dla-czego bowiem po upływie 150 lat ściska nas w gardle wobec strasznego déjà vu?

To tylko my, głupowianie nowych pokoleń, ludzie, których dziadowie i pradziadowie z przyzwyczajenia dawali pełzać po sobie kolejnym pijawkom, my, półtora wieku po Szczedrinie, z ajfonami w rękach i z nogami w betonie azjatyckiego układu politycznego – tylko my słyszymy naprawdę drgania tej struny basowej.

Jakie śmieszne i jakie straszne jest to jego pisarstwo. Jakaż tam jest nienawiść i jaka rozpacz. Jakże on musi cierpieć! I jakże jego szyderczy śmiech łagodzi to cierpienie!

● Seneka pisał: nie można tego zmienić, ale można to mieć w pogardzie. Wczesny Szczedrin jednak próbował coś zmienić.

„Ponury licealista”, jak przysłego klasyka przeżywali koledzy,



FOT. DOMENA PUBLICZNA

uczniowie z 13. rocznika Liceum w Carskim Siole, młody socjalista i zwolennik Saint-Simona, został, właściwie zgodnie z tradycją, zesłany za buntownicze idee. Poezji się nie poświęcił (wiersze pisał marne i w porę sobie to uświadomił, miał w końcu leć nie od parady).

● Nie wyrzekając się socjalizmu, robił przyzwolitą karierę jako urzędnik. Wysłał zwierzchnikom zuchwałe raporty. Kolegom z pracy dawał się we znaki, nie biorąc żadnych łapówek. Walkę toczył na serio.

Walka ta skończyła się łatwą do przewidzenia nomenklaturową porażką.

● Zwycięstwo odniósł na swobodnej karcie papieru piśmiennej, odkrywając w ciężkich konstrukcjach gramatycznych niewidzianą przedtem, przeciwpancerną, rosnącą potęgę rosyjskiego słowa. Szczedrinowskie zdanie przeprowadza atak czołowy i pod czołem dopiero wybucha.

Rozpoznajemy je właśnie po tej boskiej ciężkości. „Był straszny. Mało tego, był lakoniczny i ze zdumiewającą ograniczonością łączył

nieugiętość, bliską wręcz idiotyzmowi”. Czyż to nie jest prawdziwa poezja?

● Z tekstu Szczedrina sączy się smutek, dudni w nim gniew i roz-błyska pogarda najwyższej próby. Pogarda autentyczna, ma do niej prawo tylko prawdziwy utopista.

To prawo opiera się na próbach przezwyciężenia i dojmująco smutnej wiedzy o tym, że wszelkie wysiłki są daremne. Że grzaskie otoczenie tylko zabulgotze i wesie nasze uczciwe życie.

Tutaj – chwala Senece! – nie ma innej możliwości, człowiek musi zostać stoikiem. Wykrzywia wtedy usta w drwiącym uśmiechu i trzyma się mocno swojej wizji kręgosłupa moralnego. I do końca swoich dni będzie stuleciu pod nos podsuwał stare, wyświechtane prawdy, o których ono zapomniało.

Prawdy te nie były stuleciu potrzebne. Niewyprzedany dwuty-sięczny nakład dzieł zebranych le-

Szczedrin opisywał Rosję jako obszar powołany do tego, by dać ludzkości jakiś odstręczający przykład. Obszar zamknięty, żyjący odrębnie od życia innych narodów. Ba, od biegu historii

● żał pokryty kurzem obok śmiertelnego łoża „ponurego licealisty”.

„Myślicie, że satyryk się śmieje? – pisał sto lat później niedoceniony przez swoje stulecie felietonista Leonid Lichodiejew. – Satyryk płacze na cały głos!”.

● Czytelnicy Szczedrina nie od razu usłyszeli to smutne zawodzenie. Recenzja „Dziejów pewnego miasta”, napisana przez Suworina [Aleksiej, dziennikarz i wydawca], jest pomnikiem konnym rosyjskiej myśli „patriotycznej”, klasyką literatury pogromowej! Pisarza, który sporządził kompletną typologię rodzimej władzy, nękania pretensjami o powierzchnową znajomość historii ojczyzny. Następnie jak zwykle poszły gęsiego: „brak idei przewodniej”, „niewyraźna pozycja autora” i „dążenie do rozerwania czytelnika za wszelką cenę”, no i oczywiście „naigrawanie się z ludu”, jakżeby bez niego mogłoby się obejść?

W owym czasie nie znano jeszcze idiotycznego słowa „rusofo-bia”, toteż wyrażano się jaśniej.

● Nawiasem mówiąc, co takiego złego jest w wyśmiewaniu ludu, zżeranego tęsknotą za efektywnym menedżerem Wasili-skiem Borodawkinem? Jak inaczej ludem, tym zawziętym masochistą, potrząsnąć? Pytanie retoryczne, i nie o to teraz chodzi. [Borodawkin – postać z „Dziejów pewnego miasta”]. Chodzi o wieczne rosyjskie życie w niewoli szaleństwa.

To też z Sałtykowa-Szczedrina. W taki sposób usprawiedli-wiał to, że wyszło mu coś do śmiechu! „Pokazując życie, które popadło w niewolę szaleństwa, spodziewałem się, że wzbudzę w czytelniku uczucie gorczy, a wcale nie wesołości”.

Miał lekarską uczciwość, poczucie obowiązku; sądził, że jego naturalne współczucie dla głupowian, których tak doświadczał los, równoważy surowość autor-skiej diagnozy.

Diagnoza jest nadal aktualna.

● Rosyjski wiek XX, nie odzyskując świadomości, dobiegł do XXI. Tymczasem z pomocą Szczedrina, przymierzając go do pierwszej z brzegu kwestii, można po staremu komentować każdą naszą duchową bolączkę. Władza nadal trzyma lud w stanie nieustannego zdumienia, kradnie na potęgę i mocno stawia na patriotyzm; warstwa oświecona ciągle nie może się zdecydować – wybrać konstytucję czy też jesiotra z chrzaniem; głupowianie zaś, cokolwiek by się działo, podnoszą bunt, nie wstając z kłeczek.

Wszystko to jest gorzkie i beznadziejne. A jedyna pociecha to język rosyjski, którym opisany jest ten historyczny gabinet osobliwości. „Znałem, łaskawco, pewnego jegomościa, który nie rozumiał i zajmował się filantropią; gdy już zrozumiał, to się powiesił”.

Jakież to szczęście móc wypowiedzieć coś takiego! Doprawdy, rozkosz fizyczna. Warto nawet z wieszaniem się trochę poczekać, żeby jeszcze parę razy to przeczytać. ●

przeł. Jerzy Czech



FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Wiktor Szenderowicz

● ur. w 1958 r., rosyjski satyryk, pisarz, publicysta, prezenter telewizyjny i radiowy. Od lat jeden z najostrzejszych krytyków Putina i jego administracji, przeciwnik napaści Rosji na Ukrainę.



„Pollice verso” (odwrócony kciuk), obraz francuskiego malarza Jean-Léon Gérôme z 1872 roku, przedstawiający arenę walk gladiatorów

Gladiatorzy

POT, KREW I WIECZNA SŁAWA

Pogardzano nimi i uwielbiano. Byli łapówką wyborczą i prezentem dla zmarłych, starożytnymi celebrytami i bohaterami współczesnej popkultury. Żyli krótko

Beata Maciejewska

Gladiator i śmierć od początku tworzyli parę, źródeł igrzysk gladiatorских badacze szukają w obrzędach pogrzebowych, wskazując często na Etrusków. Zamiast składać ofiary z bezbronnych jeńców, pozwalano im ginąć w walce, stąd stara nazwa gladiatorów – bustuarii, czyli ludzie stosów pogrzebowych.

W Rzymie pierwsze potwierdzone igrzyska z udziałem gladiatorów odbyły się w 264 r. p.n.e. na pogrzebie D. Juniusa Brutusa Pery, a w rzymskich testamentach zaczęły się pojawiać zaskakujące dyspozycje zorganizowania walk kobiet wybranych ze względu na urodę lub chłopców, których zmarły darzył miłością. W tym ostatnim przypadku, jak pisze angielski filolog Michael Grant, rycerskość publiczności przewyższyła namietność testatora i doprowadziła do unieważnienia zapisu.

GLADIATORKI KONTRA KARŁY

Jeśli nawet nad początkami igrzysk gladiatorских unosiła się aura religijna, to została wypchnięta przez przy-

jemność, a tym samym politykę. Tłumy chciały oglądać walki, a ambitni politycy musieli zjednywać sobie ich przychylność, więc organizacja igrzysk była formą przekupstwa wyborczego albo – jak pisał XVI-wieczny prawnik i filozof Étienne de la Boétie – przynętami poddaństwa, narzędziami tyranii. Bez względu jednak na to, czym były igrzyska gladiatorские, słono kosztowały.

Gladiatorami zostawali przede wszystkim niewolnicy, jeńcy wojenni i przestępcy, ale na arenie walczyli też ludzie wolni, bo dla biedoty była to szansa na odrobinę lepsze (choć znacznie krótsze) życie. W opowiadaniu Lukiana z Samosat (ok. 120-190 n.e.), rzymskiego retora i satyryka, taki desperat Scyta Sisinnos zgłosił się do walki na arenie, żeby zdobyć 10 tysięcy drachm dla przyjaciela, który w obcym kraju został pozbawiony środków do życia i chciał popełnić samobójstwo. To romantyczna historia ilustrująca męską przyjaźń, ale profesja gladiatorская miała swoje skandaliczne odmiany, bo na arenach pojawiały się sporadycznie kobiety i arystokracja, co uważano za hańbę dla rodu.

Cesarz Domicjan (51-96 n.e.), który miał zabójcze poczucie humoru, „walki z dzikimi zwierzętami

i walki gladiatorów urządzał nawet nocami przy pochodniach; bitwy nie tylko mężczyzn, lecz także kobiet”, jak pisze Swetoniusz (69-130 n.e.), a Dion Kasjusz (ok. 163/164-235 n.e.) wspomina, że podczas takich nocnych popisów kobiety walczyły z karłami.

Miło, gdy można sprzedać część żonki odzieży: pasy, hełmy, okowy i ochronę nogi. Jak zmieni rodzaj sportu – masz już żywot błogi

– szydził rzymski satyryk Juwenalis (60-130 n.e.), ale widok uzbrojonej matrony był jednak rzadkością, a 200 roku n.e. cesarz Septymiusz Sewer zakazał takich występów.

JAK PRZECHYTRZYĆ ŚMIERĆ

Gladiatorzy nie byli amatorami, debiut na arenie poprzedzało wielomiesięczne szkolenie w jednej z licznych szkół rozsianych po całym Imperium Romanum. Ślady jednej z nich odkryto niedaleko Wiednia, koło amfiteatru w Carnuntum. Zawodnicy

byli skoszarowani, mieszkali w 40 małych celach, mieli halę treningową z podgrzewaną podłogą i małą arenę. Nowicjusze ćwiczyli drewnianym mieczem na kukle ze słomy lub drewnianym słupie, potem walczyli między sobą. Dyscyplina była bardzo surowa, a poziom wyszkolenia wysoki.

Pliniusz Starszy (23-79 n.e.) krytykował wychowanków szkoły cesarza Kaliguli (12-41 n.e.) za to, że nie mogli powstrzymać mrużenia oczu, gdy wymachiwano przed nimi mieczem.

Choć słowo „gladiator” pochodzi od słowa „gladius”, czyli miecz, zawodnicy walczyli także inną bronią, w zależności od kategorii, w której występowali. I tak retiarius, czyli sieciarz, był uzbrojony w trójkąt, sieć i nóż, a odziany był jedynie w przepaskę biodrową i bandażę na kostkach. A hoplomachus przypominał greckiego hoplitę, miał zbroję, okrągłą tarczę i włócznię.

Walka na arenie nie była wyrokiem śmierci, nie wszystkie pojedynki gladiatorów kończyły się tragicznie dla przegranego i uczestnicy mogli mieć nadzieję, że dotrwią do końca kontraktu, przejdą na emeryturę i będą wiedli spokojny żywot jako ochroniarze bogaczy – Kaligula zatrudniał jako straż przyboczną trackich gladiatorów – lub kupią sobie małe gospodarstwa na wsi.

Współczynnik strat był jednak wysoki, brytyjska historyczka Mary Beard wylicza na podstawie danych z Pompejów, że trzy czwarte gladiatorów ginęło przed 10. walką. Nawet zakładając, że nie walczyli zbyt często (dwa-trzy występy w roku), to jeśli wkraczali na arenę jako 17-latkowie, mogli się spodziewać śmierci przed 25. rokiem życia.

Oczywiście nie wszyscy. Mistrzem w sztuce przetrwania był Publiusz Ostorius w Pompejach, wyzwoleniec, który walczył jako ochotnik i wystąpił w 51 pojedynkach.

Wyszkolenie i utrzymanie gladiatorów wymagało sporych nakładów, więc lanista, czyli kierownik zespołu, dbał o to, żeby straty ograniczyć do minimum. Jeśli zawodnik przegrywał, trzeba było skłonić tłum do darowania mu życia i tu z pomocą przychodził sponsor igrzysk, który powinien dać dobry przykład, okazując łaskę. To on ostatecznie decydował, choć nastrój publiki miał ogromne znaczenie.

Swetoniusz pisze, że cesarz Kladiusz (10-54 n.e.) okazał łaskę gladiatorowi, za którym wstawiło się jego czterech synów, i puścił w obieg wśród widzów tabliczkę z pronatalistycznym napomnieniem, że powinni dbać o posiadanie dzieci, skoro widzą, że nawet gladiatorowi skutecznie pomogły.

LEKARZ GLADIATORÓW I CESARZA

W 2014 r. „PLOS One” opublikował wyniki prac zespołu austriackich antropologów, kierowanego przez Karla Großschidta z Universität Wien, który przebadal szczątki młodych mężczyzn z cmentarza gladiatorów w Efezie. Nekropolia pochodzi z II-III wieku, Efez miał wtedy 200 tys. mieszkańców, był stolicą Azji, rzymskiej prowincji obejmującej zachodnią część półwyspu Azja Mniejsza, miał teatr na 24 tysiące widzów i równie imponujący stadion. Popyt na gladiatorów był na pewno duży.

Badania potwierdziły, że mieli dobrą opiekę medyczną – złamane kości starannie złożono, amputacje wykonano profesjonalnie. Większość śmiertelnych ciosów została zadana w głowę, ale na kościach odkryto także ślady uderzeń trójzębem i mieczem.

Zawodnikami opiekowali się dobrzy lekarze, jak choćby sławny Galen, który wywarł ogromny wpływ na medycynę średniowieczną. Zajmował się gladiatorami w Pergamonie, a potem został medykiem cesarza Marka Aureliusza (121-180 n.e.). O kunstcie Galena świadczy fakt, że poprzedni medicus stracił 60 gladiatorów, a Galen tylko dwóch. Do zespołu należeli też masażyści jak w profesjonalnych ekipach sportowców, bo gladiatorzy mieli

dać przede wszystkim dobre widowisko i wrócić do koszar w jednym kawalku.

HARTOWANI NA GROCHÓWCE

Wojowników biorących udział w bojach na śmierć i życie trzeba było utrzymywać w dobrej formie specjalną dietą, przeważnie wegetariańską. Jedli głównie zupę grochową, zacier z bobu, soczewicę, fasolę, suszone owoce i kaszę jęczmienną w postaci gęstej papki, więc dostali przydomek hordearii (jęczmienni chłopcy).

„Karmi się ciało silniejszymi potrawami i mięsy członków nabierają tłustych kształtów, by zarzynany za karę drożej zginął. Człowiek zabijany jest dla przyjemności człowieka, by zaś ktoś mógł zabijać, jest doświadczenie, jest praktyka, jest sztuka” – biadał w swojej diatribie przeciwko igrzyskom św. Cyprian z Kartaginy (200/210-258 n.e.)

Węglowodanowa dieta była nie tylko tania i energetyczna, ale też zwiększała ilość podskórnej tkanki tłuszczowej, która z kolei chroniła więzadła, nerwy i naczynia krwionośne przed cięciem. Gladiatorzy nie mieli raczej idealnie wyrzeźbionych ciał – Cynceron w swojej trzeciej filipice wymierzonej w Marka Antoniusza (83-30 p.n.e.) porównuje jego sylwetkę do gladiatora i nie jest to komplement.

Kości gladiatorów też były przygotowane na walkę, miały więcej strontu i wapnia dzięki konsekwentnej suplementacji. Do codziennego jadłospisu wprowadzano wywary z popiołów roślinnych i kostnych.

Inaczej wyglądała uczta, którą lanista fundował swoim gladiatorom w wieczór przed walką, dostępna także dla cywili. Biesiadnicy liczyli się z ryzykiem, że to ostatni posiłek w życiu, więc teoretycznie powinni jeść, pić i popuszczać pasa. Tym bardziej że w menu zamiast papki jęczmiennej były dziczyzna, wieprzowina i ryby. Plutarch wspomina jednak, że gladiatorzy nie rzucali się na te przysmaki. Być może wynikało to ze stresu przed walką, a może z przekonania, że obżarstwo obniży szansę na wygraną.

ZABIĆ CZY ULASKAWIĆ

Gladiatorzy początkowo walczyli na miejskich placach lub dziedzińcach wydzielonych na forach, ale w okresie późnej republiki zaczęto budować amfiteatry, które przekształciły się w wielkie kompleksy rozrywkowe. Nawet mniejsze miasta jak Pompeje miały amfiteatry z widownią mogącą pomieścić dziesiątki tysięcy osób. Najśłynniejszy był amfiteatr Flawiuszów, czyli Koloseum, który zaczął budować cesarz Wespazjan (9-79 n.e.), a skończył jego syn Tytus (39-81 n.e.), urządzając „studniowe” igrzyska na cześć ojca, podczas których walczyło 900 gladiatorów i zabito 5 tysięcy dzikich zwierząt.

Koloseum mogło pomieścić 50 tysięcy widzów, czyli niemal jedną dziesiątą populacji ówczesnego Rzymu. Arena była drewniana, pokryta warstwą piasku dobrze wchłaniającego krew. Zakrywała mieszczące się w podziemiu klatki dla zwierząt, cele dla gladiatorów, rampy, maszyny do zmiany dekoracji.

Miejsca widzów zależały od ich pozycji społecznej. Organizator igrzysk, którym był często cesarz, zasiadał w łożu położonej przy jednym z dłuższych boków areny, wokół patrycjusze, kobiety i niewolnicy w górnych sektorach, z wyjątkiem dziewczęcych kapłanek pilnujących świętego ognia Westy.

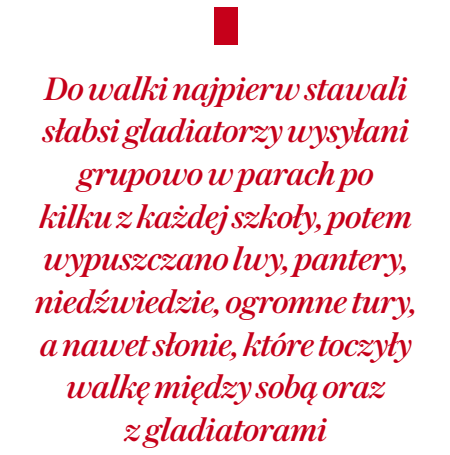
Na obrazie XIX-wiecznego malarza Jeana-Léona Gérôme’a podekscytowane wstątki wychylają się ze swoich miejsc, żeby gestem dłoni zapewnić sobie krwawy finał tego widowiska. Obraz nosi nazwę „Pollice verso” (łac. odwrócony kciuk) i powszechnie przyjmuje się, że kciuk skierowany do dołu oznaczał wyrok śmierci, a uniesiony w górę – ulaskawianie.

Nie ma jednak stuprocentowych dowodów na słuszność tej interpretacji, są badacze, którzy dowodzą, że gestem skazującym

na śmierć był kciuk skierowany do góry, a ulaskawienie sygnalizowano, dociskając kciuk do palca wskazującego bądź, chowając go w pięści.

Powszechne jest też wyobrażenie, że gladiatorzy przed walką maszerowali przed widownią z ręką uniesioną w powitalnym geście, skandując: „Ave Caesar, morituri te salutant!” („Witaj Cezarze, idący na śmierć cię pozdrawiają”). Taką informację podaje tylko Swetoniusz, relacjonując naumachie, czyli inscenizację bitwy morskiej, urządzonej przez cesarza Klaudiusza.

Gdy gladiatorzy przywitani go w ten sposób, Klaudiusz odpowiedział: „Albo i nie” (nieidący na śmierć), co miało być dowcipem, a wywołało ogromne zamieszanie, bo gladiatorzy nie chcieli już walczyć, uznawszy, że cesarz ich ulaskawił. Rozzłoszczony Klaudiusz rozważał, czy nie warto by wszystkich uczestników naumachii „zgałdzić ogniem i żelazem”, a na końcu musiał się zwlec z honorowego miejsca i biegać dookoła jeziora „na szpetnie chwiejących się nogach”, żeby groźbami i zachętami ratować widowisko.



KIJ PODSYCA BOJOWY ZAPĄŁ

Gladiatorzy nie mogli markować walki. Każdy pojedynek nadzorował sędzia summa rudis (łac. najlepszy kij), który mógł wychłostać opieszałego zawodnika. Jeśli jego występ nie satysfakcjonował widowni lub jeśli był przestępcą, którego ulaskawienie nie było wskazane, tego samego dnia nakazywano mu się stawić do następnego pojedynku z dublerem.

Ale gdy cesarz Karakalla (188-217 n.e.) wyprowadził aż dwóch dublerów do walki z gladiatorami Bato, senator i historyk Kasjusz Dion napisał o tym zdarzeniu jako dowodzie na okrucieństwo władcy. Bato stoczył trzy walki i w ostatniej zginął, a zachwycony Karakalla wyprawił mu wspaniały pogrzeb.

Jednak gladiator, który w opinii widzów okazywał tchórzostwo albo słabo walczył, nie mógł liczyć na ich pobłażliwość. Żądali krwi, skandowali „przebij go” i oczekiwali, że pokornie ukleknie, uniesie głowę i będzie czekał na śmiertelny cios.

A gdy już leżał w piachu, na arenę wchodziło dwóch mężczyzn w przebraniach Charuna, etruskiego demona śmierci, i Merkurego, boskiego przewodnika dusz zmarłych w podziemiach. Sprawdzali młotkiem (atrybut Charuna) i rozpalonym żelazem, czy gladiator faktycznie nie żyje, a konających dobijali i wywlekali Bramą Libityńską, od Libityny, bogini śmierci i patronki obrzędów pogrzebowych. Trupy wrzucano na wóz i wywożono poza miasto, gdzie chowano w zbiorowej mogile, chyba że towarzysze, rodzina lub wielbicieli wykupili ciało poległego i zapewnili mu pogrzeb. Za to zwycięzca otrzymywał palmę, nagrody pieniężne, a nawet wolność.

Igrzyska miały swoją dramaturgię, do walki najpierw stawali zazwyczaj słabsi gladiatorzy wysyłani grupowo w parach po kilku z każdej szkoły, potem wypuszczano egzotyczne zwierzęta, które toczyły walkę między sobą oraz z gladiatorami. Widzowie obserwowali w akcji lwy, pantery, niedźwiedzie, ogromne tury, a nawet

słonie, choć nie zawsze byli zadowoleni z widowiska.

Pliniusz Starszy pisze, że za drugiego konsulatu Pompejusza (106-48 p.n.e.) wypuszczono na arenę cyrku 20 słoni i ludzi z pociskami, „podziwiania godną była szczególnie walka jednego słonia; ten mając nogi pogruchotane, czołgał się po kolanach do stada, wyrwał walczącym tarcze i miotał je w górę”, więc widzów ogarnęła litość. Jak odnotował Cynceron, widok wywołał wrażenie, że „to stworzenie ma coś wspólnego z rodzajem ludzkim”.

Ale walką dnia było zawsze starcie najbardziej doświadczonych zawodników. Bywało, że ich sławę pompowano, podsuwając łatwych do pokonania przeciwników, dziś powiedzielibyśmy „zajaków”, i ustawiając walki, jednak na końcu i tak arena weryfikowała umiejętności.

CELEBRYTA Z NAJNIŻSZEJ PÓŁKI

Gladiatorzy zajmowali na drabinie społecznej najniższe szczeble, nie posiadali żadnych praw, nawet laniści, szefowie gladiatorskich grup, nosili piętno infamisów i obrzucano ich obelgami.

Owszem, gladiatorzy byli wojownikami, ale nie cieszyli się takim poważaniem jak żołnierze. Umierali dla rozrywki, a nie dla ojczyzny. Za to żołnierze mieli mniejszą szansę na karierę celebryty, nie wzbudzali takich emocji jak gladiatorzy.

Niektórych z nich znamy z imienia, rzymski poeta Marcjalis (I wiek n.e.) wspomina w swoim poemacie niejakiego Hermesa, który specjalizował się we władaniu wszystkim rodzajami broni, a jego efektowne walki sprowadzały na trybuny amfiteatrów tłumy. Opisuje też niejakiego Carpophorusa, który walczył głównie z dzikimi bestiami i w ciągu jednego dnia miał zabić 20 zwierząt, w tym lwa, niedźwiedzia, leoparda i nosorożca.

Wśród zawodników zdarzali się i tacy, którzy o emeryturze nie marzyli, upajając się podziwem tłumów i nagrodami za zwycięstwa. „I modlą się o to do boga, i napastują swoich dozorców, uporczywie żądając igrzysk” – pisał Epiktet.

Zapewne do nich należał secutor Flamma (secutor, czyli ścigający, który za przeciwnika miał retiariusza/sięciarza, a walczył klasycznym mieczem), z pochodzenia Syryjczyk, bohater rzymskich obywateli w czasach cesarza Hadrian (ok. 50-135 n.e.).

Przetrwał jego nagrobek, wystawiony na Sycylii przez niejakiego Delicatusa, towarzysza broni. Inskrypcja głosi, że Flamma żył 30 lat, walczył 34 razy, wygrał 21 razy, walczył do remisu 9 razy, uzyskał ulaskawienie 4 razy. Mógł zejść z areny, bo czterokrotnie dostawał rudis, drewniany miecz, który symbolizował wolność, koniec gladiatorskiego życia, ale wybrał śmierć na oczach tłumów.

Rzymianie mieli ambiwalentny stosunek do gladiatorów, miotali się między strachem, pogardą a uwielbieniem. Pamiętali o powstaniu Spartakusa (71 p.n.e.), gladiatora wyszkolonego w trackim stylu walki i nauczyciela szermierki w szkole gladiatorów w Kapui. Zostało wprowadzić utopione we krwi – rzymski bogacz i znakomity wódz Marek Licyniusz Krassus ukrzyżował wzdłuż Via Apia 6 tysięcy buntowników – ale do pokonania Spartakusa trzeba było użyć ośmiu legionów.

Gladiatorzy mogli być źródłem poważnych kłopotów, szczególnie gdy stawali się częścią prywatnych sił zbrojnych polityków. Gajusz Juliusz Cezar (100-44 p.n.e.) postanowił, że wystawi 320 par gladiatorów na igrzyskach dla uczczenia 20. rocznicy śmierci ojca, ale senat zdecydował się na interwencję, uznawszy tak dużą liczbę świetnie wyszkolonych wojowników za zagrożenie dla Rzymu.

KOLOSEUM

Życie i śmierć na arenie

Cesarz obserwował walki z łoży położonej na dłuższym boku, wokół niego siedzieli patrycjusze i kapłanki pilnujące świętego ognia Westy, w górnych sektorach niewolnicy i kobiety. Arena pokryta był piaskiem dobrze wchłaniającym krew.

Wawrzyniec Świącicki

AMFITEATR FLAWIUSZÓW

Pierwsze amfiteatry, w których odbywały się igrzyska gladiatorów, zbudowano w leżącej na południu Półwyspu Apenińskiego Kampanii, ojczyźnie tradycji walk gladiatorów. Najstarszy ocalały amfiteatr w Pompejach datowany jest na 70 r. p.n.e.

W Rzymie pierwsze tego typu budowle powstały w latach 30. I wieku p.n.e. Początkowo były to budynki w całości lub w dużej części drewniane i szybko niszczyły je pożary. Po krótkim czasie okazywały się też za małe, by sprostać rosnącym wymaganiom igrzysk.

Dlatego tak doniosłym wydarzeniem było otwarcie w 80 r. n.e. Koloseum – największego amfiteatru w ówczesnym świecie. Nazwano go Amfiteatrem Flawiuszów, na cześć cesarzy pochodzących z tej dynastii, którzy uczestniczyli w jego budowie: Wespazjana i Tytusa. Nazwa Koloseum, która ostatecznie się upowszechniła, nie była związana z rozmiarami budowli, lecz ze stojącym w pobliżu niej 35-metrowym posągim Nerona, przez mieszkańców nazywanym „kolosem”. Koloseum powstało bowiem na miejscu *Domus Aurea* Nerona w ramach programu niszczenia pamiątek po cesarzu zniechęconym przez Rzymian. Środki na budowę pochodziły z łupów wojennych zdobytych w czasie zwycięskiej wojny żydowskiej, podczas której Rzymianie zajęli i splądrowali Jerozolimę oraz słynną Świątynię Salomona. Przy budowie pracowali również żydowscy niewolnicy.

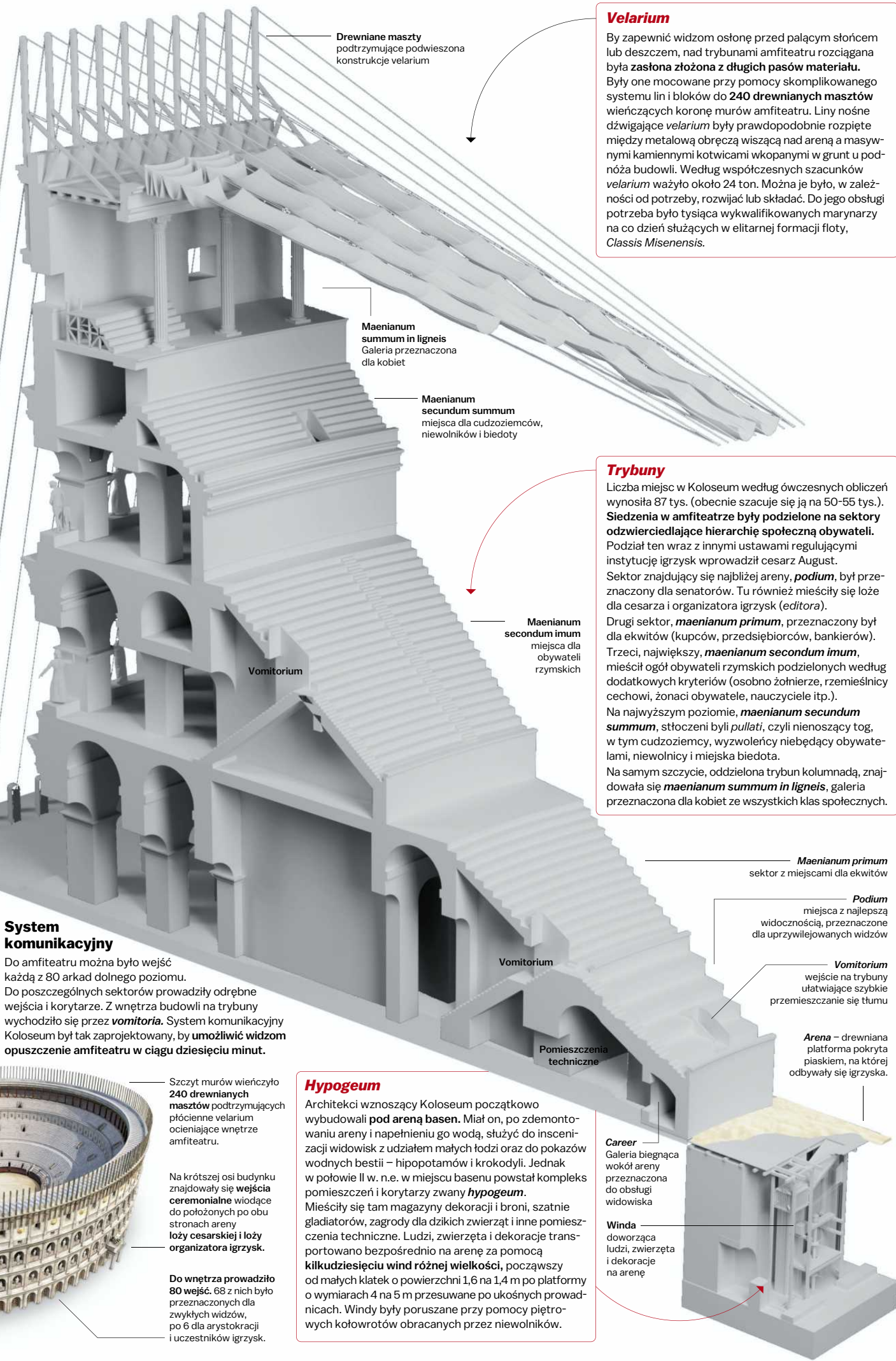
Z okazji otwarcia Koloseum cesarz Tytus zorganizował uroczystości trwające 100 dni, w czasie których odbyły się walki gladiatorów (*munera*), pokazy zwierząt (*venationes*) i sceny bitew morskich (*naumachiae*).

Konstrukcja

Jak wszystkie klasyczne amfiteatry, Koloseum ma kształt owalu, o wymiarach 188 na 156 m. Wewnątrz znajduje się arena wielkości 76 na 44 m, jest to najwyższy budynek starożytnego Rzymu – jego mury wznoszą się na wysokość 52 m. Tak imponujące rozmiary udało się uzyskać dzięki umiejętnemu wykorzystaniu właściwości budulca w postaci trawertynu, cementu pucolanowego i lekkiego tufu wulkanicznego. Budowla miała cztery kondygnacje. Wszystkie z wyjątkiem ostatniej otwierała się na zewnątrz 80 arkadami. W najniższej znajdowały się wejścia, wyższe zdobity marmurowe posągi. Pierwszy poziom był udekorowany półkolumnami doryckimi, drugi – jońskimi, trzeci – korynckimi. Czwarty, najwyższy, zdobity korynckie pilastry.



© GAZETA WYBORCZA



Velarium

By zapewnić widzom osłonę przed palącym słońcem lub deszczem, nad trybunami amfiteatru rozciągana była zasłona złożona z długich pasów materiału. Były one mocowane przy pomocy skomplikowanego systemu lin i bloków do 240 drewnianych masztów wieńczących koronę murów amfiteatru. Liny nośne dźwigające velarium były prawdopodobnie rozpięte między metalową obręczą wiszącą nad areną a masywnymi kamiennymi kotwicami wkopanymi w grunt u podnóża budowli. Według współczesnych szacunków velarium ważyło około 24 ton. Można je było, w zależności od potrzeby, rozwijać lub składać. Do jego obsługi potrzebna była tysiąca wykwalifikowanych marynarzy na co dzień służących w elitarnej formacji floty, *Classis Misenensis*.

Trybuna

Liczba miejsc w Koloseum według ówczesnych obliczeń wynosiła 87 tys. (obecnie szacuje się ją na 50-55 tys.). Siedzenia w amfiteatrze były podzielone na sektory odzwierciedlające hierarchię społeczną obywateli. Podział ten wraz z innymi ustawami regulującymi instytucję igrzysk wprowadził cesarz August. Sektor znajdujący się najbliżej areny, *podium*, był przeznaczony dla senatorów. Tu również mieściły się łoża dla cesarza i organizatora igrzysk (*editora*). Drugi sektor, *maenianum primum*, przeznaczony był dla ekwitów (kupców, przedsiębiorców, bankierów). Trzeci, największy, *maenianum secundum imum*, mieścił ogół obywateli rzymskich podzielonych według dodatkowych kryteriów (osobno żołnierze, rzemieślnicy, cechowani, żonaci obywateli, nauczyciele itp.). Na najwyższym poziomie, *maenianum secundum summum*, stłoczeni byli *pullati*, czyli nienoszący tog, w tym cudzoziemcy, wyzwoleńcy niebędący obywatelami, niewolnicy i miejsca biedoty. Na samym szczycie, oddzielona trybuną kolumnadą, znajdowała się *maenianum summum in ligneis*, galeria przeznaczona dla kobiet ze wszystkich klas społecznych.

System komunikacyjny

Do amfiteatru można było wejść każdą z 80 arkad dolnego poziomu. Do poszczególnych sektorów prowadziły odrębne wejścia i korytarze. Z wnętrza budowli na trybuny wychodziło się przez *vomitoria*. System komunikacyjny Koloseum był tak zaprojektowany, by umożliwić widzom opuszczenie amfiteatru w ciągu dziesięciu minut.

Szczyt murów wieńczyło 240 drewnianych masztów podtrzymujących płócienną zasłonę wewnętrzną amfiteatru. Na krótszej osi budynku znajdowały się wejścia ceremonialne prowadzące do położonych po obu stronach areny łoża cesarskiej i łoża organizatora igrzysk. Do wnętrza prowadziło 80 wejść. 68 z nich było przeznaczonych dla zwykłych widzów, po 6 dla arystokracji i uczestników igrzysk.

Hypogeum

Architekci wznoszący Koloseum początkowo wybudowali pod areną basen. Miał on, po zdemonstrowaniu areny i napełnieniu go wodą, służyć do inscenizacji widowisk z udziałem małych łodzi oraz do pokazów wodnych bestii – hipopotamów i krokodyli. Jednak w połowie II w. n.e. w miejscu basenu powstał kompleks pomieszczeń i korytarzy zwany *hypogeum*. Mieściły się tam magazyny dekoracji i broni, szatnie gladiatorów, zagrody dla dzikich zwierząt i inne pomieszczenia techniczne. Ludzi, zwierzęta i dekoracje transportowano bezpośrednio na arenę za pomocą kilkudziesięciu wind różnej wielkości, począwszy od małych klatek o powierzchni 1,6 na 1,4 m po platformy o wymiarach 4 na 5 m przesuwane po ukośnych prowadnicach. Winda były poruszane przy pomocy piętrowych kołowrotów obracanych przez niewolników.

GLADIATORZY

Cieszyli się popularnością w starożytnym Rzymie przez siedem stuleci, od III wieku p.n.e. do IV wieku n.e. Początkowo walki uzbrojonych mężczyzn towarzyszyły uroczystościom pogrzebowym zwanym *munus* (łac. powinność, l. mn. *munera*). Z czasem zaczęto tak nazywać również walki gladiatorów toczzone na arenie. Miały one formę pojedynków i odbywały się według określonych reguł. Choć niewiele o nich wiemy, pewne jest, że na arenie znajdowali się sędziowie wyróżniający się białymi tunikami.

Strój

Gladiatorzy na ogół nosili tylko przepaskę biodrową (*subligaculum*) i szeroki, wykonany z brązu mocowanego do skóry, pas (*balteus*) będący niezbędnym atrybutem każdego dorosłego mężczyzny w Italii. Zazwyczaj walczyli boso. Ich skąpy strój nawiązywał do nagości antycznych greckich atletów. Dzieliłi się na co najmniej kilka-naście typów różniących się uzbrojeniem i taktyką walki (patrz obok). Rzymianie lubili przeciwstawiać sobie różne typy gladiatorów, dbając, by żaden nie dominował uzbrojeniem nad drugim.

Uzbrojenie

Igrzyska miały być widowiskami przyciągającymi tłumy, ważne więc było, by gladiatorzy dobrze się prezentowali. Ich rysztunek wykonany był zazwyczaj z polerowanego brązu wyglądającego z daleka jak złoto, bogato dekorowany reliefami i barwnymi pióropuszcami. Można było sobie na to pozwolić, gdyż te luksusowe elementy zbroi były używane tylko podczas występów na arenie, a w przypadku śmierci gladiatora przechodziły na jego towarzyszy. Nie groziło im też poważne uszkodzenie, gdyż do walk nie stosowano ciężkiej broni tnącej.

Hełm (*galea*) – różnił się kształtem w zależności od typu gladiatora, zawsze jednak zaopatrzony był w osłonę na twarz, co dawało walczącemu anonimowość. Stanowił dobrą osłonę głowy i szyi, jednak mocno ograniczał pole widzenia i utrudniał oddychanie. Był też bardzo ciężki. Waga zachowanych egzemplarzy waha się od 3 do 5 kg, blisko dwa razy więcej niż ważył hełm legionisty.

Osłona na rękę (*manica*) – noszona na rękę trzymającej oręż (zazwyczaj prawej, w przypadku *retiariususa* lewej, w której trzymał trójząb). Wykonana była z wielu warstw pikowanego materiału lub skóry i mocowana do ramienia skórzanymi paskami. Skutecznie chroniła przed cięciem mieczem. W II wieku równolegle zaczęto stosować metalowe osłony łuskowe, segmentowe i kolcze.

Nagolennice (*ocrea*) – chroniły goleń od przodu i po bokach. Różniły się wielkością w zależności od typu gladiatora – ich rozmiar był związany z wielkością tarczy (większa tarcza pozwalała na zastosowanie krótszej nagołennicy).

Tarcze – te największe i najcięższe, wzorowane na tarczach piechoty rzymskiej, były wykonane z drewna klejonego warstwowo i wzmocnione metalowym, pionowym żebrzem oraz okuciami. Początkowo miały kształt owalny, potem stały się prostokątne i mocno wypukłe. Miały ponad 100 cm wysokości i 60-70 cm szerokości. W użyciu były również mniejsze, okrągłe tarcze z brązu (dla *hoplomachusa* - 37 cm średnicy) lub ze sprasowanej skóry (dla *equesa* - 60 cm).

Włócznia (*hasta*) – była główną bronią gladiatorów w początkowym okresie republiki, w późniejszym okresie stała się mniej popularna. Miała długość 200-230 cm i była zakończona liściastym lub lancetowatym grotem.

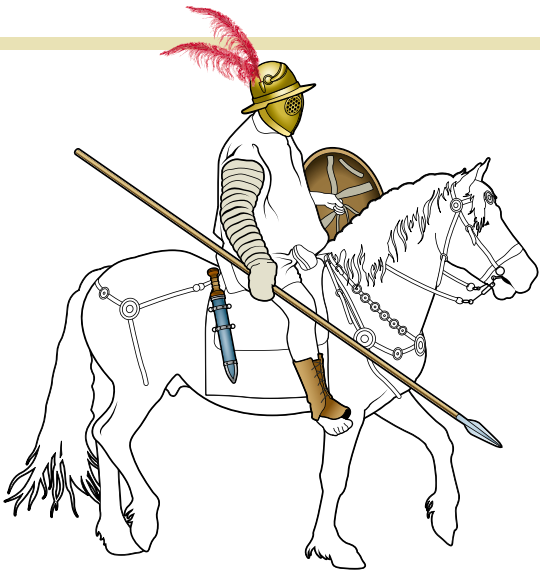
Miecz (*gladius*) – pochodzący z Hiszpanii prosty miecz o długiej na 66 cm i szerokiej na 4-5 cm obosiecznej głowni zakończony ostrym sztychem. Była to podstawowa broń rzymskiej armii od końca III wieku p.n.e.

Sztylet – ten o prostej głowni o przekroju diamentu, przeznaczony do pchnięć, używany był przez *retiariususa* i *hoplomachusa*. Sztylet o głowni zakrzywionej (*sica*) umożliwiającej pchnięcia oraz cięcie, a nawet rąbanie wyróżniał *thraexa*.

Siec (*jaculum*) – broń miotająca *retiariususa*. Prawdopodobnie była okrągła, miała średnicę 3-4 m i oczka szerokie na 10-20 cm. Musiała mieć ołowiane ciężarki na obwodzie. Ważyła od 1,5 do 3 kg. Służyła do spowolnienia przeciwnika i rozproszenia jego uwagi.

Trójząb (*juscina*) – główna broń *retiariususa* przypominająca trójząb rybacki. Miał długość 1,6-1,8 m i zakończony był trzema niewielkimi ostrzami w odstępach ok. 5 cm.

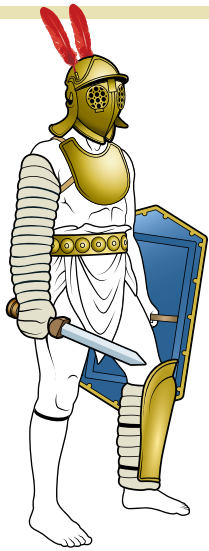
Eques



Tradycyjnie każde igrzyska rozpoczynał pojedynek **pari equites** wyjeżdżających z przeciwnych stron areny na **białych koniach**. Rozpoczynali walkę konno, atakując włócznią. Następnie z reguły zsiadali z koni i kontynuowali pojedynek pieszo, przy pomocy mieczy. Eques nosił zamknięty **hełm z otworami na oczy i szerokim rondem bez grzebienia i pióropusza**, za to z piórami

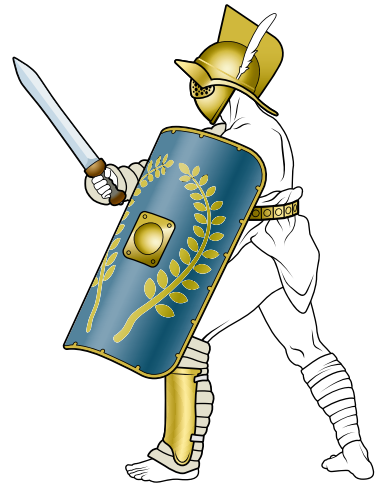
zatkniętymi po bokach. Jego **okrągła, średniej wielkości tarcza** wykonana była z grubej, sprasowanej skóry. Prawą rękę chronił **pikowany ochraniacz** (*manica*). Nogi miał nieosłonięte, nosił jedynie getry lub owijacze. Walczył włócznią długości 2-2,5 m zakończoną liściastym grotem oraz gladiusem. Całe jego wyposażenie ważyło 10-12 kg więc klasyfikuje się go jako gladiatora lekkozbrojnego.

Provocator



Ten typ gladiatora wyróżniał **metalowy napierśnik** w formie prostokątnej lub półkolistej płyty. Ponadto chronił go szeroki **metalowy pas, pikowana osłona** prawej ręki, sięgająca kolana **nagolennica** na lewej nodze oraz **hełm** zbliżony do tych, jakie nosili rzymscy legionści. Uzbrojony był w **prostokątną tarczę** ze spiczastą górną i dolną krawędzią oraz **prosty miecz**. Całość ważyła 14-15 kg.

Murmill



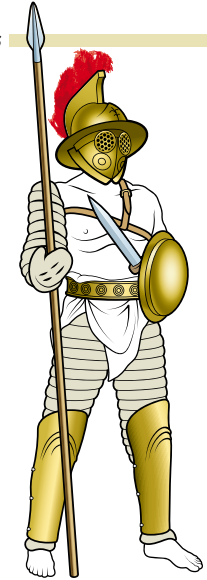
Ciężkozbrojny gladiator. Jego ekwipunek ważył 16-18 kg. Oprócz szerokiego pasa i maniki na prawej ręce wyposażony był w **krótką nagołennicę** chroniącą lewą nogę i **hełm o szerokich obrzeżach** z zastoną na twarz zwieńczony **grzebieniem w kształcie płetwy grzbietowej ryby**. Chronił się za wysoką na metr **owalną lub prostokątną tarczą**. Jego jedyną bronią był **miecz typu gladius**.

Thraex



Ciężkozbrojny gladiator (waga uzbrojenia 17-18 kg) walczący **sztyletem o zakrzywionym ostrzu** (*sica*). Do osłony używał wypukłej, **nieomal kwadratowej tarczy** średniej wielkości. Ponadto wyposażony był w pikowaną **manikę** i **nogawice, wysokie nagołennice** oraz **hełm z rondem** i osłoną na twarz, zwieńczony **grzebieniem w kształcie głowy gryfa** symbolizującego boginię zemsty Nemezis.

Hoplomachus



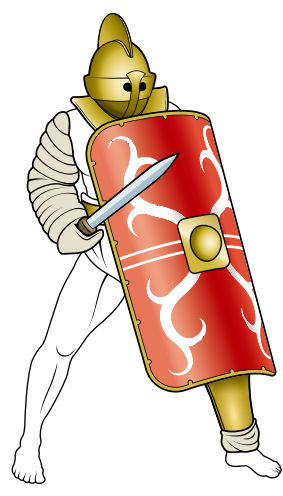
Typ gladiatora mającego przedstawiać na arenie ciężkozbrojnego greckiego wojownika (*hoplite*). Wyposażony był w **hełm** przypominający hełm *thraexa*, **małą okrągłą tarczę** z brązu przypominającą pomniejszoną tarczę hoplity, **parę wysokich nagołennic** oraz **pikowaną manikę** na prawą rękę. Uzbrojony był w **we włócznie i sztylet**. Całe uzbrojenie ważyło 17-18 kg.

Retiarius



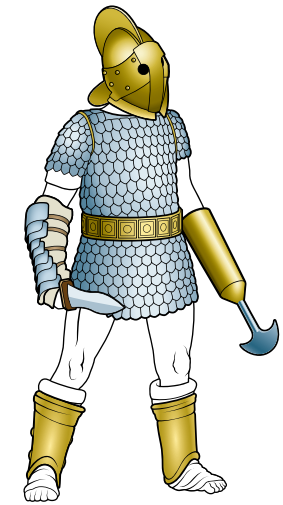
Najlżej uzbrojony gladiator (waga broni 7-8 kg). Jedyłą jego osłoną była **pikowana *manica*** noszona wyjątkowo na lewej ręce, zwierzchna **metalową osłoną barku z przymocowaną płytą chroniącą szyję** (*galerus*). Do walki używał **sieci, trójzębu i sztyletu**. Jego taktyka polegała na trzymaniu przeciwnika na średni dystans i dużej ruchliwości, którą ułatwiał brak ciężkiego uzbrojenia.

Secutor



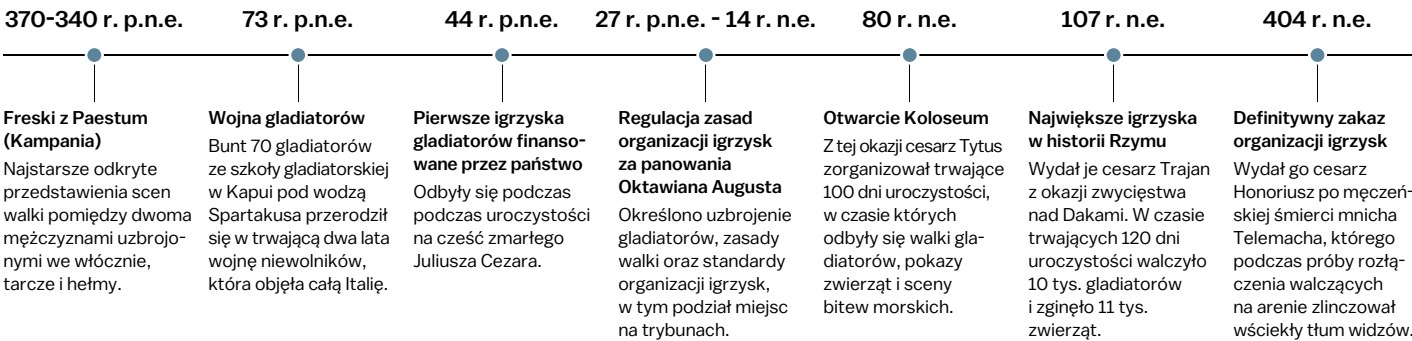
Ten typ gladiatora był specjalnie przystosowany do walki z *retiariusem*. Miał identyczne **wyposażenie jak *murmill***, różnił ich jedynie kształt hełmu. **Hełm *secutora* był obły, gładki i pozbawiony ronda**. Miał małe otwory na oczy i **półkolisty grzebień przypominający płetwę**. Chroniło to przed zaczepieniem o sieć lub trójząb *retiariususa* i budziło skojarzenia z kształtem rybiej głowy.

Arbelas



Najciężej uzbrojony gladiator (waga uzbrojenia 22-26 kg). Brak tarczy rekompensowała mu sięgająca kolan **zbroja łuskowa lub kolczuga**, zamknięty **hełm z otworami na oczy, krótkie nagołennice i pikowana lub segmentowa osłona prawego ramienia**. Lewą rękę *arbelasa* zakrywało **zarekawie zakończone półkolistym ostrzem**. W prawej dzierżył **sztylet o prostym ostrzu**.

Ważne daty w historii igrzysk



ŹRÓDŁO: KONSTANTIN NOSOW „GLADIATORZY. KRWAWY SPEKTAKL Z DZIEJÓW STAROŻYTNIEGO RZYMU”



Część z nich wywalczyła sobie awans społeczny, synem gladiatora miał być Nimfidiusz Sabinus, prefekt pretorianów za Nerona (37-68), choć on sam sugerował, że spłodził go Kaligula. Podobne pochodzenie miał także znakomity wódz Kurcjusz Rufus, który powoli dochodził do najwyższych godności w państwie – został konsulem, za zasługi wojenne dostał od cesarza Tyberiusza odznaki triumfalne, a w końcu objął namiestnictwo prowincji Afryki.

POŻERACZE SERC NIEWIEŚCICH

O erotycznej atrakcyjności gladiatorów pisali już starożytni, rzymski poeta satyryczny Juwenalis wymierzył swoje ostrze w wyimaginowaną Eppię, żonę senatora, która uciekła do Egiptu z pokrytym bliznami gladiatorem o kaprawych oczach, zauroczona sławnym brutalem:

*Twarz bezkształtna i hełmem jak gdyby przytarty
na środku nos garb wielki i zadarty
i ciernią złością wypełnione oczy.
Był to jednak gladiator, więc...
Hiacynt uroczy.
Co lepszy, niżli dzieci, mąż, siostra, ojczyzna.
Żelazo to ich miłość.*

Świat starożytny plotkował o cesarzowej Faustynie Młodszej, żonie Marka Aureliusza, że miała słabość do gladiatorów i jej syn Kommodus (161-192) był owocem takiej niestosownej miłości. Cesarz, który czystość zachował aż do ślubu, wybaczył zdrady („jeśli porzucę żonę, powinienem oddać także posąg” – stwierdził filozoficznie), a Kommodusa uczynił współwładcą i przygotował do objęcia tronu.

Pożywką dla tych plotek było zamięłowanie Kommodusa do występów na arenie (w przeciwieństwie do Marka Aureliusza uważającego takie igrzyska za barbarzyństwo), a choć nie był pierwszym cesarzem, który wcielił się w rolę gladiatora, robił to z wyjątkowym zamięłowaniem. Poza tym w jego przypadku jabłko daleko padło od jabłoni, bo Marek Aureliusz był jednym z najlepiej ocenianych władców Rzymu, a Kommodus zapracował na opinię hedonisty, erotomana i sadysty.

W filmie Ridleya Scotta Kommodus zginął w Koloseum z ręki gladiatora z przypadku, generała Maximusa, którego wcześniej ograbił z sukcesji cesarskiej i któremu zgładził rodzinę. W rzeczywistości został zamordowany przez spiskowców – najpierw podtruty, a potem uduszony we śnie.

Mit wojownika, o którym każda marzy, że kiedyś się przydarzy, wciąż ma się jednak dobrze, a jeśli gladiatorem jest Russell Crowe, jesteśmy skłonni uwierzyć w ten erotyczny wabik.

„Gladiator każdego dnia w każdym pojedynku igrał ze śmiercią. Czyż więc możemy ignorować czar, jaki na kobiety rzucał silny, młody mężczyzna, który miał gryźć ziemię i zbroczyć arenę swoją krwią, jeśli nie udało mu się zwyciężyć? Miłość do dzisiejszych toreadorów odpowiada namiętnościom znakomitych pompejanek, które niepomne na swoją cześć nie wahały się dzielić przez kilka godzin celi z gladiatorem. Deszcz popiołów połączył 24 sierpnia 79 roku jedną parę takich kochanków na wieczność” – stwierdził francuski historyk Robert Étienne, autor „Życia codziennego w Pompejach”.

Ten przykład miłości niemożliwej, odsłoniętej przed światem dzięki katastrofie Wezuwiusza, pobudza wprawdzie wyobraźnię (bohaterem „Pompei” z 2014 r. jest gladiator Milo, niewolnik zakochany z wzajemnością w Cassii, córce bogatego kupca), ale rzeczywistość skrzeczy.

Zdaniem Mary Beard niemal na pewno ta pompejanka nie przyszła na schadzke, ale schroniła się w koszarach, gdy ucieczka z miasta stawała się coraz trudniejsza. „Jeśli istotnie była to randka, to odbywała się

w towarzystwie siedemnastu innych osób i dwóch psów, których szczątki znaleziono w tym samym małym pomieszczeniu” – pisze sarkastycznie brytyjska historyczka.

Wprawdzie w Pompejach odkryto napisy dotyczące podbojów miłosnych gladiatorów, więc świat się dowiedział, że Caladus to „bożyszcze kobiet” i „pożeracz serc niewieścich”, a „sieciarz Crescens potrafi zadowolić dziewczętą nocą, rankiem i o każdej porze”, ale to graffiti znalezione w starych koszarach, męskie przechwałki albo wręcz fantazje młodych chłopaków, których życie było często zbyt krótkie, żeby uwieść jakąś kobietę i co najwyżej korzystali z usług prostytutki dostarczanych przez lanistę.

EAU DE GLADIATEUR

Między bajki należy też włożyć opowieści, jakoby pot gladiatorów był afrodyzjakiem poszukiwanym przez rzymskie damy, choć Pliniusz Starszy pisał w „Historii naturalnej” o leczniczych właściwościach strigimentum, czyli zeszkrobanego ze skóry martwego naskórka, potu i olejków. Młodzieńcy ćwiczący w gimnazjonach przed kąpielą oczyszczali ciało z brudu skrobaczką (strigilis), a zebraną substancję odrzucali na ściany i posadzkę, skąd jej potem zbierano dla celów medycznych.

Rzymianie wierzyli, że m.in. łagodzą stany zapalne mięśni i obrzęk stawów, a nawet pomagają w infekcjach narządów płciowych i problemach menstruacyjnych. Strigimentum pozostało po słynnych sportowcach i atletach mogło oczywiście być cenniejsze, ale z afrodyzjakami nie miało nic wspólnego.

Co innego krew. „Historia Augusta”, będąca zbiorem biografii cesarzy rzymskich i wybranych uzurpatorów w II-III wieku, wspomina o Faustynie Młodszej, która za poradą Chaldejczyków (astrologów) gasiła namiętność do gladiatora, kąpiąc się najpierw w jego krwi, a potem uprawiając seks z mężem. Nie jest jasne, czy użyła krwi tego pożądanego wojownika czy też przypadkowe gladiatora, i trudno rozstrzygnąć, czy w tej sytuacji krew można uznać za afrodyzjak.

Na cesarza Marka Aureliusza i tak nic nie działało, bo starał się ograniczać zmysłowe przyjemności i radził, żeby wyobrażać sobie, czym naprawdę są: wykwinnta potrawa – trupem świni, purpurowa szata – włosami jagnięcia zanurzonymi w krwi skorupiaka, a „obcowanie cielesne to tarcie wnętrzości i wydzielenie śluzu połączone ze spazmem”.

GLADIATOROM JUŻ DZIĘKUJEMY

Wydawać by się mogło, że koniec Cesarstwa Rzymskiego jest końcem epoki gladiatorów. Konstantyn Wielki wydawał edykty zakazujące urządzania igrzysk, ale pomiędzy prawem a praktyką była przepaść. Zwycięstwo chrześcijaństwa oznaczało rezygnację z krwawych igrzysk, jednak mocnych wrażeń zaczęły z czasem dostarczać turnieje rycerskie i publiczne egzekucje.

Gladiatorzy nie przestali być jednak bohaterami masowej wyobraźni i wrócili za pośrednictwem rzeźbiarzy, malarzy, filmowców i twórców gier komputerowych. Jak w starożytnych Pompejach można kupić figurki gladiatorów – retiarius z Lego polecany jest dla dzieci 5 plus – albo repliki mieczy, sztyletów, trójzębów. Areny czeka ją na igrzyska. ●

Źródła: K. Hopkins, M. Beard, „The Colosseum”, Profile Books Ltd, M. Beard, „Pompeje. Życie rzymskiego miasta”, Poznań 2010, M.C. Bishop, „Krew i igrzyska”, Warszawa 2023, M. Paule, „Blood, Sweat, and Sex: A Note on the Erotic Power of Gladiator Sweat Preternature” w: „Critical and Historical Studies on the Preternatural”, 2024, R. Etienne, „Życie codzienne w Pompejach”, Warszawa 1971.

● „Gladiator 2” Ridleya Scotta od 15 listopada w kinach.

Historia krzepi

Kiedyś to były komisje!

Przeżywające obecnie kryzys komisje śledcze znakomicie sprawdziły się sto lat temu.



Były ważnym narzędziem kontrolnym parlamentu, bacznie patrzącym rządzącym na ręce. Największy rozgłos zdobyła powołana w marcu 1924 komisja śledcza do badania tajnych organizacji.

Od trzech miesięcy istniał wtedy rząd Władysława Grabskiego, którego głównym zadaniem było zapobieżenie katastrofie gospodarczej i uzdrowienie waluty oraz finansów publicznych. Zastąpił gabinet Wincentego Witosa sformowany przez dominującą na prawicy Narodową Demokrację i PSL „Piast”. Grabski był zbyt zajęty reformami, by rozliczać liczne grzechy poprzedników, jednak największych skandali nie mógł puścić płazem.

W styczniu 1924 roku policja aresztowała przywódców tajnego Pogotowia Patriotów Polskich, organizacji wzorowanej na włoskich faszystach i szykującej się do zbrojnego przejęcia władzy. W sejmie Polska Partia Socjalistyczna zażądała sprawdzenia pogłosek o kontaktach spiskowców z ministrami Witosa. Także inne ugrupowania związane z Józefem Piłsudskim domagały się powołania w tej sprawie komisji śledczej.

Siły w izbie były tak rozłożone, że głos rozstrzygający należał do endecji. Bojąc się opinii publicznej, endecy nie zablokowali wniosku. Rozszerzyli go jednak o zbadanie tajnych organizacji związanych z Piłsudskim, czyli zaszczytowali przeciwników, licząc, że sprawa umrze śmiercią naturalną i obciążą konto lewicy.

Tą jednak przejrzała podstęp. Poparła wniosek i sejm, prawie jednomyślnie, powołał komisję śledczą. Weszło do niej pięciu posłów, w tym endecki lider Stanisław Kozicki, jako przewodniczący i socjalista Adam Pragier. Komentatorzy byli pewni, że pomiędzy tą dwójką iskrzyć będzie jak diabli. Ostro antagonizm dzieł przeciwieństw endeków i socjalistów od ćwierć wieku. Jeszcze w czasie rewolucji z lat 1905-1907 doprowadził on do mordów bratobójczych, w których zginęło kilkadziesiąt osób. W wolnej Polsce było podobnie, o czym świadczyło ostre zwarcie rządu Witosa na

rzuczone przez endeckich jastrzębi z piłsudczykami i lewicą z jesieni 1923, w którym było kilkudziesięciu zabitych.

Tymczasem Kozicki i Pragier zgodnie ze sobą współpracowali. A to dlatego, że obaj dążyli do uczciwego wyjaśnienia sprawy. Nie gmatwali śledztwa tam, gdzie w grę wchodziły interesy ich obozów. Pracom komisji poświęcali wiele czasu, rozmawiali o nich nawet podczas posiedzeń.

„Nieraz siadywaliśmy przy jednym stoliku w bufecie sejmowym – wspominał Pragier – niebaczni, że skutki tego będą niemiłe tak dla niego, jak dla mnie. Jemu i mnie, przyjaciele partyjni dbali o honor domu, zwracali uwagę na zgorzienie, jakie budzi picie herbaty i długa, a cicha rozmowa przeciwników politycznych przy jednym stoliku”.

Jeszcze bardziej kłopotliwe dla endeków i piłsudczyków były efekty śledztwa. Kozicki i Pragier ujawnili kompromitujące powiązania pomiędzy liderem Pogotowia Patriotów Polskich Janem Pękosławskim oraz rządem Witosa. Okazało się, że Pękosławski rozmawiał z premierem i endeckimi filarami gabinetu. Słuchali uważnie i nie wyrzucili go za drzwi ani nie zawiadomili prokuratury o przekazanym im planie zamachu. Rzecz jasna takie ustalenia komisji wywołały radość lewicy i piłsudczyków.

Nie trwała ona długo, bo dociekliwość Kozickiego i Pragiera i przed tym obozem rozwarła wrota piekiel. Okazało się, że PPP to niejedyny spisek. W wojsku działała tajna organizacja założona przez generała Władysława Sikorskiego. Było w niej wielu piłsudczyków, a wiedział o tym sam Marszałek. Pragier ujawnił zresztą więcej faktów. Najbardziej kompromitujące były polityczne prowokacje organizowane przez wyższych oficerów policji powiązanych z obozem piłsudczycowskim.

Warto podkreślić, że ani endecy, ani piłsudczycy nie obłożyli anatemą swoich dociekliwych kolegów. Nie kwestionowali też ich ustaleń. Pomniejszali tylko wymowę ujawnionych sensacji, winą obarczając poszczególne osoby, i jak lwy bronili całych formacji.

Dzisiaj, kiedy komisje śledcze grzęzną w bagnie partyjnych wad, brzmi to jak opowieść z krainy baśni. Co więcej, trudno oczekiwać poprawy sytuacji, bo jak powiedział główny reżyser tego spektaklu: „Nas nie przekonała, że białe jest białe, a czarne jest czarne”. ●

Natęcz

Tomasz Nałęcz

– historyk i polityk, emerytowany profesor UW, w latach 2001-05 wicemarszałek Sejmu, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. historii i dziedzictwa narodowego



TRAGEDIA NA „HEWELIUSZU”

Sąd próbował ustalić, dlaczego pasażerom promu nie rozdano pingwinów, czyli gumowych ocieplaczy z kapturami. Gdy marynarze to wyjaśniali, przez salę przechodził jęk.

Adam Zadworny

Fragment książki „*Heweliusz. Tajemnica katastrofy na Bałtyku*”, która miała premierę 13 listopada 2024 roku.

12 maja 1978 roku niewielki frachtowiec Polskich Linii Oceanicznych m/s „Jelenia Góra” był na Atlantyku w drodze do Las Palmas, stolicy Wysp Kanaryjskich. Poprzedniego dnia część załogi hucznie obchodziła urodziny jednego z marynarzy. Przegrywali szpulowe taśmy z muzyką Abby i Bee Gees, pili alkohol i śpiewali. Rano steward zobaczył otwarte drzwi do kabiny kapitana Juliana Kowalika. Nie było go w środku. Nie zastał go także w pokoju radiotelegrafisty, na mostku ani w kabinie starszego mechanika, do którego zachodził na pogaduchy. Gdy zaczęła go szukać cała załoga, okazało się, że dowódca zniknął. Pozostały po nim tylko sandały, które znaleźli na pokładzie. Znajdowały się tuż przy relingu.

Chief ogłosił alarm „człowiek za burtą”, zawrócił statek, a załoga zaczęła obserwować ocean. Bezowocne poszukiwania zakończono po kilkunastu godzinach, po których statek wrócił na swoją trasę do Las Palmas (wysłano tam samolotem kolejnego kapitana). Ciała Kowalika nigdy nie znaleziono.

Radiooficer, który dobrze go znał i codziennie przynosił dowódcy wysyłany przez armatora „Głos Marynarza”, czyli zbiór depeusz z PLO, zeznał, że kiedy o północy wracał z wachty, drzwi do kapi-

tańskiej kabiny były zamknięte i niczego podejrzanego nie zauważył. Słyszał tylko dochodzącą z dołu muzykę i śpiew marynarzy. Starszy mechanik zeznał w śledztwie, że tego wieczora wypili z kapitanem we dwóch butelkę piwa. Potem dowódca wyszedł. Powiedział też, że to na pewno nie samobójstwo, bo „stary” był człowiekiem, który cieszył się z każdej małej rzeczy. Nie mógł też wypaść za burtę, ponieważ miał zbyt duże doświadczenie.

Prokuratura Wojewódzka w Gdańsku umorzyła sprawę jego zaginięcia na oceanie, która była głośna nie tylko w PLO. Bo na tej samej „Jeleniej Górze” już rok wcześniej zaginął kapitan. Powracający do kraju statek znajdował się wtedy u wybrzeży Francji. Śledztwo w tej sprawie również umorzono.

Dwa miesiące po zaginięciu Kowalika „Jelenia Góra” wróciła do kraju. Wówczas wyszło na jaw, że cała załoga od dawna uwikłana jest w przemyt whisky z zachodniej Europy na Kanary. Prowadzone w Gdańsku śledztwo dowiodło, że w proceder zamieszanych było dwadzieścia siedem osób, z których czternaście płynęło na „Jeleniej Górze”, kiedy zaginął Kowalik. Aresztowano ich i osądzono za przemyt.

Zaginięcia dwóch kapitanów nigdy już nie udało się wyjaśnić ani prokuraturze, ani Izbie Morskiej.

We wrześniu 1981 roku na statku Polskiej Żeglugi Morskiej m/s „Ziemia Lubelska”, oczekującym na redzie w Gdańsku na wejście do portu, zaginął kapitan. Nie przyszedł do mesy oficerskiej na śniadanie, a kiedy nie pojawił się też na obiedzie, rozpoczęto poszukiwania. Zniknął. Dwa tygodnie później przy jednym z pirsów Portu Północnego wyłowiono jego ciało z przywiązaną do szyi sztangą. W płucach kapitana nie stwierdzono obecności wody, bo zmarł, nim znalazł się w morzu. To była śmierć wskutek uduszenia. Załoga zeznała, że „stary” był bezkonfliktowy i lubiany. Nikt nic nie widział. Prokuratura Rejonowa w Gdańsku umorzyła i to śledztwo.

W maju 1982 roku m/s „Kasprowy Wierch” należący do PLO stał na redzie portu Pireus w Grecji z niepełną załogą, bo przeznaczono go już na złom. Ciało kapitana znaleziono w łazience. Leżał w kałuży krwi. W sercu tkwił wbity nóż. Grecy policjanci orzekli, że nie można stwierdzić, czy było to zabójstwo, czy też kapitan w taki nietypowy sposób sam odebrał sobie życie. Nikt z załogi nic nie widział, więc greckie i polskie śledztwo umorzono.

Wszystkie te tragedie władza przed opinią publiczną ukryła, choć w marynarskich rodzinach wrzało. Dopiero na początku 1983 roku cenzura pozwoliła

• **Prom „Jan Heweliusz” w bazie Polskiej Żeglugi Bałtyckiej w Świnoujście, 27 czerwca 1978 roku** FOT. PAP/JERZY UNDRÓ



**Heweliusz.
Tajemnica
katastrofy
na Bałtyku**

Adam Zadworny
Wydawnictwo
Czarne

redakcji „Wybrzeża” opublikować pierwszy tekst Grażyny Murawskiej (podróżnicze i dziennikarce specjalizującej się w tematyce morskiej) z serii „Śmierć Kapitanów”. Jednak mimo apeli kapitanów prokuratury w Szczecinie, Gdańsku i Gdyni nie połączyły spraw tajemniczych śmierci ich kolegów, które wyglądały na zabójstwa.

Już po pierwszych publikacjach Murawskiej, w kwietniu 1984 roku, w kameruńskim porcie Duala zaginął pierwszy oficer ze statku PLO m/s „Łódź”. Niedługo potem jego zwłoki odnaleziono w portowym basenie. Były obciążone gaśnicą ze statku przypiętą do ręki kajdankami. Chief miał poderżnięte gardło. Część załogi wskutek pomówień innych marynarzy trafiła do kameruńskiego aresztu. Tamtejsza policja była pewna, że morderstwo polskiego oficera jest efektem spisku grupy marynarzy. Ostatecznie jednak podejrzanych z aresztu zwolniono z powodu braku dowodów. Ani w Kamerunie, ani w Polsce nikomu nie udowodniono, więc i te śledztwa zostały umorzone ze względu na niewykrycie sprawców.

Grażyna Murawska w 1984 roku napisała list otwarty do prokuratora generalnego PRL-u Józefa Żyły. W efekcie ten powołał komisję, która zbadała osiem przypadków zaginięć i gwałtownych śmierci oficerów marynarki na polskich statkach. Jej raport niczego nie wniósł do sprawy, a po naciskach Służby Bezpieczeństwa Murawskiej zabroniono na ten temat pisać (wśród oficerów marynarki mówiło się, że przemytnicze interesy na statkach są kontrolowane przez SB). Po upadku PRL-u na początku lat dziewięćdziesiątych dziennikarka bezskutecznie apelowała o podjęcie umorzonych śledztw.

Dziewięć miesięcy później już jako freelancerka zajęła się innym wielkim tematem, z którym również wiąże się na lata. Katastrofą „Jana Heweliusza”. Nie istniały już wtedy SB ani cenzura, więc ci, którzy ukrywali coś w tej sprawie, mogli się Murawskiej obawiać.

Miała wiedzę i dobre kontakty i nie była uwikłana w układy z armatorami jak niektórzy dziennikarze zajmujący się gospodarką morską. Uważała, że tragedia promu kursującego do Ystad też skrywa jakąś tajemnicę, a państwo i jego służby coś zatajają. 15 czerwca 1993 roku spakowała ubrania na trzy dni i pojechała do Szczecina.

CZERWONY RATUSZ

Dwa dni przed rozpoczęciem szczecińskiego procesu [przed Izbą Morską w sprawie ustalenia przyczyn katastrofy], 14 czerwca 1993 roku, Polska Agencja Prasowa podała, że Szwedzi zamierzają spenetrować wrak „Heweliusza”, bo Polacy zrobili to na pewno niedokładnie. Wciąż nie odnaleziono ciała pięciu szwedzkich kierowców. W tym samym czasie niemiecki tygodnik „Der Spiegel” napisał, że ofiar katastrofy było więcej, niż oficjalnie podali Polacy. Zdaniem niemieckich dziennikarzy na promie zginęli blindziarze, czyli pasażerowie na





gapę, ukryci w wagonach. Proces rozpoczął się więc w atmosferze międzynarodowego skandalu.

Kiedy 16 czerwca 1993 roku dawna sala sesyjna Czerwonego Ratusza przy placu Batorego w Szczecinie (przed wojną był to Neues Rathaus, czyli Nowy Ratusz, dzisiaj mieści się w nim Urząd Morski) wypełniła się ludźmi, dziennikarze zastanawiali się, czy w mieście była już kiedyś sprawa, która zgromadziłaby na ławach dla publiczności ponad trzysta osób. Uznali, że zbliżona liczba obserwatorów pojawiła się tylko w lutym 1950 roku na zorganizowanym w sali Filharmonii Szczecińskiej pokazowym procesie szpiegowskiej siatki, na której czele stał sekretarz francuskiego konsulatu w Szczecinie André Robneau. Proces w sprawie katastrofy „Jana Heweliusza” przed Izłą Morską w Szczecinie obserwowali uratowani marynarze, rodziny ofiar, przedstawiciele zainteresowanych instytucji i ich prawni pełnomocnicy, eksperci, ludzie morza oraz dyplomaci, jak na przykład konsul Szwecji Kersti Edwall i Jan Olmberg – sekretarz ambasady tego kraju w Warszawie. Przedstawiciele mediów było na sali parudziesięciu, w tym osiem ekip telewizyjnych z kilku państw. Swoich korespondentów przysłały wszystkie poważne szwedzkie gazety i trzy tamtejsze stacje telewizyjne. Wraz z nimi przyjechali tłumacze.

– Wrażenie robiły wdowy w czerni, wypełniające kilka rzędów – wspomina Andrzej Preiss, adwokat i konsul honorowy Królestwa Danii w Szczecinie, który przed Izłą Morską reprezentował Euroafrikę [armatora promu „Heweliusz”]. – Ich żalu nic nie było w stanie ugasić.

Widownia podzieliła się na wrogie obozy. Wdowy po kierowcach tirów miały pretensje do armatora o to, że ich mężowie nie żyją, do ocalałych marynarzy, że nie zginęli razem z nimi, i do Polski, która nie chce powiedzieć prawdy o tragedii. Wdowy po marynarzach – do Euroafriki o pieniądze, których nie chciano im wypłacić, oraz do szwedzkich dziennikarzy, którzy zrobili z ich mężów pijaków. Uratowani z „Heweliusza” mieli pretensje do polskiej Marynarki Wojennej, która za późno przyleciała z pomocą. Marynarka Wojenna do ratowniczych ośrodków koordynacyjnych, które nie powiadomiły ich w porę o tragedii. Euroafrika do Państwowej Inspekcji Pracy o to, że już wydała na nią wyrok. Prawie wszyscy, a najbardziej wdowy po kierowcach, mieli pretensje do ochmistrza Edwar da Kurpiela, który udzielał wywiadów, nie wspominając słowem o pasażerach, którymi miał się opiekować.

Kiedy tego dnia Jolanta Ułasiewicz przekraczała drzwi Czerwonego Ratusza, była na środkach uspokajających. Wiedziała, że wszystko wróci do niej w bolesnych szczegółach. Nie spodziewała się jednak wrogich spojrzeń części sali.

LAILA KARLSSON

Izba Morska stosuje procedurę karną, więc rozprawa przypomina nieco proces osoby oskarżonej o przestępstwo. Jednak nie występuje przed nią prokurator, tylko delegat ministra odpowiedzialnego za gospodarkę morską. W procesie biorą też udział „zainteresowani”, czyli na przykład członkowie załogi, przedstawiciele armatora, ratownictwa, towarzystwa ubezpieczeniowego. Przewodniczącym składu orzekającego jest zawsze zawodowy sędzia, a wśród ławników musi być co najmniej dwóch kapitanów żegluga wielkiej.

Do sprawy „Jana Heweliusza” powołano sześciuosobowy skład. Było to dwóch sędziów zawodowych – przewodniczący składu Zdzisław Wunsch, który prowadził śledztwo Izby w sprawie katastrofy, oraz Wojciech Kuczkowski, a także czterech kapitanów: Aleksander Nowicki, Jerzy Kabaciński, Zbigniew Piórkowski i Marek



Proces w Szczecinie obserwowali uratowani marynarze, rodziny ofiar, przedstawiciele zainteresowanych instytucji i ich prawni pełnomocnicy, eksperci, ludzie morza, dyplomaci i kilkudziesięciu dziennikarzy, w tym 8 ekip telewizyjnych z kilku państw

Prom, którym wszyscy chcieli pływać

• Prom „Jan Heweliusz” powstał w 1977 roku w stoczni Trosvik Verksted A/S w Norwegii na zamówienie Polskich Linii Oceanicznych. Obsługiwał linię Świnoujście-Ystad. Już niespełna trzy tygodnie po wyruszeniu w pierwszy rejs uderzył o nabrzeże, co zapoczątkowało całą serię niebezpiecznych wypadków. Wszyscy jednak chcieli na nim pływać – powodem były pieniądze z przemytu.

13 stycznia 1993 r. późnym wieczorem „Heweliusz” wypłynął w swój ostatni rejs. Prognozy zapowiadały 6-7 stopni w skali Beauforta, chociaż z zachodu zbliżał się już huragan „Junior”. Około godz. 4.30 prom, będący wtedy na północny wschód od niemieckiej wyspy Rugia przechylił się i szybko zatonął w lodowatym wtedy morzu. Z katastrofy uratowano tylko 9 członków załogi. Według oficjalnych danych zginęło 55 osób, w tym

wszyscy pasażerowie. Kapitan nie zszedł z tonącego statku, wybrał honorową śmierć. Trzy wyroki Izby Morskiej wskazały różne przyczyny tej największej po II wojnie światowej polskiej katastrofy morskiej, która do dzisiaj nie jest w pełni wyjaśniona i obrosła wieloma teoriami spiskowymi. W 2025 r. premierę będzie miał serial fabularny Netflixa „Heweliusz”, w którym kapitan Andrzeja Ułasiewicza gra Borys Sycz.

• **Proces przed Izłą Morską w Szczecinie, 11 stycznia 1994 roku. Sędzia Zdzisław Wunsch odczytuje orzeczenie w sprawie przyczyn katastrofy. Miały się do niej przyczynić błędy kapitana, a także uchybienia Polskiego Rejestru Statków, który zaakceptował zbyt małą stateczność promu „Jan Heweliusz” oraz armator, który dopuścił go do eksploatacji w nieszczelą furta rufową** FOT. PAP/JERZY UNDRÓ

Opończewski. Skład powinien być niepartyzny, ale jednego z jego członków wybrano na zapas, gdyby ktoś zmarł lub trwale się rozchorował. Przed długim sędziowskim stołem po lewej stronie spoczywała duża makieta „Jana Heweliusza”.

16 czerwca 1993 roku sędzia Wunsch krótko i zwięźle przedstawił stan sprawy, po czym podyktował do protokołu: „Staje drugi oficer Mariusz Schwebs i wyjaśnia”. Sąd był zainteresowany remontem niedomykającej się furty rufowej. Schwebs powiedział, że w wyniku prac remontowych rozszczelnienie zmniejszono z pięciu centymetrów do trzech centymetrów. Zdaniem drugiego oficera uszkodzenia nie były na tyle poważne, by zagrozić bezpieczeństwu żegluga. Schwebs nie znalazł przyczyn katastrofy. Skończył wachtę o godzinie 2.00, potem poszedł spać, więc nie ma pojęcia, co się działo na mostku. Opowiadał natomiast o wielkim przechyle i ewakuacji, którą próbował kierować.

– Dlaczego pasażerom nikt nie dał pingwinów (czyli gumowych ocieplaczy z kapturami), które były w schowku szalupowym i na tratwach? – pytali członkowie składu orzekającego, a Schwebs odparł, że magazynek szalupowy był zamknięty na kłódkę, do której klucz znajdował się na mostku.

– Dlaczego zatem nie użyto pingwinów, które były na tratwach? (Na każdej mieściły się dwa).

– Nie można ich było użyć, bo tratwa była pełna wody – dodał, po czym po sali przebiegł nieprzychylny marynarzom szmer, a może raczej cichy jęk, który wydobyl się z ust wdów.

W swojej relacji z tej rozprawy Grażyna Murawska napisze: „Pingwiny poszły na dno, choć mogły się przydać nielicznym pasażerom, którzy zdołali się wydostać z tonącego promu i zmarli z wychłodzenia”. Zauważy też, że drugi oficer nie znał aktualnych instrukcji ratunkowych z „Heweliusza”, które okazał mu sędzia, i miał ogromne trudności z odtworzeniem liczby oraz rozmieszczenia kombinezonów, tratw i kamizelek ratunkowych.

Na sali Izby Morskiej cały czas siedział kapitan Tadeusz Semsch, który z ramienia PLO w 1977 roku nadzorował w Norwegii budowę „Heweliusza”, pływał na nim, a teraz przyglądał się rozprawom. Nie tylko Jolanta Ułasiewicz odniosła wrażenie, że pilnował, by przesłuchiwani oficerowie mówili to, co narzucił armator. W szwedzkich gazetach podkreślano, że Schwebs przedstawił przebieg wydarzeń zgodny z lansowaną przez PLO i Euroafrikę linią, bo „strona polska chce uniknąć wypłacenia odszkodowań”.

„Sprawa katastrofy promu »Jan Heweliusz« – jej przebiegu, następstw, dochodzenia wyjaśniającego przyczyny – nie schodzi z łamów szwedzkiej prasy, fal TV i radia – pisał w korespondencji ze Sztokholmu Piotr Cegielski, szwedzki korespondent »Gazety Wyborczej«. – Napisać, że ton tych relacji jest nieprzychylny Polsce, jej urzędowi, armatorowi i załodze, to mało. Od stycznia trwa prawdziwa nagonka – na wszystkie polskie instytucje i ludzi związanych w jakiś sposób z »Heweliuszem«. [...] Robimy wiele, by sprawić wrażenie, iż ukrywamy prawdę; że interes armatora jest ważniejszy od obiektywnego dochodzenia; że z góry zakładamy, iż nie ma winnych, poza niekontrolowanym żywiołem”.

Ton tym relacjom nadawały kuluary szczecińskiego procesu, w których bardzo aktywna była Laila Karlsson. Ta wdowa po szwedzkim kierowcy siedziała z przypiętą do piersi kartką z napisem „Polska zabiła mojego męża”.

Na drugim końcu Karpat

POLITYKA POMOCNIK HISTORYCZNY

Nr 8/2024 Cena 29,99 zł (w tym 8% VAT) Indeks: 403652 ISSN: 2391-7717

Dzieje Rumunów

Łacińska enklawa na wielkim pograniczu kultur • Rozległe korzenie późno zrodzonego państwa

Już w sprzedaży!

Prolog 1
Jak rodziła się Rumunia
Karaimi: unikalny rumuński plemię

Osmański dekor
Mausoleum dzielnicy Beldiwe • Wskazywany jako święty Ramiz

148
stron

KUP TERAZ

Wydanie papierowe – w kioskach i na sklep.polityka.pl
Wydanie cyfrowe – [subskrypcja polityka.pl/cyfrowa](https://subskrypcja.polityka.pl/cyfrowa)
Wydanie audio – sklep.polityka.pl i polityka.pl/cyfrowa
Podkast POLITYKA o historii – polityka.pl/podkasty

POMOCNIK HISTORYCZNY

Ponad 60 tytułów

Sprawdź na sklep.polityka.pl



Widzą Państwo te zaciśnięte dłonie, jak Polska długa i szeroka wszyscy przed telewizorami, zjednoczeni w jednym pragnieniu. Pragnieniu zwycięstwa Bialo-Czerwonych, które da nam awans, ten historyczny, ten wymarzony” – witał się z całą piłkarską Polską Dariusz Szpakowski 17 listopada 2007 roku. Polscy piłkarze pod wodzą Leo Beenhakera mierzyli się na Stadionie Śląskim w Chorzowie z Belgią. Wygrana dawała nam awans do finałów Mistrzostw Europy. Turnieju, w którym jeszcze nigdy nie udało nam się zagrać.

Nie zapowiadało się, że będzie łatwo, bo - jak skonstratował po jednej z akcji rywali komentujący mecz razem z Dariuszem Szpakowskim były doskonały piłkarz, Włodzimierz Lubański: „Widać, że Belgowie umieją grać w piłkę”.

Ale kiedy kończyła się pierwsza połowa, belgijski obrońca Jan Vertonghen zdecydował się zagrać do swojego bramkarza, w pobliżu czyhał jednak Euzebiusz Smolarek. Pognął do piłki, wygrał przebijankę z golkipierem i kopnął piłkę do pustej bramki. Prowadziliśmy!

Kilka minut po przerwie Smolarek piękną podcinką nad bramkarzem Stijnem Stijnenem dobił strzał z dystansu Jacka Krzynówka.... I mógł po raz drugi zasalutować kibicom na Stadionie Śląskim. I tym wszystkim przed telewizorami, zjednoczonym w jednym pragnieniu ma się rozumieć też.

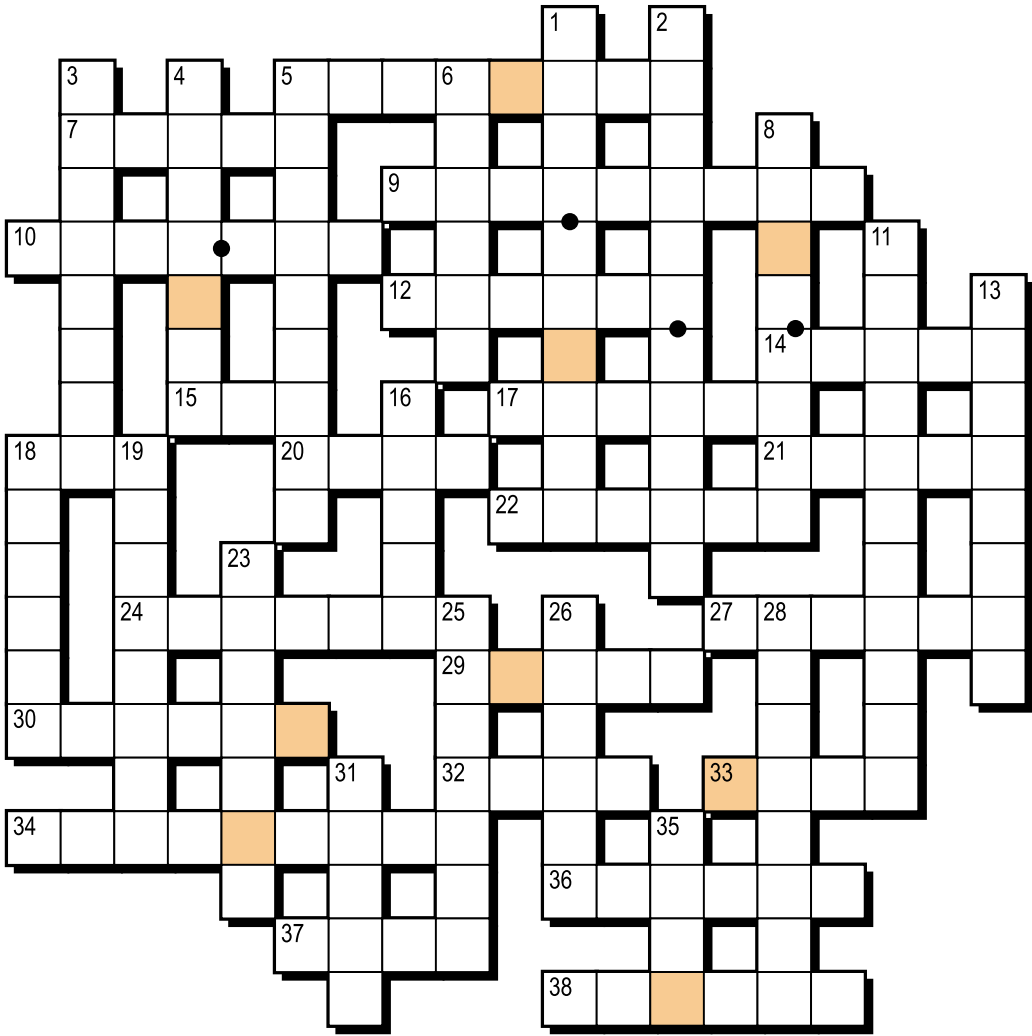
W 85. minucie Leo Beenhakker zdjął Ebiego z boiska (zastąpił go Kamil Kosowski), by publiczność w Kotle Czarownic mogła zgotować napastnikowi reprezentacji Polski owację.

„Miała być feta, i będzie feta. Bo Leo Beenhakker już wie, że Bo Larsen pewnie po tym wybiściu Artura Boruca zagwiżdże po raz ostatni w tym meczu, a to oznaczać będzie proszę Państwa, że jesteśmy w finałach Mistrzostw Europy. Po raz pierwszy, historycznie!” – entuzjazmował się Dariusz Szpakowski, a my razem z nim. Bo faktycznie, zagwiżdżał, i awansowaliśmy.

„Oby tylko nie skończyło się na awansie, oby teraz te rozbudzone apetyty Bialo-Czerwoni zaspokajały również w Austrii i Szwajcarii” – rozmarzał się komentator. My troszkę też, oczywiście, choć rzeczywistość nam te marzenia zweryfikowała – na boiskach Austrii (współorganizowała turniej razem ze Szwajcarią) udało nam się strzelić jedną tylko bramkę i wywalczyć jeden punkt – za remis w meczu z Austriakami właśnie. Starsza młodzież pamięta z pewnością angielskiego arbitra Howarda Webba, który w tamtym meczu, w 93. minucie podyktował dla gospodarzy rzut karny za faul Mariusza Lewandowskiego na Sebastianie Prödlu. I jak Anglika znieawidziła cała Polska (swoje zdanie wyrazili nawet ówczesny prezydent Lech Kaczyński oraz premier Donald Tusk).

Ale my dzisiejszej „Wekendówki” nie poświęcimy pamiętnym chwilom polskiego futbolu, tylko... różnym pierwszym rzeczom i wydarzeniom. Jako że 17 lat temu awans do finałów Euro po raz pierwszy stał się naszym udziałem.

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki”
nr 128 z 9.11:

- Poziomo:** 6) Redania, 7) Pavetta, 12) warownia, 13) Aretuza, 14) rasy, 15) wina, 16) Francesca, 18) Bonhart, 21) cykl, 23) Nimue, 24) kot, 25) wieża, 27) Netflixi, 29) nauki, 30) Mistle, 31) Rivia, 32) Ellander, 37) gwiazda, 40) stos, 41) Beauclair, 43) zimno, 44) mewa, 45) Czas pogardy.
- Pionowo:** 1) Yennefer, 2) Mahakam, 3) pisarczyk, 4) Jaruga, 5) cesarz, 8) Triss, Merigold, 9) Maribor, 10) Korath, 11) Henselt, 17) Cintra, 19) adeptka, 20) Thanedd, 22) Kovir, 26) autor, 27) Novigrad, 28) Emiel, 33) lutnia, 34) nos, 35) Ebbing, 36) kobold, 38) jawa, 39) Aard, 42) Coen.

HASŁO:
MIECZ NA POTWORY

PIERWSZA KRZYŻÓWKA

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 5) pierwsze ... projektu ustawy na posiedzeniu sejmu
7) pierwsze – stawiane w jakiejś dziedzinie
9) pierwsze ... (by zapewnić organizmowi energię na cały dzień)
10) na pierwszy ... ta krzyżówka wygląda na łatwą!
12) ... pierwszego kontaktu (po pierwsze: nie szkodzić)
14) pierwszy w tablicy Mendelejewa
15) antonim pierwszego planu
17) „Pierwszy ...”, film z Bruce'em Willisem
18) wieść ..., znaczy: przodować, być pierwszym w danej dziedzinie
20) „... od pierwszego wejrzenia”, program telewizyjny

- 21) tu kapitan jest pierwszy po Bogu
22) pierwszorzędnym uczeń
24) nazwisko autora powieści „Król Maciuś Pierwszy”
27) ... pierwszej potrzeby, niezbędne w codziennym życiu
29) pójść na pierwszy ..., czyli na początek
30) ... statku; wśród jej członków pierwszy oficer
32) pierwsze ..., drugie ..., nazwisko, miejsce urodzenia (w kwestionariuszu)
33) mogą być pierwszoplanowe
34) nagrali piosenkę „Nie całuj mnie pierwsza”
36) pierwsza ..., kobieta zachowująca się jak młoda, niedoświadczona dziewczyna
37) pierwsza – u boku głowy państwa
38) Marek, autor opowiadania „Pierwszy krok w chmurach”

Pionowo:

- 1) zaśpiewała przebój „Najtrudniejszy pierwszy krok”
2) Oktawian August, pierwszy ...
3) grać pierwsze ...
4) pierwszy ...; nawiązywany z obcą cywilizacją w filmach science fiction
5) pierwszy stopień do piekła, jeśli wierzyć przysłowiu
6) pierwszy – na weselu, w wykonaniu młodych
8) „Całuję pierwszy ..., co zaśnił na twej skroni”
11) bycie pierwszym np. w wyścigu kolarskim lub tabeli rozgrywek
13) pierwszy model maszyny lub urządzenia
16) pierwsza – zaczyna się po gongu
18) mały ..., czyli Michał Wołodyjowski, pierwsza szabla Rzeczypospolitej
19) pierwsza ... (zapowiedź, zwiastun)

- 23) „My, Pierwsza ...”, pieśń żołnierska
25) Ewa – pierwsza ...
26) czy pierwszy ... trzeba ukraść?
28) pierwszy do wykonania zadania
31) pierwszy ..., opisowo o najlepiej rozwiniętych krajach
35) pierwsza ... piłki nożnej

Leszek Rydz

wysokieobcasy



HumanDoc

NIEobojętne

Wesprzyj kobiety doświadczające przemocy domowej



Kup prenumeratę, a my cały dochód ze sprzedaży prześlemy na akcję

wysokieobcasy.pl/nieobojetne

Kraj/34310976